

Profesorowie Kołodko i Koźmiński:
Nowy pragmatyzm kontra
nowy nacjonalizm

Prof. Krzysztof Gawlikowski:
Mao i nieznane kulisy
Października '56

Człowiek z rybą,
czyli chamstwo na drogach

Prywatne muzea
– raj dla zapaleńców

NOWA POLSKA • NOWI POLACY

NOWA HISTORIA



JUŻ WKRÓTCE!

Pierwsza w Polsce strona internetowa poświęcona wydarzeniom z jesieni '56

Październik '56

www.pazdziernik56.pl

Znajdziesz tam m.in. oryginalne dokumenty, teksty i opracowania naukowe, nagrania dźwiękowe, filmy i kalendarium 1956 r.

Zapraszamy do współpracy! Razem tworzymy tę stronę.

Czekamy na dokumenty, publikacje, wspomnienia, fotografie. Wyślij e-mail na adres:

pazdziernik56@pazdziernik56.pl lub napisz: redakcja PRZEGLĄDU, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, z dopiskiem PAŹDZIERNIK '56

Jedno z najważniejszych wydarzeń w Polsce w XX w.
Październik 1956 r. to bezkrwawa rewolucja, która odmieniła Polskę, stosunki społeczne i relacje władzy z Kościołem.

W przeszło 60-stronicowym aneksie – zapis dramatycznej rozmowy Władysława Gomułki z Nikitą Chruszczowem.



Książkę można kupić, wpłacając 19,90 zł na konto wydawcy PRZEGLĄDU: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. Więcej informacji: tel.: (22) 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

~~39,00~~
19,90

CYTATY

ABP WOJCIECH POLAK, PRYMAS POLSKI

*W Kościele są też tacy,
którzy nie głosowali na PiS.
„Tygodnik Powszechny”*

O. JAN KŁOCZKOWSKI, OP

*W katolickim kraju, jakim
jest Polska, Jezus jest słabo
znany. Ludzie słabo znają
Ewangelię.
„Polska The Times”*

DANIEL PASSENT, KOMENTATOR

*Dzisiaj, jeśli zostajesz
znieważony, prędzej
doczekasz się własnego
nekrologu niż przeprosin
w sądzie.
„Polityka”*

PROF. ANDRZEJ JAJSZCZYK, PREZES ODDZIAŁU PAN W KRAKOWIE

*W nauce nie ma demokracji.
Nie ma też równości, bo
różne mamy mózgi.
„Kraków”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Bulterier czy kukiełka

Po Jacku Kurskim można się spodziewać wszystkiego najgorszego. Doświadczyli tego Tusk, Kaczyński i Ziobro, o mniej znanych, a licznych ofiarach tego polityka już nie wspominając. Zmieniał partie i poglądy jeszcze częściej niż Ryszard Czarnecki. Razem stanowią niepowtarzalny duet. Ich obecność w życiu publicznym ośmiesza wszystkie instytucje, do których trafiają. Są parodią i nieszczęściem. A dla zwykłych ludzi symbolem bezczelności i hucpiarstwa. I, niestety, dowodem bezradności. Okazuje się, że nie można ich odstawić od złotodajnego cycka, bo zawsze jakoś się do niego dopchają. I zawsze znajdzie się polityk, który skorzysta z ich usług. Gdyby partia dziś rządząca trzymała się elementarnych zasad, Kurski nigdy by nie trafił na fotel prezesa telewizji. Jest nim jednak, bo PiS do zdobycia TVP bardzo potrzebny był ktoś tak bezwzględny jak on. Cynik bez zasad. Dyspozycyjny poza granice zdrowego rozsądku. Ale w gruncie rzeczy prezes papierowy. Kukiełka sterowana ręcznie z Nowogrodzkiej.

Prezes Kaczyński ma podobno świetną pamięć. Musi więc mieć w głowie epitety, jakimi nie tak dawno obzwać go zdradca Kurski po buncie Solidarnej Polski. Pamięta i w rewanżu wykorzystuje Kurskiego bez umiaru. Ma w prezesie TVP kogoś nie do pobicia w gorliwej służalczości i dyspozycyjności. Takie też jest całe telewizyjne otoczenie Kurskiego. Tępa propaganda, prymitywna młócka coraz liczniejszych wrogów „dobrej zmiany” i kłamstwa tak bezczelne, że trudno uwierzyć, że ogłasza je ktoś należący do *homo sapiens*. Dziennikarzy zastąpili urzędnicy do spraw propagandy rządowej. Zamiast informacji serwują nagonki na kolejne grupy zawodowe. Teraz wzięli się do lekarzy. Szukają haków, kłamią, manipulują. Nie z miłości do PiS. Dla kasy. Zarabiając po 20, 30, a nawet 40 tys. zł miesięcznie, nie muszą patrzeć w lustro. Od tego mają w telewizji makijażystki. Wyciągające z dodatkowymi dyżurami po 2 tys.

Jeśli jest coś optymistycznego w tym kretyńskim korowodzie, to zbliżający się koniec. Propaganda tak oderwana od faktów, od realiów i prawdy zużywa się z każdym programem. Staje się antypropagandą i ciężarem dla władzy. Nowogrodzka to już wie i szuka nowego bulteriera. Ale to też nie jest dla widzów dobra wiadomość.

FAUL

Gumki zamiast drzew

Nie jest dobrze. Spod czujnego oka obrońców moralności potrafią się wymykać nawet państwowe spółki. Albo nie zostały jeszcze totalnie spisane, albo szatan przekabacił desant „dobrej zmiany”.

Firma Gaz-System chce zbudować gazociąg na warszawskim Żeraniu i planuje wyciąć 4 tys. drzew. Mieszkańcy Białoleki ostro protestują. Dostali więc propozycję rekompensaty. Gaz-System może im postawić automaty do sprzedaży przeterminowanych. W ramach... dobrych stosunków. A może rekreacji? Tylko co na to kapelan spółki i proboszcz dzielnicy?

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Nowa Polska, nowi Polacy, nowa historia**
– rozmowa z prof. Wojciechem Bursztą
- 13 Niech głodują?**
Rozszerza się protest lekarzy
- 18 Niecelne decyzje**
Celnicy walczą o odzyskanie munduru
- 20 Mao bronił Gomułki**
– rozmowa z prof. Krzysztofem Gawlikowskim
- 32 Co być musi, co może, a co będzie?**
Rozmowa prof. Grzegorza W. Kołodki i prof. Andrzeja J. Koźmińskiego
- 38 Ratunek w Wiosce SOS**
Wioski Dziecięce szansą na przyszłość

DALEKA BRUKSELA BLISKA LUDZIOM

- 17 Niepełnosprawny w Unii Europejskiej**

ZAGRANICA

- 24 Pierwsza jaskółka dla Schulza**
Korespondencja z Berlina
- 27 Zwycięzców dwóch**
Austria bardziej prawicowa
- 29 Nie chodziło o treść, tylko o opakowanie i kolor**
– rozmowa prof. Antonem Pelinka
- 30 Adopcyjny upiór przeszłości**
Kanada płaci za stare grzechy

OPNIE

- 36 Jerzy J. Wiatr**
Dwa cele lewicy

MEDIA

- 42 Belfer wrócił**
– rozmowa z Moniką Powalisz

KULTURA

- 44 Culturalia**
- 46 Umrzyj i zacznij od nowa**
– rozmowa z Ursulą Antoniak
- 66 Artyści z Krakowa**

OBSERWACJE

- 48 Rzeź**
Obrzezanie dziewczynek
– somalijska codzienność
- 55 Człowiek z rybą**
Chamstwo na drogach
- 56 Kolekcjonerzy**
Radości i bolączki prywatnych muzeów

PSYCHOLOGIA

- 52 Najważniejsza jest wdzięczność**
– rozmowa z dr Ewą Woydytło-Osiatyńską

NAUKA

- 54 Owady w walce z chorobami**
Teoria ewolucji a groźne wirusy

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Bulterier czy kukietka
- 23 Roman Kurkiewicz**
Przemoc nasza powszednia wobec kobiet
- 37 Jan Widacki**
Symetriści
- 41 Tomasz Jastrun**
Dłonie
- 47 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Suplement do kanonu



30
ZAGRANICA

ADOPCYJNY UPIÓR PRZESZŁOŚCI

Kanada płaci za stare grzechy

38
KRAJ

RATUNEK
W WIOSCE SOS
Wioski Dziecięce
szansą
na przyszłość



42
MEDIA

BELFER WRÓCIŁ
– rozmowa
z Moniką Powalisz



Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. FOTOLIA, ARCHIWUM

f Branicy, zapłaćcie niewolnikom

Przydałby się pozew zbiorowy wszystkich osób, których przodkowie odrabiali pańszczyznę na rzecz Branickich. Należy wystąpić o zaległe wynagrodzenia wraz z odsetkami plus odszkodowania.

Darek Wojtczak



Temat odszkodowań dla chłopów nurtuje mnie, zawsze gdy słysem o oddawaniu kamienia czy ziemi. Bo jeśli chłop stracił w czasie wojny krowę lub konia, to nic nie może odzyskać.

Agata Zasępa

Lubię, jak spadkobiercy w prostej linii targowiczana Ksawerego Branickiego wyciągają łapy po dobro wspólne. Bo przecież my wszyscy będziemy musieli im zapłacić. Tak jak kiedyś pańszczyźniani chłopci pracowali na ich dobrobyt.

Antoni Oleksicki

W nowoczesnych społeczeństwach uważanie się za lepszego, uprzywilejowanego wobec innych z racji samego urodzenia zostało już dawno uznane za niewłaściwe i jest zwalczane. Zwalczany jest np. rasizm. Cała ta szlachta, jako po prostu inna forma takiego szowinizmu (z czynnikiem osobistym czy rodzinnym zamiast etnicznego), powinna być zwalczana z nie mniejszą surowością.

Marcin Cinek

✉ Historia na nowo

Zajrzałam dziś do podręcznika historii dla klasy VI. Zgroza! Podręcznik dotyczy czasów od rozbiorów Polski

Maria Drabik

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ
Dlaczego dajemy się okupować?

MICHAŁ JAGIEŁŁO

Socjalista z temperamentem
człowieka czynu

AGNIESZKA BIELECKA

W górach płeć nie ma znaczenia

do współczesności. Wśród przyczyn rozbiorów nie ma nawet wzmianki o targowicy. Przeszłam potem do II wojny światowej, w której wprawdzie – według podręcznika – Niemcy odegrały pewną rolę, ale przede wszystkim napadł nas Związek Sowiecki, który okupował Polskę od 1945 r., mimo bohaterskich wysiłków „żołnierzy niezłomnych” i „legalnego rządu londyńskiego”. Ludzie w PRL jęczeli w niewoli i żywili się samymi kartkami na mięso. Z tej okupacji bohatersko nas wyzwalał ks. Popiełuszko, a Jan Paweł II największym Polakiem w dziejach był. Bohaterska armia amerykańska dzielnie walczyła w Wietnamie, niosąc Wietnamczykom wyzwolenie spod komunizmu.

Cały podręcznik pełen jest takich kwiatków. Z hu-kiem go zatrzasnęłam, bo się przeraziłam. Toż to pralnia mózgów dla przyszłego mięsa armatniego.

Maria Drabik

ZDJĘCIE TYGODNIA



Robotnicy budujący drogi w prowincji Guizhou słuchają przemówienia prezydenta Xi Jinpinga otwierającego XIX Zjazd Komunistycznej Partii Chin.

FOT. AP/EAST NEWS



www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA

Czy bezpłatne leki dla emerytów to głównie propaganda?

ELŻBIETA OSTROWSKA,
*przewodnicząca Polskiego Związku
Emerytów, Rencistów i Inwalidów*

Bezpłatne leki dla seniorów to rzecz niezwykle potrzebna, wystarczy spojrzeć na wydatki z tego tytułu obciążające skromne budżety emeryckie. Oczekiwania związane z tym programem były bardzo duże i trzeba wyraźnie powiedzieć, że nie zostały do końca spełnione. Po pierwsze, objął on jedynie osoby powyżej 75. roku życia, a chorują również 70- czy 65-latkowie. Po drugie, darmowa jest tylko część leków, tymczasem mamy sygnały, że wielu najczęściej używanych środków na choroby przewlekłe zabrakło na tej liście. Duża część emerytów oczekuje, że program, zgodnie zresztą z pierwotnymi zapowiedziami, będzie rozszerzany i obejmie dodatkowe grupy wiekowe, a przede wszystkim dodatkowe leki.

ELŻBIETA ZAKRZEWSKA,
*dyrektor SP ZOZ w Mysłakowicach,
Unia Pracy*

Skromna lista bezpłatnych leków i prawo do nich ograniczone do osób

powyżej 75. roku życia pokazują, że rząd podszedł do tematu bardziej PR-owo niż na serio. Do mnie i moich lekarzy przychodziło wielu pacjentów z pytaniem, dlaczego w aptece musieli zapłacić za leki, choć pani premier Szydło powiedziała, że będą je mieli za darmo. Byli bardzo oburzeni, gdyż po rządowej kampanii informacyjnej byli święcie przekonani, że wszystkie lekarstwa będą dla nich bezpłatne. Innym problemem jest to, że jeśli lekarz zapomni dopisać „S” w odpowiednim miejscu recepty, uprawniony senior nie dostanie takiego leku za darmo. Wprowadzono niepotrzebną biurokrację, choć przecież wszystkie apteki są zinformutowane, a po numerze PESEL widać, czy pacjent ma 75 lat, czy nie.

DR RAFAŁ BAKALARCZYK,
Uniwersytet Warszawski

Program od wielu miesięcy ma wpływ na sytuację wielu seniorów, więc nie można go sprowadzić do chwytu propagandowego. Choć jego zapowiedzi opierały się na trikach propagandowych. Przedsta-

wiano to tak, że emeryci nie będą w ogóle musieli płacić za leki, program jednak objął tylko osoby najstarsze (75+), w ramach wyodrębnionej listy farmaceutyków. Można się spierać, czy granica nie została wyznaczona zbyt wysoko, zwłaszcza w Polsce, gdzie wiele osób nie dożywa takiego wieku, a poważne problemy zdrowotne zaczynają się wcześniej. Czy lista bezpłatnych leków powinna być zamknięta i czy klucz ich doboru jest przekonujący? To wymaga dalszej dyskusji, także w kontekście możliwej ewolucji programu, ale nie sposób zaprzeczyć, że odegrał on pewną pozytywną rolę w zaspokajaniu potrzeb części najstarszych Polaków.

ZDZISŁAW NOWAK,
czytelnik PRZEGLĄDU



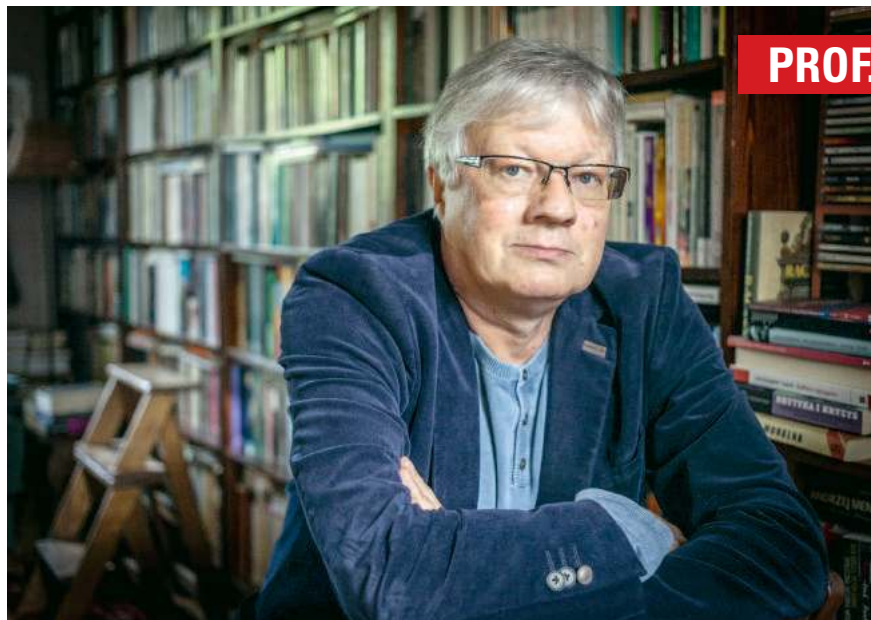
Wystarczy porównać dwie kwoty: pieniądze wydawane przez emerytów na leki oraz pieniądze przeznaczone na bezpłatne leki dla nich. Odpowiedź jest oczywista.

Not. Michał Sobczyk

NOWA POLSKA • NOWI POLACY

NOWA HISTORIA

JEŚLI NIE ZAŁOŻYMY KOSZULKI Z KOTWICĄ POLSKI WALCZĄCEJ,
TO COŚ Z NAMI JEST NIE TAK



PROF. WOJCIECH BURSZTA

– kierownik Katedry Antropologii Kultury na Uniwersytecie SWPS, profesor w Instytucie Sławistyki PAN

Rozmawia Kacper Leśniewicz

Prawicowi politycy publicznie zapowiadają narodziny nowego człowieka. Dużą rolę w tym procesie odgrywa edukacja. Co pan myśli, widząc kolejne przejawy ofensywy ideologicznej w nauczaniu historii?

– Obserwujemy niepokojący proces oderwania historii od wiedzy na temat społeczeństwa. Oznacza to powrót do koncepcji polskości, narodu, patriotyzmu opartego na wartościach, które są uważane za szczególnie polskie, bo wynikają z naszego wyjątkowego losu. Historia Polski jest wyrwana z kontekstu historii europejskiej i światowej. Ma to ułatwić rozwój patriotyzmu wśród młodego pokolenia, którego tożsamość narodowa – zgodnie z diagnozą leżącą u podstaw tych działań – jest zagrożona obcymi wpływami, szczególnie odkąd znaleźliśmy się w strukturach Unii Europejskiej.

Jesteśmy świadkami przewrotu kopernikańskiego w nauczaniu historii?

– Nie do końca, to zmasowany powrót do trendu, który miał początek w 2005 r., podczas pierwszych rządów PiS, i był jakoś kontynuowany przez rządy PO-PSL. Z punktu widzenia obecnie rządzących prace w obszarze nauczania historii były jednak niewystarczające, choć edukacja hi-

Historia Polski jest wyrwana z kontekstu historii europejskiej i światowej.

styczna miała silny akcent nacjonalistyczny. Nowa podstawa programowa pokazuje oczekiwania związane przez władzę z tym ważnym przedmiotem.

Jak wygląda nasza strategia obronna?

– Najważniejsze jest budowanie twardej wersji nacjonalistycznej tożsamości. Wpisuje się to w zapotrze-

bowanie polityczne na szeroką przebudowę świadomości historycznej Polaków. Widać brak krytycznej refleksji nad własnymi winami i przyzwolenie na niedomówienia. To celowe zapominanie szerszych zjawisk społecznych i niechcianych postaci. Eliminowanie polega na okrajaniu historii do wyobrażonego pnia. Efektem ma być spójna opowieść.

Z czego się składa ta historyczna opowieść?

– Została zbudowana na mitycznym wyobrażeniu polskości, poczynając od Mieszka i Chrobrego. Uczniowie nie mają pojęcia, że decyzja o przyjęciu chrześcijaństwa była tak naprawdę decyzją polityczną. Następuje przenoszenie dzisiejszych wyobrażeń o wspólnotce etnicznej i narodowej na wiek IX i X, co jest działaniem mitycznym. Ta opowieść całkowicie abstrahuje od ówczesnych kontekstów. Prowadzimy projekt badawczy „Wizje narodu w polskich podręcznikach do nauki historii”. Z tych badań wynika, że największą akceptację

uczniów uzyskały trzy twierdzenia: naród polski w porównaniu z innymi europejskimi krajami wiele wycierpiał w przeszłości – z tym zgadza się 92% uczniów; religia katolicka była i jest ważnym elementem tożsamości Polaków – 87%; największymi historycznymi wrogami Polaków są Niemcy i Rosjanie – 86%. Naród rozumiany jako wspólnota powiązana krwią,

religią i językiem pozwala kolejnym pokoleniom tworzyć ciąg narodowego dziedzictwa i budować na tym swoją odrębność.

**Jak ten naród wygląda od środka?
Kto go tworzy, kto dominuje?**

– To patriarchalna wizja kultury narodowej, gdzie role są jasno rozpisane na tych, którzy aktywnie kształtowali historię, i tych, którzy byli bierni. Trudno znaleźć informacje o kobietach mających wpływ na sprawy polityczne i społeczne. Dominują dzielni heteroseksualni mężczyźni. Ich poczet rozpoczyna Mieszko, a dzisiaj kończy Lech Kaczyński. Niewiele informacji odnosi się do chłopów. Jesteśmy wspólnotą, która łączyła się w zrywach będących powodem do chwały, ale nie zastanawiamy się nad przyczynami niepowodzeń powstań narodowych. Nie dowiemy się także niczego na temat procesu nabywania świadomości narodowej na masową skalę. Czy wszyscy byli naprawdę przywiązani do Polski? Od kiedy można mówić o masowej świadomości narodowej?

To znaczy, że nie dowiadujemy się niczego o procesach społecznych?

– Otrzymujemy tylko mity o regenerującej się wspólnotie, ale ani słowa o tym, jak ona wewnętrznie funkcjonuje, jakie mechanizmy działają w społeczeństwie. Nie ma to nic wspólnego z refleksją na temat sposobu tworzenia się tkanki społecznej. W podręcznikach młodzi ludzie nie znajdują zachęty do zastanowienia się nad przebiegającymi w czasie skomplikowanymi procesami, które

wyjątkowością, nie wiadomo jednak, na jakiej zasadzie pojawiły się w polityce i dlatego np. Kościuszko ma o wiele bardziej marginalną rolę niż np. Jan Paweł II. Tak naprawdę teraz w szkole podstawowej dzieci będą uczęszczały na ćwiczenia z figur pamięci i mnemotechniki narodowej. Najważniejsze staną się kojarzenie narodowych bohaterów i idealny obraz narodu. Nacisk na nadzwyczajny charakter polskiej historii został doprowadzony do sytuacji krańcowej.

W nauczaniu historii wykorzystywana jest fascynacja militariami.

dotyczą wielu grup ludzi, różnych terytoriów, na których ta wyobrażona polskość się realizowała. Pomijane są kwestie społeczne i klasowe, perspektywa gospodarcza. Wybiera się węzłowe postacie i wydarzenia, które mają być znakami narodowej tożsamości i historii.

Według jakiego klucza się je wybiera?

– Te postacie są takimi figurami pamięci. Wszystkie charakteryzują się

Co nam przysłania ta wyjątkowość?

– Z tej perspektywy jesteśmy samoodnawiającym się organizmem. Pozbawieni państwowości, przesładowani za religię i kulturę przechodziliśmy w cudowny sposób esencję, którą nazywamy polskością. Nie udało się autorom podręczników pokazać, jak z wizji Polski jagiellońskiej, z koncepcji narodu obywatelskiego, która była realizowana w praktyce, nagle staliśmy się monokulturowy- ▶



Nowa historia wymaga nowych bohaterów. „Namioty Wyklętych” – projekt edukacyjny przygotowany przez IPN na Rynku Głównym w Krakowie, 5 marca 2017 r.

IPN rekomendował historyków, którzy stworzyli nowe programy nauczania. List intencyjny w tej sprawie minister Anna Zalewska i prezes IPN Jarosław Szarek podpisali 24 sierpnia 2016 r.

- mi katolikami postrzegającymi siebie etnicznie, dla których najważniejsza jest wspólnota krwi i pochodzenia, taka polska rodzina rozszerzona. „Prawdziwi Polacy” w monolitycznym państwie bez miejsca dla mniejszości?

– Rzeczywiście, w takiej wizji naszej przeszłości mało uwagi poświęca się mniejszościom narodowym. Znalazło się trochę miejsca dla Tatarów, ale ich potencjał historyczny jest niegroźny. Mniejszości narodowe w takiej etnicznej koncepcji stanowią zagrożenie dla jednolitego narodu. Jesteśmy o tyle zwartym społeczeństwem, o ile potrafimy reprezentować naszą własną autarkiczną kulturę. Nie ma tutaj miejsca dla innych konkurencyjnych wartości.



To, co państwo proponuje na lekcjach historii, to przede wszystkim historia antagonizująca.

Jak ten obraz przeszłości może działać w obecnej sytuacji, szczególnie w kontekście uchodźców?

– Na pewno pomaga budować poczucie zagrożenia. Uchodźcy nie są już oswojonymi miejskimi mniejszościami etnicznymi, takimi jak Wietnamczycy, którzy na razie mają akceptację społeczną, ani sfolkloryzowanymi Tatarami. Na takim gruncie bardzo łatwo upowszechnić opowieść o uchodźcach, którzy gwałcą nasze kobiety. To się jakoś łączy z legendą o naszym losie, że ktoś gdzieś znów zagraża naszemu istnieniu. Koncepcja polskości jest silnie zakorzeniona terytorialnie, mimo że zmiany terytorialne u nas zachodziły, a przez sporą część historii nowożytnej byliśmy narodem uchodźczym. **Mamy wobec tego materiał do przemyśleń.**

– Niestety, nie korzystamy z tych doświadczeń. Aż się prosi, żeby pokazać, skąd te kilkanaście milionów Polaków w świecie. Takie pytania jednak nie padają, a historie tych ludzi czekają na opowiedzenie. Wydaje mi się, że jest to traktowane jako wstydlivy fakt, o którym się mówi, ale brakuje chęci przepracowania tego tematu.

Jak z takim nauczaniem historii wyglądamy na tle innych krajów Europy? Czy tylko my nosimy taki sztywny narodowy gorset?

– W Europie w nauczaniu historii także zaszły wielkie zmiany. Pamiętajmy, że w latach 80. XX w. wydawało się, że nastąpi zmiana jakościowa. W Europie silna była wiara w przepracowanie pewnych zaszłości, zwłaszcza związanych z I i II wojną światową. Zdawało się, że to już się dokonuje. Dzisiaj jesteśmy świadkami powrotu do historii

Największą akceptację uczniów uzyskały trzy twierdzenia:

- naród polski w porównaniu z innymi europejskimi krajami wiele wycierpiał w przeszłości – **92%**
- religia katolicka była i jest ważnym elementem tożsamości Polaków – **87%**
- największymi historycznymi wrogami Polaków są Niemcy i Rosjanie – **86%**

narodowych. W Europie Zachodniej ten proces zachodzi w szerszym kontekście. Zmiana akcentów przebiega dużo łagodniej, weźmy np. odpowiedź na to, co dzisiaj nazywa się kryzysem uchodźczym. Mamy do czynienia raczej z próbą konfrontacji historii narodowych z wielokulturowością, która jest faktem w Anglii, we Francji bądź w Hiszpanii. Młode pokolenie w Hiszpanii postrzega historię swojego kraju jako pewien fenomen, ale taki, który doprowadził do tego, że jest otwarta na świat. Dzięki historii te państwa próbują lepiej zrozumieć współczesność.

Polska na ich tle wydaje się samowystarczalnym państwem narodowym. Broniącym się przed przepływami idei i wiedzy.

– Nie zawsze tak było. Przypomnijmy sobie początek lat 90. i wspólne prace komisji polsko-litewskiej, polsko-niemieckiej czy polsko-rosyjskiej ds. trudnych. Przecież wiele wskazywało, że pod koniec lat 90. będzie wspólny podręcznik polsko-niemiecki do nauczania historii. Dzisiaj takim pomysłem narażamy się na społeczne wykluczenie. Nam najbardziej zależy na kwestiach tożsamościowych i pa-

triotycznych. Podobnie to wygląda w Europie Wschodniej. Wszędzie jest odwrót od takiej, powiedziałbym, historii optymistycznej. Dlatego elementy niewygodne, które mogłyby zakłócać wyobrażoną tożsamość narodu, traktuje się jak czarne dziury. Obserwujemy tendencję do tego, co Michel-Rolph Trouillot nazwał „uciszaniem przeszłości”, mogącą doprowadzić do kulturowej i historycznej amnezji.

Jakie są nasze czarne dziury, czego nie chcemy widzieć?

– Jesteśmy świadkami uciszania przeszłości, dokonującego się w trzech aktach: wybierania faktów, budowania określonej narracji i wprowadzania tego do historii narodowej. Uciszone są historie, które nie mieszczą się w obecnym układzie politycznym. Można powiedzieć, że są postrzegane jako skandaliczne.

Młode pokolenie nic nie wie o PRL, skąd się wzięła ta epoka.

Kto i co wywołuje dzisiaj największy skandal historyczny?

– Takich skandali jest wiele. Młode pokolenie nie wie nic na temat PRL, skąd się wzięła ta epoka. Miliony ludzi żyło w czarnej dziurze? Cofnijmy się jeszcze trochę i weźmy pod lupę wojnę w 1920 r. Jedynym bohaterem jest Piłsudski, ale czy młodzi ludzie są świadomi, kto wtedy był premierem Polski i kto mobilizował chłopów do walki? Skandalem jest też przynależność Piłsudskiego do PPS. Nie ma miejsca dla żadnej wrażliwości lewicowej. Czy ktoś dzisiaj słyszał o Daszyńskim? Patriotyzm ma prawicowy charakter.

Do czego przygotowuje młodych takie przedstawianie przeszłości?

– Jestem jak najgorszej myśli. Żyjemy w czasach, kiedy myślenie linearne przestało być podstawą nauczania historii. Zalewa nas potok słów i obrazów. Dzisiaj wojna i walka to główne mechanizmy wzmożenia świadomości narodowej. Obserwujemy fascynację militariami, skupienie się na wybranych walkach i bitwach, zwłaszcza tych, które można zrekonstruować i wykorzystać w nauczaniu

Aż się prosi, żeby pokazać, skąd te kilkanaście milionów Polaków w świecie.

historii. Powstaje złudzenie, że możemy dotknąć historii. Ale jak odpowiedzialnie w obecności młodych ludzi odtworzyć rzeź wołyńską? Takie rekonstrukcje często funkcjonują w oderwaniu od realiów historycznych, jako autonomiczne znaki polskiej historii.

Do tego dochodzą symbole narodowe, wykorzystywane właściwie już przy każdej okazji.

– Polacy zaczynają się identyfikować ze swoim narodem dzięki tym zewnętrznym rzeczom. Jeśli nie założymy koszulki z kotwicą Polski Walczącej, to znaczy, że coś z nami jest nie tak. To ma być rzekomo oznaką patriotyzmu. Naród powinien się oflagowywać.

Istnieje niebezpieczeństwo zbanalizowania ważnych, ale przy tym tragicznych i naznaczonych tysiącami ofiar okresów w historii?

KSIĄŻKI PROF. ŁAGOWSKIEGO

Kłamstwa zwane polityką historyczną



47 zł



48 zł

Książki można kupić, wpłacając odpowiednią kwotę na konto wydawcy PRZEGŁĄDU: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona, lub przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl.

Wiecej informacji:
tel.: (22) 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

► – Proszę zauważyć, że powstańcy warszawscy przestrzegają przed tworzeniem mitów, ale za chwilę już ich z nami nie będzie. Dla młodych wojna jest teraz zupełnie innym wyobrażeniem. Patriotyzm dzisiaj dla wielu jest tożsamy ze stanem euforycznym.

Nie zastanawiamy się nad przyczynami niepowodzeń powstań narodowych.

Brytyjski historyk Eric Hobsbawm w jednym z artykułów napisał, że „zła historia nigdy nie jest niewinna”. Czy dzisiaj te słowa są w Polsce jakoś aktualne?

– To, co nasze państwo proponuje młodym ludziom na lekcjach historii, jest złą wizją historii. To nie tylko hi-

storia zmitologizowana, ale przede wszystkim antagonizująca i stale powiększająca obszary uciszenia. Wszystko zostało podporządkowane myśli o stworzeniu nowej Polski i nowych Polaków.

Jak w takim kontekście funkcjonuje pojęcie odpowiedzialności?

– To bardzo ciekawe pytanie. W tej koncepcji odpowiedzialność jest równoważna z patriotyzmem. Wszyscy patriotcy są odpowiedzialni, z „żołnierzami wyklętymi” włącznie. Jeśli coś poszło nie tak, to zawsze można powiedzieć, że chcieli dobrze. Oni zasilają

Nauka historii jest zbudowana na mitycznym wyobrażeniu polskości, poczynając od Mieszka i Chrobrego.

grupy tych najtragiczniejszych postaci, ale takich, które w ramach swojej racjonalności podjęły bardzo odpowiedzialną decyzję. Walczyli, mimo że nie było szans na powodzenie i było wiadomo, że pociągnie to za sobą ofiary, ale byli przecież jeszcze zdrajcy.

Nawet jeśli jeden z „żołnierzów wyklętych”, Romuald Rajs ps. „Bury”, ma na koncie czystki etniczne?

– W takiej sytuacji zostaje nam wzruszenie ramion. Usłyszymy, że co prawda zdarzyła się jakaś jedna tragedia, może dwie, ale skupmy się na tym, co piękne. Dzisiejszymi targowiczami są komuniści.



Poczet ważnych postaci polskiej historii rozpoczyna Mieszko, a kończy Lech Kaczyński. Nż. nadanie imienia zmarłego prezydenta Szkole Podstawowej w Chełcach, 19 października 2010 r.

Zapotrzebowanie na zdrajców zaspokajają wyobrażenia komuniści. Figurę komunisty wykorzystuje się do oznaczania i etykietowania przeciwników w doraźnej walce politycznej. Im bliżej współczesności, tym worek jest większy. Mamy prosty podział: my i oni.

Kto jeszcze należy do zbioru oni?

– My to byt jednorodny, ów mityczny suweren. Natomiast kategoria oni jest zbiorem najrozmaitszych osób i środowisk: wrogów historycznych (Niemcy, Rosjanie), etnicznych (Żydzi, uchodźcy), politycznych (komuniści, lewacy), wszelkich grup mniejszościowych (środowiska LGBT, ekolodzy), europejskich (rozmaite agendy UE). Ten zbiór można dowolnie opróżniać albo uzupełniać, dorzucając np. kobiety, a przynajmniej ich część etykietowaną jako szalone feministki. My jednorodni stajemy naprzeciw konfederacji onych.

Od czego więc zacząć, by w inny sposób postrzegać historię?

– Przede wszystkim powinniśmy szukać odpowiedzi na pytanie, czym jest dla nas historia. A także po co nam ona. Na ile ma opowiadać o świecie, a na ile tylko o nas samych. Ważna jest też próba pokazania, w jakim sensie historia naucza współczesności, na ile jest przestrogą, na ile motywem działania, a na ile szkołą myślenia o ludzkiej różnorodności. Myślę, że dobrym kierunkiem jest demokratyzacja historii.

Kacper Leśniewicz



PROTEST ŚRODOWISKA
MEDYCZNEGO
ROZSZERZA SIĘ,
A RZĄDZĄCY UDAJĄ,
ŻE SĄ HOJNI
DLA PACJENTÓW

NIECH GŁODUJĄ?

Ewa Rogowska

Samodzielny Publiczny Dziecięcy Szpital Kliniczny Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Od rozpoczęcia protestu głodowego przez rezydentów minęło 18 dni. Byłam tu wielokrotnie, o różnych porach dnia. I wczesnym rankiem, kiedy część rezydentów jeszcze spała (z chroniącą przed światłem opaską na oczach), i wczesnym czy późnym popołudniem. Tym razem odwiedzam ich po godz. 22. Wiele razy w czasie tego protestu kamery telewizyjne towarzyszyły im do 23 i dłużej. Czy nadal tak jest, czy układają się do snu w obecności mediów? Może nie, bo temat przestał być gorący. I o to rządowi chodziło. Żebyśmy się przyzwyczaili do tego protestu głodowego, tak jak

przywykliśmy do przyczepy kempingowej ustawionej przez KOD pod koniec 2015 r. przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów.

WTRĄCENI DO PODZIEMIA

Wokół szpitala spokój. Nie ma korydorów pacjentów, nie ma setek studentów pędzących na zajęcia. Szybkim krokiem idzie mężczyzna z chłopcem. Pyta o drogę na izbę przyjęć. Z samochodu wysiadają rodzice z bliźniakami na rękach. Pod SOR podejżdża taksówka z matką i dzieckiem. Zwyczajne nocne życie szpitala. Najstłynniejszy polski hol jest pusty. We wtorek, około godz. 21, głodującym kazano zwinąć manatki i przenieść się z parteru na dolny poziom. Oni mówią, że zeszli do podziemia. Dosłownie. Może ktoś pomyślał:

Protestującym w szpitalu na Banacha ludzie przynoszą całe bukiety z dedykacjami i słowami wsparcia.

co z oczu, to z serca. Ale oficjalnym powodem eksmisji jest stwierdzenie szpitalnego epidemiologa, że z winy głodujących może powstać zagrożenie epidemiologiczne.

– Przecież jesteśmy pracownikami opieki zdrowotnej. Jeszcze kilka dni temu, zanim wzięliśmy urlopy, by protestować, normalnie pracowaliśmy. Nie jesteśmy chorzy. Większym zagrożeniem są te osoby, które przychodzą do szpitala w odwiedziny – dziwi się jeden z głodujących, ratownik medyczny Teodor Skoczyński, który ukończył studia sześć lat temu. Głoduje czwarty dzień.

Protest zaczęło 20 osób, momentami było ich ponad 30. Teraz – decyzją samych protestujących – znowu jest 20 osób. W czwartek, 19 października, wieczorem dwie osoby zostały zdyskwalifikowane, więc w piątek mogli się pojawić nowi ludzie. Od początku protest wspomagały inne zawody medyczne, byli: ratownik medyczny, lekarz specjalista, pielęgniarka, analityk... W poniedziałek, 16 października, protest przejęło Porozumienie Zawodów Medycznych, aby był on głosem

całego środowiska medycznego, a nie tylko kilkunastotysięcznej grupy rezydentów.

W holu głównym szpitala nad głowami głodujących fruwały kolorowe ryby z *papier mâché*, które mogły wywoływać marzenia o porcji dorsza z surówką. Teraz pokusy są jeszcze bardziej dotkliwe, bo medycy głodują w przedsiionku kantyny. Nie da się nie czuć zapachu przygotowywanych dań.

Choć minęła godz. 22, protestujący jeszcze nie śpią. Jedni dyskutują o mijającym dniu, drudzy poszli do łazienki, by zmyć z siebie jego kurz, kolejni wyszli na zewnątrz szpitala, by pogadać z bliskimi, bo w podziemiu telefony tracą zasięg. Czeka ich kolejna trudna noc, nie tylko za sprawą głodu. Hol przed kantyną jest nieduży i niski, nie ma dopływu świeżego powietrza, dokucza duchota. Dlatego ▶

► przyjaciele przynieśli dwa wentylatory. Ale awaria instalacji elektrycznej spowodowała, że nie można używać żadnego gniazdka w promieniu kilkudziesięciu metrów. Wentylatory stoją bezużyteczne.

Kiedy w czwartek rano zapowiedziano konferencję prasową ministra Konstantego Radziwiłła, osoby trzymające kciuki za głodujących, ale i za siebie samych jako pacjentów, miały nadzieję, że padnie informacja o przyjęciu głównego postulatu protestujących – dojsiu do 6,8% PKB na ochronę zdrowia do 2021 r. – Ja właściwie nie miałem takiej nadziei – mówi Teodor Skoczyński. – Tak jest lepiej, bo wtedy człowiek nie czuje się rozczarowany.

Codziennie protestujący dostają wyrazy poparcia. Wiele osób przychodzi, by podarować butelkę wody mineralnej albo soku. Inni przynoszą pojedyncze kwiaty albo całe bukiety z dedykacjami i słowami wsparcia. Głównie czerwone róże. Codziennie przychodzi też pani z kundelkiem, by zaaplikować im swoistą dogoterapię – żeby pozbawieni przez wiele dni towarzystwa najbliższych mogli się poprzytulać do zwierzaka, pogłaskać go. W czwartek ogromnie podbudowała ich nieoczekiwana wizyta 50 motocyklistów. Powiedzieli, że są po stronie głodujących i że im dziękują. A potem przed szpitalem wykonali koncert na 50 silników. Takie chwile przekonują, że społeczeństwo rozumie, że oni głodują nie dla siebie, ale dla wszystkich.

Wyrazy poparcia pozwalają znieść ataki. Hejterzy nie przychodzą do rezydentów, atakują anonimowo. Tylko raz pojawił się przeciwnik protestu, by wyłożyć swoje racje. Był elegancznie ubrany, ładnie się wystawiał, ale kim był z zawodu, nie wiadomo. Inni szperają na portalach społecznościowych, by znaleźć haka na któregoś z protestujących. Katarzynie Pikulskiej, która była bohaterką reportażu w poprzednim numerze PRZEGŁĄDU, zarzucono, że jest bogaczką, podróżuje do egzotycznych krajów, ma kilka drogich samochodów i żywi się kanapkami z kawiozem. Hejterom sekundowała TVP Info – pokazała Pikulską w czasie wakacji w USA przy samochodzie marki mustang. Sugerując oczywiście, że to jej samochód. Czyli że ma kasę na luksusy. Tymczasem większość zdjęć pochodzi z misji medycznych. Pikulska jako wolontar-

iuszka programu Polska Pomoc była w Kurdystanie, a z ramienia Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej też w Tanzanii. Ten program realizuje nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych. W marcu 2016 r. „Wiadomości” TVP pokazały Pikulską w reportażu o polskich lekarzach w Irbilu w irackim Kurdystanie.

Innego rezydenta, o śniadej cerze, wyzywano od ciapatych i żądano, by – delikatnie rzecz ujmując – zniknął. Co siedzi w głowie ludzi, którzy ubliżają lekarzom protestującym dla dobra pacjentów? Skąd mają pewność, że nie będą musieli korzystać z pomocy publicznej służby zdrowia? W każdym razie protest głodowy rezydentów poparły dziesiątki organizacji. Nawet Ruch Narodowy. – Niektórym trudno w to uwierzyć, ale w swoich szeregach mamy także lekarzy – mówi mężczyzna odpowiedzialny za sprawy organizacyjne ruchu. – Hejterzy na pewno nie są od nas.

SAMOZACHWYT MINISTRA

Stały Komitet Rady Ministrów obradował 19 października przed południem. Bez pani premier, która brylowała w Brukseli. Na godz. 12.30 zapowiedziano konferencję prasową. Przesunęła się o 25 minut. Nie wiadomo było, czy to zwiastun czegoś dobrego, czy przeciwnie. Do dziennikarzy wyszło trzech ministrów: Henryk Kowalczyk – od wszystkiego, Konstanty Radziwiłł – od zdrowia i Leszek Skiba – wiceminister finansów. Henryk Kowalczyk poinformował, że na posiedzeniu zatwierdzono projekt ustawy, która określa, że wydatki na ochronę zdrowia stopniowo wzrosną

Minister straszy środowisko medyczne sugestią zlikwidowania rezydentur i szerokiego otwarcia drzwi dla lekarzy spoza Unii.

do 6% PKB do... 2025 r. Nie wspominał oczywiście, bo i po co, że po ośmiu latach nie osiągniemy nawet średniego nakładu na zdrowie w Unii Europejskiej, który wynosi 6,8% PKB. Nie wspominał też, że w ten sposób rząd odrzuca główny postulat protestujących od 18 dni medyków.

Minister zdrowia triumfalnie oznajmił, że to dzień historyczny. Z powodu projektu nowej ustawy oczywiście. Poinformował też, że dodatkowo w budżecie będzie 5 mld zł, a 3 mld zł



z tej kwoty zostaną skierowane na ochronę zdrowia. Z kolei wiceminister finansów zachłysnął się, że to dobiecie po ośmiu latach do poziomu 6% PKB, nawiasem mówiąc znacznie poniżej zalecanego przez WHO, jest programem rewolucyjnym i przełomowym.

Trwający w samozachwycie ministrowie nie bardzo mieli ochotę, by ktoś im ten stan zepsuł. Dlatego zgodzili się jedynie na dwa pytania od dziennikarzy. Reporterka z mediów komercyjnych spytała ministra zdrowia: – Rząd proponuje poziom finansowania służby zdrowia 6% PKB w 2025 r., rezydenci walczą o 6,8%

w 2021 r. Czy rozważa pan dymisję? Minister zaprzeczył. – Przyjęcie tego projektu ma charakter rewolucyjny – powiedział. – To jest kwestia odpowiedzialności za różne zadania: żeby była dobra edukacja, żeby nie było dziur w drogach, żeby było bezpiecznie. I to wszystko kosztuje, my musimy te pieniądze dzielić odpowiedzialnie. To jest zupełnie oczywiste, że służba zdrowia potrzebuje więcej pieniędzy i tych pieniędzy będzie więcej. W tej sytuacji robienie rządowi zarzu-



Pikiety popierające protest młodych lekarzy odbywają się w całej Polsce. Nt. manifestacja 13 października w Krakowie.

rezydentów, by powstrzymali się od strajku, bo jest bezsensowny i ma charakter polityczny.

Powiedział to ktoś, kto świetnie rozumie, że główny postulat rezydentów nie został spełniony. A także wie, że od początku protestu rezydenci odcinają się od polityków.

ZASTRASZANIE

Minister zdrowia nie chce mieć miecza Damoklesa nad głową. Zamierza postraszyć i poskromić środowisko medyczne. Stąd sugestie, że być może rezydentury zostaną zlikwidowane. A potem kolejna, że otworzy się szeroko drzwi dla lekarzy z krajów spoza Unii Europejskiej. W tej chwili wykonywanie zawodu lekarza przez takie osoby wymaga nostryfikacji dyplomu i uzupełnienia różnic w wykształceniu. Poza tym zdania egzaminu z języka polskiego, który organizuje Naczelna Izba Lekarska. Wielu już przeszło taką trudną procedurę. W sumie w Polsce pracuje teraz 1137 lekarzy, łącznie ze stażystami, z krajów Unii Europejskiej i spoza niej. Najwięcej z Ukrainy – 306. Głównie na medyków z tego państwa liczy minister zdrowia. Prezydent Międzysektoro-

tu z tego, że przekracza próg czegoś zupełnie nowego i dotychczas niespotykanego, patrząc na te wszystkie okoliczności, analizując sytuację i zachowując się odpowiedzialnie, jest po prostu nieporozumieniem.

Wysłanniczka mediów zwanych narodowymi spytała, co jest zbieżnego z oczekiwaniami rezydentów. Minister nie odpowiedział wprost, bo nie mógł przekonywać, że 6% PKB za osiem lat to jest to samo co 6,8% PKB za cztery lata. Żeby dodać sobie animuszu, użył słów: przełom, sukces, wymiar niewyobrażalny.

Przewodniczący Porozumienia Rezydentów Krzysztof Hałabuz stwierdził, że projekt ustawy nie spełnia postulatów rezydentów, dlatego protest głodowy nie zostanie zakończony. Przeciwnie, rozleje się na kolejne miasta – w czwartek rozpoczęło go sześć osób z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego nr 1 im. Norberta Barlickiego Uniwersytetu Medycznego w Łodzi oraz rezydenci w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Lesznie. W piątek rozpoczął się protest głodowy w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w krakowskim Prokocimiu. Już od wtorku głoduje sześć osób w szpitalu w Szczecinie.

Marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego, chirurga zresztą, wieść,

że protest będzie kontynuowany, zbulwersowała. Nie powiedział oczywiście, że tydzień wcześniej przedstawił rezydentom projekt pewnego dokumentu. Wynikało z niego, że rząd podejmie decyzję, by w ciągu najbliższych trzech lat nakłady na ochronę zdrowia wzrosły do poziomu 6% PKB. Czyli wybierze rozwiązanie

Rezydenci chcą wzrostu nakładów na ochronę zdrowia do 6,8% w ciągu trzech lat. Rząd proponuje 6% do roku 2025.

polubowne. Marszałek zapewniał wówczas, że właściwie wszystko jest dogadane, że teraz podpis złoży pani premier i protest będzie można zakończyć. Kiedy w czwartek, 12 października, około godz. 21 zadzwoniono z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, rezydenci byli przekonani, że to w tej sprawie. I kiedy o godz. 22 dwaj wiceprezesi Porozumienia Rezydentów na prośbę premier Szydło podążyli do niej, sądzili, że w ich obecności podpisze ona dokument, który przedstawił im marszałek. Przed oblicze Beaty Szydło w ogóle się nie dostali.

Tydzień później, 19 października, marszałek Senatu, doskonale znający postulaty rezydentów, a także treść dokumentu, który rozplynął się w kosmosie, przekazał mediom: – Apeluję do

wego Związku Zawodowego Ukraińskich Pracowników w Polsce Jurij O. Karjagin mówi, że to nie będzie takie proste. Lekarze z Ukrainy muszą bowiem poznać standardy europejskie. Łatwiej będzie z językiem polskim, bo – jak oceniają Ukraińcy – co trzeci obywatel ma polskie korzenie.

Radziwiłł chciałby, by lekarze spoza Unii mogli leczyć Polaków od razu, bez nostryfikacji dyplomu. Mieliby przyznane ograniczone prawo wykonywania zawodu – mogliby go wykonywać w określonej placówce.

– To zły pomysł. Nie ukrywam, że jesteśmy w tej kwestii zupełnie odmiennego zdania – oponuje prof. Jerzy Kruszewski, specjalista chorób wewnętrznych, alergolog, kierownik Kliniki Chorób Infekcyjnych ▶

► i Alergologii CSK WIM, przewodniczący Komisji Kształcenia Medycznego Naczelnej Rady Lekarskiej. – Jesteśmy w Unii Europejskiej, mamy określone wymogi dotyczące wykonywania zawodu lekarza. To nie jest dobry sposób na trwałe wyleczenie nas z niedoboru kadry medycznej. Być może jakiś PR-owiec doradził, że trzeba protestujących medyków jakoś przymusić, czymś zaniepokoić. Ale sądzę, że młodzi koledzy się nie przestraszą.

Prof. Kruszewski uważa, że nie można przyjmować lekarzy z krajów spoza Unii bez uzupełnienia różnic w wykształceniu. – Na przykład na Białorusi były takie uczelnie medyczne, które po trzech latach studiów dawały dyplom lekarza. Przyznawanie ograniczonego prawa wykonywania zawodu lekarzom cudzoziemcom spoza Unii Europejskiej, bez solidnej weryfikacji ich wiedzy i umiejętności, może się okazać niebezpieczne dla polskich pacjentów. Jesteśmy w ogonie Europy pod względem liczby lekarzy na tysiąc mieszkańców. Zdaję sobie sprawę, że tego się nie da zmienić od razu. Ale uważam, że odczuwamy braki lekarzy także dlatego, że stworzyliśmy zbiurokratyzowany system. Obecnie lekarz 70-80% czasu poświęca na wypełnianie dokumentów. Myślałem, że po powołaniu uniwersytetów medycznych studenci będą też kształceni w nowych zawodach, wspomagających lekarzy w tego rodzaju pracy. Kontrolerzy NFZ sprawdzają wytworzone przez lekarzy pa-



Teodor Skoczyński (nz. w środku) jest ratownikiem medycznym. Studia ukończył sześć lat temu. Głoduje od 17 października.

piery, a nie to, jak leczą. Współczesna dokumentacja medyczna, wprowadzona przepisami prawa, przestała służyć porozumiewaniu się między lekarzami w sprawie pacjenta.

Nie jest prawdą, że – jak twierdzą hejterzy – nasi rezydenci za granicą byłiby najwyżej sanitariuszami. Jeśli mają problem, to z opanowaniem języka danego kraju, o ile nie jest to język powszechnie znany. Jednak coraz częściej w Polsce są organizowane kursy językowe dla kadry medycznej.

– Czytałem, że w niektórych krajach Europy nie tylko oferuje się lekarzom z zagranicy kurs języka, ale

także po jego zaliczeniu na trzy miesiące przydziela osobistego tłumacza – mówi prof. Kruszewski. – Państwa bardzo dbają o lekarzy, bo po pierwsze wykształcenie lekarza bardzo dużo kosztuje, a po drugie to praca ciężka i wymagająca wielu poświęceń. Dlatego jest coraz mniej chętnych do podejmowania studiów medycznych. To pięć-sześć lat ciężkiej pracy, w różnych warunkach. Nie są to studia łatwe, a szczytne cele i prestiż, jakim lekarz ciągle się cieszy, nie wystarczają, by godnie żyć we współczesnym świecie. Młodzi lekarze chcą ciężko pracować, ale w naszej rzeczywistości bardzo szybko się rozczarowują. Różne kraje, nie mogąc zaspokoić potrzeb kadrowych swoimi obywatelami, sięgają po młodych lekarzy z innych państw, kusząc ich wyjątkowo atrakcyjnym wynagrodzeniem. Jeśli teraz szybko nie zatrzymamy odpływu lekarzy i pielęgniarek, to będzie dramat. Środowisko medyczne bardzo się cieszyło, kiedy Konstanty Radziwiłł został ministrem zdrowia. Jako lekarz był doskonale zorientowany, czego potrzeba polskiej opiece zdrowotnej. Ale od samego mieszkania – a robimy to już od lat – herbata nie będzie słodsza. Trzeba dosypać cukru, i to jak najszybciej.

FASADOWY ZESPÓŁ

Jedną z deklaracji, jakimi rząd chce wygasić protest rezydentów, jest powołanie zespołu ds. systemowych rozwiązań finansowych w ochronie zdrowia, przyszłości kadr medycznych

15 października 2017 r. wyruszył w wieczną podróż

JERZY WYSOKIŃSKI

1932 – 2017

wieloletni dziennikarz PAP, twórca i dyrektor Wydawnictwa „ALFA”,
doradca Prezydenta RP w latach 1995-2005,
współtwórca programu „Internet dla szkół”.

Był człowiekiem wielu talentów, niezwykle kreatywnym i przyjaznym ludziom. Sam zawsze ciekawy wszystkiego, co nowe i postępowe, starał się młodym torować drogę do współczesnych technologii informatycznych. Wierny swoim przekonaniom, szanował odmienne poglądy. Wspierał nas swoim doświadczeniem i otwartością na świat. Na zawsze pozostanie w naszej pamięci.

Aleksander Kwaśniewski

oraz grono współpracowników i przyjaciół: Ireneusz Bil, Stanisław Ciosek, Stanisław Ćwik, Andrzej Dorsz, Marek Dukaczewski, Andrzej Gdula, Marek Hauszyl, Krzysztof Janik, Ryszard Kalisz, Barbara Labuda, Andrzej Majkowski, Tomasz Nałęcz, Marek Ungier, Marek Siwiec, Krzysztof Szamalek, Edward Szymański, Dariusz Szymczycha, Danuta Waniek i Urszula Żyzik-Hauszyl

i sposobu ich wynagradzania. Przeciwno tworzeniu nowego bytu zdecydowanie opowiedziało się sześciu z siedmiu członków istniejącej od 2015 r. Rady Dialogu Społecznego: OPZZ, NSZZ Solidarność, Forum Związków Zawodowych, Konfederacja Lewiatan, Związek Pracodawców Business Centre Club, Związek Rzemiosła Polskiego. Wyłamali się tylko Pracodawcy RP.

Organizacje wystosowały pismo do premier i ministra zdrowia. Żądają w nim „realnego podjęcia próby rozwiązania kwestii finansowania całego systemu ochrony zdrowia oraz problemu niskich płac pracowników ochrony zdrowia”. Wyrażają również nadzieję: „Oczekujemy rozpoczęcia w tej sprawie prac w zespole problemowym ds. usług publicznych Rady Dialogu Społecznego z udziałem przedstawicieli Porozumienia Rezydentów OZZL”. Członkowie RDS zapowiedzieli też, że nie wezmą udziału w pracy nowego zespołu.

Premier ani minister zdrowia listem się nie przejęli. Pierwsze posie-

dzenie zespołu, pod przewodnictwem mało znaczącej wiceminister zdrowia, odbyło się w piątek, 20 października.

PIKIETY POPARCIA

Wsparciem dla protestujących są pikietki. 7 października pod Ministerstwem Zdrowia było wielu lekarzy rezydentów, ich rodzin i sympatyków. Trzeba było zatrzymać ruch na Miodowej. Tydzień później pod Kancelarią Prezesa Rady Ministrów na

13, 14 i 15 października demonstrowano w ponad 20 miastach Polski. W samej Łodzi w pasażu Schillera pojawiło się tysiąc osób: lekarze rezydenci, stażyści, pielęgniarki, ratownicy, diagności laboratoryjni, studenci medycyny, ale i pacjenci, którzy przyszli okazać wsparcie dla postulatów środowiska medycznego.

Jeśli poparcie dla protestu rezydentów, który teraz stał się protestem Porozumienia Zawodów Medycznych, będzie rosło w takim tempie,

Minister zdrowia martwi się o pieniądze na załatwienie dziur w drogach. To niech zostanie ministrem infrastruktury.

długości kilkuset metrów stał zbity tłum, przez który trudno było się przecisnąć. Do uczestników pikietki zorganizowanej przez rezydentów dołączyli ci z pikietki pod pobliskim Ministerstwem Edukacji Narodowej. Nie było żadnych oznaczeń partyjnych, a jeśli nawet pojawił się jakiś polityk, to jako potencjalny pacjent.

rząd będzie musiał przestać udawać, że jest cudownie. Bo to nienormalne, że opieka zdrowotna nie jest priorytetem. I że minister zdrowia martwi się o pieniądze na załatwienie dziur w drogach. To może niech zostanie ministrem infrastruktury...

Ewa Rogowska

DALEKA BRUKSELA BLISKA LUDZIOM



Grupa Postępowego Sojuszu
Socjalistów i Demokratów
w Parlamencie Europejskim

Niepełnosprawny w Unii Europejskiej

Korzystając z możliwości swobodnego przemieszczania się po terytorium Unii Europejskiej, powinniśmy pamiętać, że nie ze wszystkich uprawnień nabytych w danym państwie członkowskim będziemy mogli korzystać w nowym miejscu pobytu. W wielu przypadkach konieczne staje się wystąpienie o weryfikację posiadanych uprawnień bądź o ich ponowne przyznanie. Jest to szczególnie ważne dla osób niepełnosprawnych, których uprawnienia mają w dużej mierze bezpośredni wpływ na jakość codziennego życia. Pojawiające się pytania na ten temat skłoniły Krystynę Łybacką, posłankę do Parlamentu Europejskiego z grupy Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów, do przygotowania poradnika adresowanego tym razem do osób niepełnosprawnych. Jest to kolejny już z cyklu poradników europejskich mających ułatwiać obywatelom polskim odnajdywanie się w realiach prawnych Unii Europejskiej.

„Niepełnosprawny w Unii Europejskiej” to kilkunastostronicowa broszura zawierająca wiele wskazówek dotyczących kwestii zatrudnienia osób niepełno-

sprawnych, a także nabywania i potwierdzania przez nie uprawnień zarówno w Polsce, jak i w innych państwach Unii Europejskiej. Ponadto autorzy opracowania – zespół poznańskich radców prawnych – zamieścili w nim również zbiór najważniejszych, europejskich i polskich, aktów prawnych dotyczących szeroko rozumianej problematyki niepełnosprawności. – Jest to już piąty z kolei bezpłatny

poradnik, który chciałabym przekazać w ręce osób korzystających z możliwości swobodnego przemieszczania się, a także podejmowania pracy na terytorium państw należących do Unii Europejskiej. Częste pytania dotyczące uprawnień wynikających z nabytej niepełnosprawności skłoniły mnie do zajęcia się tym właśnie zagadnieniem – wyjaśnia posłanka Krystyna Łybacka.

Bezpłatny poradnik „Niepełnosprawny w Unii Europejskiej” można otrzymać we wszystkich polskich biurach posłanki Krystyny Łybackiej, których adresy znajdują się na stronie www.lybacka.pl, a także kontaktując się telefonicznie pod numerem **61 852 48 28** lub mejlowo: biuro@lybacka.pl.



Marek Książek

NIECELNE DECYZJE

Zapadł pierwszy wyrok stwierdzający, że celników bez podania przyczyny nie można przenosić do cywila

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Olsztynie uznał za bezskuteczną decyzję o przeniesieniu funkcjonariusza służby celnej do pionu cywilnego. Może to być precedens w skali kraju.

Od 1 marca br. wszystkie służby celno-podatkowe weszły w skład Krajowej Administracji Skarbowej. Jej szef Marian Banaś zapewniał, że reforma usprawni system ściągania przez państwo należności, poprawi warunki pracy i zapewni lepsze wynagrodzenia pracownikom tego sektora. Praktyka pokazała jednak, że łączenie służb stało się pretekstem do pozbycia się niewygodnych pracowników, a przede wszystkim przeniesienia do cywila ponad 3,5 tys. celników spośród 14,5 tys. w całym kraju. Wcześniej byli oni powołanymi do służby mundurowej funkcjonariuszami. Można im było wyznaczać różne zadania, w tym na przejściach granicznych, ale status funkcjonariusza gwarantował im również większe bezpieczeństwo zatrudnienia. Po reformie dostali do podpisania typowe umowy o pracę, które w trybie zwykłym można w każdej chwili wypowiedzieć.

Z FUNKCJONARIUSZA CYWIL

W takiej sytuacji znalazł się Marcin Langowski, mianowany wcześniej do służby w komórce zajmującej się akcyzą, banderolami, grammi hazardowymi itp. Jeszcze trzy miesiące po wejściu reformy w życie, jak opowiada, mógł nosić mundur. Potem jednak dostał do podpisania umowę



Koledzy celnicy wspierają Marcina Langowskiego (nz. pierwszy z lewej) w walce o odzyskanie munduru.

o pracę na podobnym stanowisku, ale już w pionie cywilnym. Bardzo go to poruszyło, bo kilku kolegów z jego komórki pozostało w nowej Służbie Celno-Skarbowej. On, uważany za kompetentnego pracownika, po 12 latach nienaganej służby znalazł się na słabszej pozycji zawodowej. Czyżby zaszkodziły mu wysokie kwalifikacje i doświadczenie? Dlatego na początku czerwca przyjął nowe warunki, ale z pisemnym zastrzeżeniem, że skorzysta z drogi prawnej, aby pozostać w stanie służby.

I tak zrobił, składając skargę do wojewódzkiego sądu administracyjnego, która została rozpoznana na posiedzeniu 19 października. Jako pierwsza z kilkunastu podobnych spraw w olsztyńskim WSA i jedna z licznych w innych sądach w Polsce. Na razie z reguły oddalanych i kierowanych do powszechnych sądów pracy. Te z kolei stwierdzają, że takie sprawy leżą w kompetencjach sądów administracyjnych, i kółko się zamyka. Dotychczas jedynie WSA w Szczecinie wydał wyrok na korzyść skarżącego, stwierdzając, że przekształcenie stosunku służbowego w umowę o pracę to decyzja administracyjna. Co jest o tyle istotne, że można ją zaskarżyć.

– Sąd szczeciński uznał, że w tym wypadku mamy do czynienia z zaniechaniem ze strony ustawodawcy, który nie określił kryteriów, jakimi ma się kierować organ podejmujący decyzję o „ucywilnieniu” funkcjonariuszy – mówi Sławomir Siwy, szef związku zawodowego Celnicy.pl, który przyjechał na rozprawę w Olsztynie. Zarówno tutaj, jak i w innych oddziałach dyrektorzy KAS podejmowali takie decyzje na podstawie

MIASTO BEZ KSIĘGARŃ

Miło nam poinformować, że nasz autor, Leszek Konarski, na 21. Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie (ul. Galicyjska 9), będzie miał dwa spotkania autorskie na stoisku D 57 Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich:

piątek, 27 października, godz. 11.30-13.00
niedziela 29 października, godz. 14.00-15.30.

Z okazji targów 27 października w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” (ul. Szczepańska 1) o godz. 18.00 odbędzie się dyskusja panelowa pt. „Kraków Miastem Literatury bez księgarni”, którą poprowadzi red. Leszek Konarski. Wezmą w niej udział prof. Grzegorz Nieć z Uniwersytetu Pedagogicznego i Adam Lejczak, prezes zarządu Księgarni Akademickiej.

pisma szefa KAS Mariana Banasia. Dlatego Siwy liczył na kolejny przełom w sprawie, spodziewając się podobnego, salomonowego wyroku jak w Szczecinie. Jego optymizm podzielała też grupa przybyłych do sądu celników, będących w podobnej sytuacji jak Marcin Langowski.

LUKI W USTAWIE

Podczas rozprawy radca prawny KAS potwierdziła, że Langowski należał do najlepszych pracowników w swojej komórce i dlatego (?) otrzymał propozycję pracy w pionie cywilnym. Jego koledzy pozostali w służbie jako „rezerwa kadrowa”, zwana także grupą wsparcia. To znaczy, że na co dzień pracują w biurze, ale z zasady dwa miesiące w roku mają pełnić służbę na granicy. Pełnomocniczka KAS próbowała zaprzeczyć, jakoby sądy pracy odrzucały pozwy celników. Mówiła, że tylko oddział olsztyński procesuje się z siedmioma osobami. Była to jednak manipulacja. W sądach pracy są bowiem sprawy tych pracowników izby cel-

nej, którzy w wyniku reformy zostali zwolnieni i sądzą się o przywrócenie ich do pracy.

Wojewódzki sąd administracyjny rzetelnie podszedł do tematu, rozpatrując argumenty obu stron, i wydał wyrok korzystny dla Marcina Langowskiego. Co prawda, w odróżnieniu od sądu szczecińskiego nie uznał, że przeniesienie celnika do pionu cywilnego jest decyzją administracyjną, za to stwierdził bezskuteczność tego aktu. Nie wiadomo bowiem, jakimi kryteriami kierował się

rach kadrowych, ale nie może tu być dowolności. Dlatego taka czynność nie może wywoływać skutków prawnych. Co świadczy o tym, że w ustawie o reformie są luki prawne.

Wyrok nie jest prawomocny, ale Marcin Langowski wierzy, że wkrótce odzyska prawo noszenia munduru.

Chociaż orzeczenie WSA w Olsztynie nie może być powielane przez inne sądy, które rozpatrują skargi indywidualne, wyrok ma charakter precedensowy. Jak mówi przewodniczący olsztyńskiego związku

Łączenie służb celnych i skarbowych stało się pretekstem do pozbycia się niewygodnych pracowników.

organ, proponując funkcjonariuszowi umowę o pracę w pionie cywilnym. Ta konkretna osoba – podkreślał sąd – ma prawo wiedzieć, dlaczego znalazła się w drastycznie innej sytuacji niż dotychczas. Nie zaszyły żadne szczególne okoliczności, by „ucywilnić” funkcjonariusza. Reforma celno-skarbowa dała pracodawcy upoważnienie do zmian w struktu-

Celnicy.pl Rafał Markiewicz, na podobne rozstrzygnięcie czeka co najmniej kilkanaście osób z terenu działania byłej izby celnej. W takiej sytuacji jest znacznie więcej, bo w sumie ok. 80 pracowników, ale część pogodziła się ze zmianą, a niektórzy po szoku wywołanym taką decyzją ratują zdrowie w szpitalach i na zwolnieniach lekarskich. ■

10 FESTIWAL TWÓRCZOŚCI KOROWÓD 2017

WIELKA GALA JUBILEUSZOWA

Andrzej **PONIEDZIELSKI** • Magda **STECZKOWSKA**

Anna **TRETER** • Magda **UMER** • Artur **ANDRUS**

Michał **BAJOR** • Staszek **KARPIEL-BUŁECKA**

Krzysztof **KILJAŃSKI** • Olek **RÓŻANEK**

WOLNA GRUPA BUKOWINA

03.12.2017, godz. 19:00 ICE KRAKÓW

WWW.PIOSENKARNIA.PL

organizator festiwalu:



partnerzy i przyjaciół festiwalu:



Stowarzyszenie Autorów:



MAO BRONIŁ GOMUŁKI

Nieznane kulisy Października '56

Rozmawia Robert Walenciak

W Październiku '56 i jeszcze parę lat później polska inteligencja ogromnie fascynowała się Chinami. Hasło Mao: „Niech rozkwita sto kwiatów i rozwija się sto szkół myślenia”, potraktowano jako program nowego, demokratycznego socjalizmu, obok jugosłowiańskich inspiracji „rad robotniczych”. Chyba nigdy przedtem ani potem nie mieliśmy tak bliskich stosunków z Chinami. A jak wyglądał nasz Październik z perspektywy chińskiej? Jak wyglądały wtedy Chiny?

– Wylądowałem w Chinach jesienią 1964 r. To był specyficzny okres po tragicznych eksperymentach Wielkiego Skoku, okres tzw. uregulowania. Mao w praktyce został odsunięty od władzy po plenum w Lushanie (1959 r.). Partią faktycznie kierował Deng Xiaoping, a funkcję głowy państwa przejął Liu Shaoqi, co także bardzo poszerzyło możliwości premiera Zhou Enlaia, kierującego rządem od proklamowania ChRL, starającego się prowadzić politykę pragmatyczną. Krótki epizod polityki „stu kwiatów” też był odległą przeszłością, bo wszystkie niemaoistowskie kwiatki zostały ścięte w „kampanii przeciwko prawicowcom”.

To był okres, kiedy przywrócono działki przyzagrodowe, wobec tego istniały ryneczki chłopskie, sam na takim obok naszej uczelni kupowałem pomidory, owoce. Był to wciąż biedny, wiejski kraj, niemal cały Peking był parterowy, z wieloma samochodami i masami rowerów, a kraj był odizolowany od świata. Cudzoziemców w Pekinie było wtedy bardzo niewielu. Wszystkich studentów cudzoziemców może kilkuset. Z krajów demokracji ludowej na mojej uczelni byłem ja, Niemiec z NRD, troje Węgrów, czterech Rumunów, później dojechało kilkoro Rosjan.

A z Zachodu?

– Pojedyncze osoby. Dopiero w roku 1965, kiedy de Gaulle nawiązał stosunki z Pekinem, przyjechała grupa Francuzów. ChRL była w tym czasie



PROF. KRZYSZTOF GAWLIKOWSKI

– badacz klasycznej i nowożytnej myśli chińskiej, dyrektor Centrum Cywilizacji Azji Wschodniej Uniwersytetu SWPS

bojkotowana, nieuznawana przez Amerykę i jej satelitów, gdyż Waszyngton i w związku z tym ONZ uznawały jako rząd ogólnochiński tylko władze narodowców na Tajwanie. A w samych Chinach był to okres pewnego luzu politycznego i względnego dostatku, nie było wielkich kampanii ideologicznych, politycznych. Rządzili – można rzec – maoiści pragmatycy. Mniej interesowali się ideologią, a bardziej pragmatyką, żeby jakoś wyprowadzić kraj na prostą po tych wszystkich eksperymentach i zaburzeniach.

BYŁEM JEDYNYM POLAKIEM ŻYJĄCYM NA MIEŚCIE

Do Pekinu pojechał pan na wymianę.

– Zjechałem tam jako człowiek dobrze znany ambasadzie ChRL w Warszawie, student sinologii, pomagający w Polsce wielu studentom chińskim itd. A w Chinach dokumentację dotyczącą studentów cudzoziemców prowadzono bardzo skrupulatnie. Byłem ostrożny. Dwa lata wcześniej na

Uniwersytecie Pekijskim w ramach wymiany był asystent z Uniwersytetu Warszawskiego. Rzekomo popełnił samobójstwo, zadając sobie siedem ran, nożem, w plecy. Komisja powołana przez obie strony – naszą ambasadę i stronę chińską – zgodnie uznała jednak, że to było samobójstwo. W tej sprawie przeprowadziłem na własną rękę śledztwo. I cóż... Gdziekolwiek napotkałem jakiegoś jego znajomego, to uciekałem jak najdalej. Jego znajomi Chińczycy byli zatrudnieni albo w jakimś reaktorze atomowym, albo w technicznej obsłudze radiostacji... Z sinologią nie mieli nic wspólnego.

Łatwo było panu takie śledztwo prowadzić?

– W Pekinie przebywałem do końca sierpnia 1966 r., czyli do wybuchu rewolucji kulturalnej. Byłem jedynym Polakiem żyjącym na mieście (wszyscy inni żyli w ambasadzie), który oglądał początki rewolucji kulturalnej. Moje kontakty z naszą ambasadą pozostawały dosyć luźne. Poza niektórymi prywatnymi znajomościami, z tłu-

maczami Bogusławem Zakrzewskim i Ksawerym Burskim. Obydwaj zaturani jako znający język chiński. Ambasada liczyła wprawdzie kilkadziesiąt osób, ale w większości niezających języków. Najróżniejsze pociotki jakichś dygnitarzy, nieraz zwyczajne głupki, siedziały tam za niezłe pieniądze.

Praktycznie nie wychodząc na miasto.

– Niedaleko ambasady był sklep dla cudzoziemców, dla dyplomatów, tam robili zakupy. Chińczycy parę razy sprawdzali, czy biegam z donosami do ambasady, czy nie. A ponieważ stwierdzili, że nie biegam, w końcu dali mi korzystny status indywidualny, równy studentom z Wietnamu Południowego. Ze wszystkich cudzoziemców oni byli wtedy najbardziej uprzywilejowani przez Chińczyków.

MÓJ PRZYJACIEL SEKRETAŹ

Studiował pan także na Uniwersytecie Pekińskim?

– To później. W drugim roku. Na pierwszym uczęszczałem do Pekińskiego Instytutu Języków Obcych. To była szkoła elitarna, najprawdopodobniej kontrolowana, utrzymywana i zarządzana przez chiński wywiad. Cudzoziemców było tam około stu. Plus kilkuset Chińczyków, którzy uczyli się języków obcych, zachodnich. Nie spotkałem tam nikogo, kto by się uczył np. arabskiego czy rosyjskiego. Przy czym oni byli już po normalnych studiach językowych. Doskonali praktyczne po-

Gomułki i naszego wielkiego przełomu destalinizacji oraz pewnego uniezależnienia od Moskwy udało się uniknąć interwencji sowieckiej w Polsce i losu Budapesztu, a czołgi radzieckie jechały już na Warszawę. Dlatego sam Gomułka i premier Cyrankiewicz odczuwali wciąż pewną wdzięczność dla Chin i nadal odnosili się do nich dość życzliwie, a w rezultacie Polska nie włączała się w radzieckie kampanie antychińskie jak inne kraje satelickie. Ponieważ ten chiński sekretarz partii znał trochę

Rola Chin była o wiele większa, niż u nas się sądzi!

polski, słabo mówił, ale bardzo dużo rozumiał, zaprzyjaźniliśmy się i dosyć często spotykaliśmy. Informował mnie o najróżniejszych chińskich sprawach. I o historii niedawnej, którą sam przeżywał, i o tym, co się dzieje aktualnie w chińskiej polityce, o kontrowersjach w kierownictwie, o tym, że zaczyna się wielka ruchawka, o nadchodzącej rewolucji kulturalnej, której skali oczywiście nie przewidywał. Byłem jednym z nielicznych cudzoziemców, którzy orientowali się, o jak wielką stawkę toczy się gra, jak fundamentalne są rozbieżności w kierownictwie kraju. Wraz z grupą studentów cudzoziemskich zostałem przyjęty przez Peng Zhena, wówczas mera Pekinu, a jak wiedziałem od mojego sekretarza – następcę Mao. Przy pewnej okazji dyplomatycznej zostałem przedstawiony marsz. Zhu De. Miałem na co

dem wszedłem po schodach do siebie do pokoju. On mi opowiadał i o mechanizmach polityki, i o niektórych osobach w Chinach, o funkcjonowaniu ambasady w Warszawie, mechanizmach wysyłania wiadomości do Pekinu, a przede wszystkim o Październiku, który przeżył w Polsce. Później miałem bazę wiedzy do dopytywania innych Chińczyków. Zgodnie z tymi informacjami rola Chin była o wiele większa, niż u nas się sądzi! Przed Październikiem w oczach Chińczyków Polska

niczym się nie wyróżniała ani nie budziła szczególnego zainteresowania. Była jednym z krajów demokracji ludowej, sąsiadem ZSRR. Do września 1956 r.

Do VIII Zjazdu KPCh.

– Do pierwszej sesji VIII Zjazdu, bo później była druga, w 1958 r., która rozpoczęła Wielki Skok. Na zjazd przybyła delegacja partyjna z Polski, z ówczesnym I sekretarzem Edwardem Ochabem na czele. Na wszystkie ważniejsze spotkania delegacji polskiej z Chińczykami przychodził ambasador radziecki Paweł Judin. W delegacji był też Franciszek „Witold” Józwiak, były organizator milicji, wiceminister bezpieczeństwa, a wtedy wicepremier i członek Biura Politycznego, wówczas jeden z najbardziej zaufanych ludzi Moskwy w kierownictwie PZPR. Przy wszystkich spotkaniach Ochaba byli więc ambasador radziecki i Józwiak. Nie było zatem możliwości rozmowy o polskich relacjach z Moskwą.

Gdy ten pobyt się kończył, ostatniego dnia delegacja polska się podzieliła. Cała delegacja, z Józwiakiem na czele, pojechała do Szanghaju i Chin Południowych. A Ochab miał odlecieć do Warszawy. Oficjalnie skrócił pobyt w związku z przygotowaniem do plenum. Rano miał samolot. Przyjechał na lotnisko, żeby odlecieć do Moskwy, gdzie miał zaplanowaną przesiadkę.

Wreszcie był sam.

– Odprowadzał go marsz. Zhu De, który był wtedy w Chinach drugą osobą po Mao Zedongu. Mao był przywódcą politycznym, Zhu De wodzem wojskowym, który wygrał wojnę domową, a w chińskim Biurze

Dzięki poparciu Chin dla „narodowego kursu” Gomułki i naszego przełomu destalinizacji udało się uniknąć radzieckiej interwencji w Polsce.

stugiwanie się językami i oswajali z cudzoziemcami, wtedy w Chinach niemal istotami z Marsa. Sekretarzem partii w tej szkole był starszy pan, dawny oficer w armii wyzwoleńczej, a wcześniej dowódca partyzancki i uczeń Mao z Yan’anu, z tamtejszej akademii wojskowo-politycznej. A w okresie naszego Października był szefem wywiadu w ambasadzie chińskiej w Warszawie. Przeszedł już na emeryturę w służbach i w ramach tej emerytury został sekretarzem partii w naszej szkole.

I jego podpytywał pan o Październik?

– Interesując się Chinami, wiedziałem to, co wtedy było wiadome elitom politycznym w Polsce. Że to dzięki poparciu Chin dla „narodowego kursu”

dzień informacje od człowieka z pekińskiej elity! A on, wiedząc, że z tego, co mi mówi, niczego nie doniosę do ambasady, chętnie się spotykał. „Zarabiamy tutaj tyle, że trudno nam wydać te pieniądze – objaśniał. – Ubierać się nie możemy, żadnego luksusu pokazywać nie możemy. To sobie chociaż poużywamy z jedzeniem!”. A ze mną mógł sobie swobodnie porozmawiać.

OCHAB MUSIAŁ UWOLNIĆ SIĘ OD JUDINA

I używaliście.

– Największy mój posiłek u niego zaczął się o godz. 10 rano, a skończył o 9 wieczór. Wróciłem jak balon, z tru-

► Politycznym zajmował się „krajami socjalistycznymi”. Premier Zhou Enlai, choć ważny, bo kierował państwem, był trzeci. I Ochab, już na lotnisku, zażyczył sobie poważnej rozmowy politycznej z marsz. Zhu De. Po raz pierwszy, będąc tam przez parę dni, miał okazję do rozmowy w cztery oczy, tylko z chińskim tłumaczem. Chińczycy ogłosili więc, że samolot ma usterkę techniczną i nie może wylecieć. Opóźnienie odlotu wyniosło mniej więcej sześć godzin. Te sześć godzin Ochab i Zhu De spędzili na rozmowach.

Sami?

– Dokładnie nie umiem powiedzieć, kto jeszcze na lotnisko przyjechał, dzisiaj już nie pamiętam szczegółów, ale wiem, że jeszcze jacyś wysocy dostojnicy dojeżdżali tam na prośbę Zhu De. No i można było się domyślać, że jacyś gońcy z karteczkami jeździli do Mao. Otóż wedle opowieści mojego sekretarza Ochab w Pekinie, na lotnisku, uzgadniał z Chińczykami powierzenie Gomułce bardzo eksponowanego stanowiska, może przywództwa PZPR. Jak pan wie, Ochab był starym komunistą. A jedną z takich absolutnie na sztywno wbitych do ich głowy zasad była dyscyplina. To, że na każdą rzecz, którą się robi, trzeba mieć pozwolenie kierownictwa. Bez niego nic nie można było zrobić!

Ochab w Pekinie, na lotnisku, uzgadniał z Chińczykami powierzenie Gomułce bardzo eksponowanego stanowiska, może przywództwa PZPR.

Żadnych samowolek, więc Ochab, jako stary komunist, choć był szefem partii w Polsce, był przyzwyczajony, że wszystko musi uzgadniać „wyżej”!

Ale z kim, skoro on był najwyższy?

– Oczywiście z Kremlu! Proszę pamiętać, że KPP była oddziałem Kominternu. I miała działać zgodnie z wytycznymi Kominternu. Tak że oni, starzy komuniści, byli przyzwyczajeni do uzgadniania wszystkiego z Kremlu. A ponieważ to było już po śmierci Stalina, był tam Chruszczow i wszystko się posypało wraz z krytykami Stalina. **Chruszczow nie miał jeszcze silnej pozycji...**

– A w tym czasie Chińczycy zaczęli lansować koncepcję, że największym i najstarszym rewolucjonistą jest Mao. I po Stalinie funkcję przywódcą w całym obozie socjalistycznym i ruchu komunistycznym powinien sprawować Mao. W Polsce natomiast,



Niemal cały Pekin był parterowy, z nielicznymi samochodami i masami rowerów.

w PZPR i wśród inteligencji, narastało zmęczenie dominacją moskiewską na każdym kroku, rządami ludzi Kremla, a potępieniem wszystkiego, co nasze, polskie. Zmęczenie tą propagandą, której nie dawało się czytać. Zwłaszcza wśród Polaków, którzy nie przeszli szkoły chederowej, nie mieli za sobą tej specyficznej tradycji intelektualnej dogmatycznego studiowania Księgi. Bo ci starzy komuniści, przeważnie żydowskiego pochodzenia, z takim sa-

nia ze strony Bieruta o „narodowe odchylenie”, co jeszcze umacniało jego legendę patrioty.

– I właśnie w Pekinie Ochab postanowił o tych planowanych zmianach „narodowych” porozmawiać z Chińczykami, uzyskać ich akceptację. Chociaż i do Chin leciał przez Moskwę, i z Pekinu wracał przez Moskwę, nikomu tam nie powiedział o planowanych zmianach. Ponieważ uzgodnił to w Pekinie. Otrzymał akceptację bardziej samodzielnej linii, no i obietnicę wsparcia. Pamięta pan z dokumentów Października te awantury, te wrzaski Chruszczowa, że przecież

nie uzgodniliście tego z nami!? To był kluczowy element! Jak możecie cokolwiek robić, nie uzgodniwszy z Kremlu? No, Ochab uzgodnił w Pekinie. Tylko nie powiedział tego Chruszczowowi. Gomułce zapewne powiedział, chociaż nie wiem, w jakim momencie. Bo relacje Gomułki z Chińczykami były szczególne, nie całkiem zrozumiałe dla innych osób z kierownictwa. W każdym razie jego sekretarz Namiotkiewicz, z którym rozmawiałem później jako emerytem politycznym i który interesował się Chinami, o tych uzgodnieniach pekińskich zupełnie nie wiedział.

Robert Walenciak

mym podejściem studiowali księgi komunistyczne i trzymali się dogmatów marksistowskich, powtarzając ustalone formułki. Jak pan tę samą formułkę ma powtarzać 200 razy, 1000 razy, to „zaczyna nosić”. Chciałoby się zmienić chociaż jedno słowo. A nie można! Bo naruszy to dogmat!

Ochab wyjeżdżał do Chin, gdy w partii i w kraju wrzało, Gomułka i inni już zostali wypuszczeni z więzień, oczekiwano fundamentalnych zmian, przede wszystkim uwolnienia spod buta Moskwy. Gomułce pamiętano obietnicę, że w Polsce nie będzie na wsi kołchozów, i oskarże-

Za tydzień druga część rozmowy z prof. Gawlikowskim, poświęcona interwencji Chin w obronie Października. A w niej m.in. o:

- gorącej linii między ambasadą ChRL w Warszawie a Pekinem,
- negocjacjach rosyjsko-chińskich w sprawie Polski i Węgier,
- koncepcjach Stalina podziału Chin na pięć części i stosunkach ZSRR-ChRL.

Inne możliwe



Roman Kurkiewicz

Ujawnienie, a raczej upublicznienie skali i długotrwałości molestowania aktorek (i być może innych kobiet ze świata hollywoodzkiego filmu) przez producenta Harveya Weinsteina oraz oskarżenia go o gwałty uruchomiły światową akcję w mediach społecznościowych pod hasztagiem #metoo, a po polsku #jateż. Setki, tysiące, dziesiątki tysięcy kobiet dzielą się pod tymi hasłami swoimi doświadczeniami upokorzeń, molestowania, zacepek, obłąpania, obmacywania, prób gwałtu czy samych gwałtów. Robią to pod własnymi nazwiskami. Skala ujawnionego procederu jest nie tylko ogromna, jest porażająca – bo powszechna. Nawet kobiety i dziewczyny, które w pierwszej chwili uznały, że ich to może nie dotyczyć, potem pisały, że jednak i one, i to od lat, na różne sposoby, od znanych sobie i bliskich mężczyzn, ale też przypadkowych i obcych, podobnej krzywdy doznały.

akurat ja miałbym się uchować? Dzięki tej akcji kobiet dostaliśmy wielką szansę: możemy się skonfrontować z przemocą, której nadużywamy, którą stosujemy nagminnie, która przynosi nam korzyści, która w naszych oczach jest i naturalna, i niewidoczna.

Nadszedł moment, kiedy możemy przestać udawać, że wszystko jest w porządku, że przecież nas to nie dotyczy, że to nie o nas, nie o mnie. Tysiące wyznań kobiet, wśród nich naszych sióstr, żon, partnerek, koleżanek, znajomych, przeciwniczek, współpracowniczek. I kolejne tysiące wyznań tych, których dotąd, a może nigdy, nie spotkaliśmy i nie spotkamy. Tu nie ma przestrzeni na udawanie, że nie wiem, nie pamiętam, nie znam się, to nie ja. Już nie. Ogrom przemocy, o pełnej skali intensywności, natężenia, mówi jedno: to się dzieje cały czas, od zawsze, dotyka wszystkie kobiety. I to jest tak niewiarygodnie bolesne, że przyszedł czas wystu-

PRZEMOC NASZA POWSZEDNIA WOBEK KOBIET

Czytamy o zaczepianych dziewczynkach, nastolatkach, kobietach. Zaczepianych, napastowanych, molestowanych wszędzie: w szkołach, domach, na ulicach, w kościołach, klubach sportowych, sklepach, kinach. O słowach komentujących wygląd, budowę ciała, o propozycjach seksu od nieznanych mijanych na ulicy czy ze strony napastników „udomowionych”: wujków, kuzynów, księży, nauczycieli, policjantów. Nie zawsze kończy się na słowach i dotyku. Przeważnie raczej są „dalsze ciągi” tych „niewinnych zacepek”. Są wyznania zgwałconych kobiet.

Sprawców łączy jedno. Wszyscy są mężczyznami. Jak ja, jak my, którzy najchętniej powiedzielibyśmy: to nie ja, to nie my, to jakaś patologia, margines, odosobniony incydent. Ja nigdy, ja zawsze, ależ skąd, ale jak, a nawet jeśli, to był to niewinny żart, próba flirtu, przytulenie, byłem pewny, że to dotyk chciany, mimo słyszalnego, zauważalnego NIE.

W dyskusji uruchamiają się natychmiast wszystkie taktyki samoobronne, strategie wyparcia, przerzucenia winy, odwrócenia uwagi, przekierowania rozmowy, wskazania „naprawdę” ważnych kwestii. Napisałem bezosobowo. To błąd. Mężczyźni uruchamiają. Jesteśmy w tym momencie odzywającymi się nożycami. Nie będę teraz się zajmował technikami udawania, że to „przesada”, nadwrażliwość, „nic takiego”, że „nie ma co histeryzować”.

Za przemoc wobec kobiet odpowiedzialni są mężczyźni.

Mali, duzi, starzy, młodzi, bogaci, biedni, wykształceni, nie-douczeni, przystojni i zaniebdani, ci na stanowiskach i ci na dole drabiny, utytułowani i wykluczeni, prawicowi i lewicowi, i ci ze złotego środka. Wszyscy my. Ja też, a jakże, dlaczego

chania przez nas, mężczyzn, tego zwielokrotnionego głosu i oskarżenia, choć nie wszyscy z nas są przecież przestępcami seksualnymi czy gwałtocielami w myśl Kodeksu karnego. Ale wszyscy lub niemal wszyscy jesteśmy z tej kultury, z tego języka, z tych zachowań, które – jak dziś, a w rzeczywistości od dawna, słyszymy – naprawdę dogłębnie krzywdzą i uprzedmiotawiają kobiety. Możemy teraz posłuchać, przyjąć, prze-trawić. Przez chwilę pomilczeć, nie dyskutować, nie bawić się w retoryczne gierki, sofistyczne heheszki. Wyobrazić sobie najbliższe nam osoby, kobiety, które są w taki sposób atakowane i nagabywane. I nauczyć się czegoś, czego nasza maczystowska maniera nigdy nas nie uczyła: wyobraźni, empatii, czujności wobec własnych zachowań, gestów, spojrzeń, żarcików, dotyków.

Możemy się zmienić. Możemy zmienić swoje zachowania. Poczucie wszechobecnej opresji, które właśnie wyrażają kobiety, stawia przed nami takie oczekiwanie. Jestem głęboko przekonany, że choć się nie nauczymy, nie nauczę tego z dnia na dzień, to nie ma już nawet dnia, żeby to odkładać. Żeby prawdziwie być mężczyzną, człowiekiem – musimy stać się inni. Musimy zauważyć dotąd niezauważalne, zmienić oczywiście, przepracować nasze nawyki i wziąć odpowiedzialność za traktowanie kobiet. I stanąć za nimi murem. I umieć reagować. Zatrzymać rechot, który jest krokiem w stronę gwałtu. Wierzę, że mogę być inny. Wierzę, że tego wyznania nie zlekceważę, nie zracjonalizuję, nie wyśmieję, nie ominę łukiem. I że na początek będę umiał powiedzieć przepraszam. I jak bardzo jest mi przykro.

Przepraszam.

PIERWSZA JASKÓŁKA DLA SCHULZA

SPD wygrała wybory w Dolnej Saksonii i utrzyma tam władzę. Ale czy władzę w partii utrzyma Schulz?

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Socjaldemokraci jednak nie od-uczyli się wygrywać – trzy tygodnie po wyborach do Bundestagu, w których ponieśli historyczną klęskę, SPD wygrała wybory w Dolnej Saksonii, stając się po raz pierwszy od 1998 r. pierwszą siłą w hanowerskim landtagu. Partia Martina Schulza uzyskała 36,9% głosów, prawie o 4,3% więcej niż w 2013 r. Szef SPD mówił o „wspaniałym zwycięstwie”, wskazując, że po czterech porażkach z rządu (w Szlezwiku-Holsztynie, Kraju Saary, Nadrenii Północnej-Westfalii i w wyborach do Bundestagu) trend wreszcie się odwrócił. W tradycyjnie lewicowej Nadrenii jeszcze w kwietniu w sondażach prowadziła SPD, dopiero na ostatniej prostej wyprzedzili ją chadeacy. Tym razem było odwrotnie – CDU nie zdołała odsunąć socjaldemokratów od władzy, choć w sierpniu miała nad nimi jeszcze ponad 10% przewagi. Partia Angeli Merkel uzyskała w Dolnej Saksonii 33,6% głosów, o 2,4% mniej niż cztery lata temu.

Przyspieszone wybory stały się koniecznością po przejściu w sierpniu posłanki Zielonych Elke Twesten do CDU, co spowodowało utratę przez czerwono-zielony rząd większości w landtagu. Wydawało się, że ten transfer osłabi SPD, ale widocznie jej pomógł, skoro wielu wyborców przyznało, że decyzja Twesten wzbudziła w nich odruch sprzeciwu. – Ktoś w CDU chciał uderzyć w nasz rząd, ale Dolnosaksończycy nie lubią niepewności – twierdził w wyborczy wieczór premier Stephan Weil, który zresztą z jeszcze kilku innych bitew wyszedł obronną ręką.

Na rozchwianie polityczne nałożył się bowiem wielki skandal w Volkswagenie. Zasiadający w radzie nadzorczej samochodowego giganta

polityk SPD był atakowany za niedostateczny nadzór, co umożliwiło koncernowi z Wolfsburga manipulowanie wynikami pomiarów spalin w samochodach z silnikami Diesla. Weila krytykowano też za zaniedbania w oświacie i brak nauczycieli, co przywoływało skojarzenia z Nadrenią, zwiastując porażkę. W kampanii dyskutowano również o imigrantach i bezpieczeństwie. Jednak w Dolnej Saksonii wyborcy są jeszcze odporni na populistyczne zakusy. Ultraprawicowa AfD poniosła klęskę, ledwo wchodząc do landtagu (6,2%).

Liderzy SPD mogą więc odetchnąć z ulgą. To jeden z najludniejszych i najbogatszych landów w RFN, nie tylko ze względu na centralę VW, lecz także dzięki znakomicie rozwiniętemu rolnictwu. Toteż Weil nie krył zadowolenia, oświadczając, że wynik wyborczy daje mu mandat do utworzenia koalicji rządowej. Tymczasem wciąż nie ma odpowiedzi na najistotniejsze pytanie, z kim socjaldemokraci będą rządzić. Kontynuacja rządu z Zielonymi stoi pod znakiem zapytania z braku większości. Die Grünen uzyskali 8,7%, czyli o 5,0% mniej niż cztery lata temu. Możliwy byłby sojusz SPD z Zielonymi i FDP (7,5%), ale liberałowie odmówili współpracy z Zielonymi z powodu rozbieżności programowych.

TRUDNA JAMAJKA

Zarówno ostatnia porażka CDU, jak i awersja liberałów do ekologów pokazują, jak trudne będą dla Merkel jamajskie pertraktacje koalicyjne na szczeblu federalnym (od czarno-zielono-żółtych barw flagi Jamajki). Po wyborach do Bundestagu kanclerz postanowiła, że dopiero po głosowaniu w Dolnej Saksonii rozpocznie rozmowy z FDP i Die Grünen. Klęska w Hanowerze dotkliwie osłabiła jej pozycję negocjacyjną. Merkel chcia-



ła najpierw zażegnać konflikt z CSU i skończyć dyskusję o górnej granicy limitu uchodźców. Siostrzane partie osiągnęły kompromis, w którym wprawdzie nie występuje złowrogie określenie *Obergrenze* (górna granica), ale jest wzmianka o 200 tys. Mimo to szef bawarskich chadeków Horst Seehofer twierdzi, że rozmowy z Zielonymi będą trudne, a utworzenie rządu może potrwać nawet do następnego roku. – Niemcy patrzyli na Jamajkę z zacięciem i bez uprzedzeń, ale to milczenie i przesuwanie rozmów ich zniechęciło. Dziś można powiedzieć, że to pierwsza koalicja w historii Niemiec, która została odsunięta od władzy jeszcze przed powstaniem – komentuje Jakob Augstein, wydawca tygodnika „Der Freitag”. Głosy krytyki pojawiają się również w szeregach Die Grünen. – Nie pierwszy raz Merkel traci cenny czas – powiedział szef frakcji Zielonych Anton Hofreiter w rozmowie ze „Stuttgarter Nachrichten”. Inni liderzy potencjalnych partii koalicyjnych starają się być bardziej pojednawczy. Wolfgang Kubicki i Katrin Göring-Eckardt, którzy w przeszłości darzyli się szczerą nienawiścią, po wyborach w Dolnej Saksonii w programie Anne Will zdobyli się na polityczny flirt, a wiceszef liberałów pocałował szefową Zielonych w rękę.



Stephan Weil (nz. z prawej) udowodnił, że SPD może wygrać wybory. Czy nie zagrozi pozycji Martina Schulza?

razie w Badenii wiele się od siebie nauczyliśmy, zarówno w kwestiach merytorycznych, jak i dotyczących szacunku i zaufania – zaznaczył Kretschmann w badeńskim landtagu. Być może nadzieję daje to, że i Strobl, i Kretschmann znaleźli się w składzie delegacji siedzących przy jamajskim stole negocjacji.

OŻYWIONA SPD

Natomiast w SPD można odnieść wrażenie, że wygrana w Dolnej Saksonii wskrzesiła nie tylko partię, ale i samego Martina Schulza. 15 października miał zaważyć na dalszych losach szefa socjaldemokratów. Wielu sądziło, że kolejna klęska wzmocni krytykę Schulza, oni zaś wykorzystają ją jako oręż polityczny. – Utrata hano-werskiego ratusza wpędzi SPD w głęboką depresję, z której wyciągnąć partię będzie mogła jedynie kolejna radykalna odnowa, ale bez Schulza – twierdził przed wyborami Klaus von Dohnanyi, legenda SPD. Teraz jednak Schulz znów może spać spokojnie, przynajmniej do grudniowej konwencji partyjnej.

Zwycięstwo w Hanowerze jest pierwszym jego sukcesem w opozycji, nawet jeśli formalnie SPD pozostaje częścią Wielkiej Koalicji. Ponadto adwersarze Schulza nie zadają jednego kluczowego pytania. Minęło dopiero kilka miesięcy od mianowa-

Także Wolfgang Schäuble stara się nienatętnie, acz zdecydowanie mobilizować liderów do szybkich rozmów. – Jestem dobrej myśli, że nowy rząd powstanie jeszcze przed Wigilią – zapewnia przyszły przewodniczący Bundestagu. I nawet krnąbrny Seehofer przybył w końcu w ubiegły wtorek do stołecznej centrali Die Grünen i wystąpił przed kamerami z Cemem Özdemirem. – Będziemy teraz kilka miesięcy ze sobą rozmawiać, czas trochę się poznać – oznajmił premier Bawarii ku wyraźnej uciechy szefa Zielonych.

Rozmowy te przebiegają oczywiście za zamkniętymi drzwiami, ale właściwie już teraz wiadomo, jakie są punkty zapalne. Asumpt do ciekawych rozważań dają głosowania w Bundestagu dotyczące misji zagranicznych Bundeswehry (m.in. w Mali, Afganistanie, Syrii i Iraku), które odbędą się za parę miesięcy. Na agendzie znajdują się również takie tematy jak szkolenie wojskowe i dostarczanie niemieckiej broni kurdyjskim peshmergom. Tutaj Zieloni – jeśli pozostaną wierni sobie – będą głosować przeciw. Już teraz przeciekła informacja, że gdyby do tego czasu powstał jamajski rząd, CDU i siedząca wówczas w opozycji SPD przegłosują te misje, Die Grünen zostaną zaś zwolnieni z dyscypliny koalicyjnej. – Operacje wojskowe, takie jak zastosowanie samolotów zwiadowczych, pozostają

dla Zielonych problemem, bo nie zawsze są zatwierdzone przez ONZ – zaznaczył Özdemir przed rozpoczęciem rozmów koalicyjnych w ubiegłym tygodniu. Zieloni opowiadają się za rychłymłączeniem rodzin imigrantów, podczas gdy chadecy i liberałowie najchętniej odroczyliby tę decyzję na kolejne kilka lat (obecnie ograniczenia obowiązują do marca 2018 r.).

Poza tymi kwestiami spornymi lokalni politycy wszystkich formacji próbują dostarczyć argumentów na korzyść tezy, że Jamajka stanowi

Schulz zaczyna powoli porządkować swoją partię. Musi udowodnić, czy potrafi ją także prowadzić.

wielką szansę. Jako gorący rzecznicy takiego sojuszu coraz częściej występują wspólnie premier Badenii-Wirtembergii z ramienia Zielonych Winfried Kretschmann oraz jego minister do spraw wewnętrznych i wiceprzewodniczący CDU Thomas Strobl. Czarno-zielona koalicja w Stuttgarcie działa od lat jak dobrze naoliwiona maszyna, przede wszystkim – co podkreślają główni aktorzy – ze względu na wolność, jaką zostawiają sobie koalicjanci. – Jesteśmy koalicją wielkich możliwości. Powinniśmy patrzeć nie na to, gdzie sobie przeszkadzamy, lecz gdzie się uzupełniamy. W każdym

nia go szefem SPD, co już miało stanowić radykalną odnowę. Kto miałby go dziś zastąpić? Coraz częściej na ustach lewicowych działaczy pojawia się nazwisko Andrei Nahles, tyle że ona właśnie została szefową klubu parlamentarnego. Poza tym jej retoryka nierzadko wprawia konserwatystów z SPD w sporą konsternację, co według nich grozi kolejnym szybkim wyczerpaniem kredytu zaufania. Natomiast lubiana w centrum Manuela Schwesig dopiero co przejęła tekę premiera Meklemburgii-Pomorza Przedniego. Na liście bukmacherów politycznych pojawiał się także Olaf ▶

► Scholz, burmistrz Hamburga, niekoniennie kojarzony z odnową.

Zresztą nikt z trójga kandydatów nie pali się do zajęcia miejsca Schulza, w każdym razie nie tak wcześniej. No bo gdyby już w grudniu nastąpiła kolejna zmiana, nowy lider przez cztery lata byłby potencjalnym kandydatem tej partii na kanclerza. Byłyby to cztery długie lata politycznego zużycia i nieustannej krytyki. To zaś może zniweczyć szanse na fotel kanclerski (jak w przypadku Sigmara Gabriela). Dlatego ewentualni następcy woleliby zapewne poczekać dwa lata i dopiero wtedy ujawnić swoje ambicje. Jednak i dwa lata w niemieckiej polityce to niemal wieczność. Ale nawet w przypadku utraty hanowerskiego ratusza można by powątpiewać, czy Schulz podałyby się w grudniu do dymisji. Szef SPD ma za sobą lokalnych bossów z Nadrenii Północnej-Westfalii, Dolnej Saksonii i Nadrenii-Palatynatu. Przy tak potężnym wsparciu trudno przypuszczać, że ktoś z pozostałych landów nawoływałby na konwencji do puczu. Zresztą obecnie tylko Schulz jest w stanie pogodzić wszystkie skrzydła. Już podczas kampanii okazał się politykiem nadspodziewanie sprawnym, zręcznym i – przy całej swojej impulsywności – wyważonym, umiającym odnaleźć główny nurt i łagodzić skrajności. Wschodnia SPD zaakceptowała go najpóźniej, wtedy gdy kursował podczas kampanii po bytych NRD. Lewicowi członkowie

partii lubią go za to, że nie wdaje się w potyczki z coraz potężniejszą Nahles, a konserwatywna Nadrenia wspiera go, bo jest jednym z nich. – Jestem pod wrażeniem jego twardości i wytrwałości, zwłaszcza że nie kłóci się to u niego z ludzką autentycznością. Jest energiczny, merytoryczny i zorientowany na sukces. Jednak ambicje go nie zżerają, on żyje dla partii – potwierdza Thomas Oppermann, były szef klubu SPD w Bundestagu.

CHAOS W PARTYJNEJ CENTRALI

Przed grudniową konwencją Schulz będzie zatem robił to samo co w pierwszej połowie roku. Będzie jeździł po republice, odwiedzając wyborców i lokalne biura SPD. Szef socjaldemokratów wie, że np. we wschodnich landach będą się pojawiać żądania, aby zdystansował się od Schröderowskiej Agendy 2010. – Będzie zbierał opinie i w grudniu na pewno przedstawi wspaniałą koncepcję, która zadowoli wszystkich członków SPD – zapewnia Katarina Barley, która w ostatnich dniach Wielkiej Koalicji zastąpiła Andreę Nahles w resorcie pracy. Tyle że gwarantem pomyślnej realizacji tej koncepcji musi być sprawnie funkcjonująca centrala, a na razie w berlińskim Willy-Brandt-Haus panuje chaos. Sekretarz generalny SPD i bliski współpracownik Schulza Hubertus Heil już ponoć spa-

kował w swoim biurze kartony. Inni przyjaciele przewodniczącego też się niebawem ulotnią, bo mieli umowy wyłącznie na okres kampanii. Zaufani koledzy Schulza z Brukseli na pewno nie przeprowadzą się do stolicy Niemiec, choćby ze względu na o wiele niższe dochody. Innymi słowy, szef socjaldemokratów dopiero wypływa, ale na pewno nie nabrął jeszcze wiatru w żagle. Po czterech porażkach zastanawiał się wymówką, że Niemcy go jeszcze nie poznali i miał za mało czasu, aby się rozpędzić. Z drugiej strony dokładnie z tego powodu daleko mu do władzy i wpływów, które miał np. jego poprzednik.

Zwycięstwo w Dolnej Saksonii go wzmocniło, ale wzmocniło też możliwych konkurentów. Z ust socjaldemokratów nie schodzi nazwisko bezpretensjonalnego Weila, który Schulza nie zastąpi, ale może w grudniu zostać wiceprzewodniczącym partii. Premier Dolnej Saksonii sam zaznaczył po wyborach, że jego głos będzie teraz słyszalny także w Berlinie.

W dołkach startowych są jednak również Andrea Nahles i Manuela Schwesig, które znają polityczny Berlin od podszewki, a w każdym razie lepiej niż Schulz. Ich nazwiska wymieniane są w kuluarach kreuzberskiej centrali nie tylko dlatego, że pojawiają się coraz głośniejsze żądania wyboru pierwszej w historii szefowej SPD. Między Schulzem a obu ambitnymi kobietami istnieją też rozbieżności merytoryczne, mogące się rozładować w sporze programowym. Po ostatnim sukcesie AfD w wyborach do Bundestagu pojawiło się pytanie o stosunek do takich poglądów. Schulz jest zwolennikiem bezdyskusyjnego odrzucenia wszelkiego prawicowego populizmu. Nahles i Schwesig obawiają się, że takie podejście może być paliwem dla AfD i jej wyborców. Obie liderki wolą merytorycznie dyskutować i w ten sposób obnażać płytkość ultrapravic. Tak czy inaczej, pierwsze jaskółki nad Kreuzbergiem wiosny nie czynią. Schulz zaczyna powoli porządkować swoją partię i musi dopiero udowodnić, czy potrafi ją prowadzić. Po wyborach w Dolnej Saksonii wyznał, że nigdy nie widział tak zwartej SPD jak w ostatnich tygodniach. Może już w przyszłym roku dowiemy się, czy te zapewnienia się sprawdzą.



Wojciech Osiński

17 października
Sebastian Kurz
– tak jak cały rząd
Christiana Kerna
– złożył na ręce
prezydenta
Alexandra Van der
Bellena rezygnację
z zajmowanego
stanowiska. Prezy-
dent wstrzymał się
z jej przyjęciem do
czasu utworzenia
nowego rządu.



ZWYCIĘZCÓW DWÓCH

Austria bardziej prawicowa i nacjonalistyczna

Tadeusz Iwiński

Gdy jeszcze za rządów Edwarda Gierka (co dziś słabo się pamięta, a wówczas było pozytywnym ewenementem) na pewien czas został wprowadzony w relacjach z Austrią ruch bezwizowy, w Małopolsce, a zwłaszcza w Krakowie, mawiano żartobliwie: „Nareszcie możemy pojechać do stolicy bez wizy”. To tylko jeden z wielu przykładów dowodzących szczególnych więzi Polski z krajem obszarowo i ludnościowo czterokrotnie mniejszym od naszego, o stabilnej demokracji oraz świetnie rozwiniętej gospodarce. Notabene obecnie, nie tylko w Wiedniu, jest tam zarejestrowanych ok. 4 tys. polskich firm, a bezrobocie wynosi zaledwie 4%.

ZIELONI NA AUCIE

Niedzielne, przedterminowe wybory parlamentarne do 183-osobowej Rady Narodowej (w drugiej izbie, podobnie jak w Niemczech,

zasiadają przedstawiciele dziewięciu krajów związkowych) wzbudziły duże zainteresowanie międzynarodowe, m.in. z uwagi na liczne przeobrażenia sceny politycznej nad Dunajem. Przed rokiem w wyborach prezydenckich kandydaci dwóch tradycyjnych formacji: Austriackiej Partii Ludowej (chadeckiej ÖVP) i Socjaldemokratycznej Partii Ludowej (SPÖ) nie weszli nawet do drugiej tury, a w powtórzonym w grudniu głosowaniu w tej

W Austrii jest zarejestrowanych ok. 4 tys. polskich firm, a bezrobocie wynosi zaledwie 4%.

turze reprezentant Zielonych Alexander Van der Bellen zwyciężył o włos z Norbertem Hoferem – przedstawicielem skrajnie prawicowej i populistycznej FPÖ (Wolnościowej Partii Austrii), zręcznie wykorzystującej bardzo silnie rozbudzone nastroje antyimigranckie. Tu znów widać analogię do sytuacji w RFN, choć austriaccy populiści są znacznie silniejsi od Alternatywy dla Niemiec (AfD).

Socjaldemokraci i chrześcijańscy demokraci rządzą w Austrii nieprzerwanie od II wojny. Samodzielnie (czy z mniejszymi ugrupowaniami), ale najczęściej wspólnie – w wielkiej koalicji. Spośród 12 kanclerzy – od pierwszego Leopolda Figla (1945-1953) do pełniącego urząd zaledwie od ubiegłego roku Christiana Kerna, wcześniej prezesa kolei austriackich – siedmiu było socjalistami (tak się kiedyś nazywała SPÖ,

powstała w końcu XIX w.), a pięciu konserwatystami z FPÖ. Do najwybitniejszych bez wątpienia należeli Bruno Kreisky (1970-1983) oraz Franz Vranitzky (1986-1997).

Tym razem w szranki stanęło aż 16 partii, próg wyborczy wyniósł 4%. Upoważnionych do głosowania było 6,4 mln obywateli. Jak napisał 16 października na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w artykule ▶

► „Rewolucja nazywa się Kurz” Stephan Löwenstein, „Zwycięzców jest dwóch. Pierwszy to Sebastian Kurz, który w wieku 24 lat został sekretarzem stanu (w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych – przyp. TI), trzy lata później stanął na czele dyplomacji, a mając 30 lat, objął kierownictwo partii chadeckiej, ta zaś wyraźnie poprawiła swój poprzedni rezultat i jest dziś najsilniejsza. Kurz ma więc ogromne szanse, aby zostać kancle-rzem i tworzyć rząd. Drugim zwycię-żcą jest Heinz-Christian Strache – lider FPÖ, mającej też nadzieje na udział w rządzie”.

Trzy partie wyraźnie zdominowa-ły wybory: chadecy/konserwatyści z ÖVP, mający nader bliskie kontak-ty z niemiecką CDU/CSU, uzyskali ponad 31,5% głosów. Socjaldemo-kraci i populiści z FPÖ szli też w łeb i otrzymali: SPÖ – 26,9%, FPÖ. 26,0%. Wszystko to odbyło się kosz-tem mniejszych ugrupowań. Libe-rałowie dostali 5,3%. Natomiast nie weszli do parlamentu Zieloni (3,8%). Było to między innymi skutkiem we-

z rzekomymi stronami Kurza na Facebooku, które uruchomił izraelski spin doktor socjaldemokratów Tal Silberstein (pisaaliśmy o tym szerzej w nr. 41 – przyp. red.).

Fenomen Kurza (dwa miesiące temu skończył zaledwie 31 lat) bę-dzie analizowany jeszcze długo. Szef młodzieżówki swojej partii odbył służbę wojskową, przerwał studia prawnicze i poświęcił się całkowicie polityce. Gdy w 2013 r. wszedł do parlamentu, kanclerz Werner Fay-mann powołał go na stanowisko ministra spraw zagranicznych. Był wtedy najmłodszym szefem dyploma-cji na świecie. Wykazywał się dużą zręcznością, poza tym dopisy-wało mu szczęście. Austria akurat objęła przewodnictwo Rady Europy, co stwarzało możliwość występo-wania z wieloma inicjatywami. Kurz był także gospodarzem niezwykle ważnych negocjacji sześciu państw (USA, Chin, Rosji, Wielkiej Brytanii, Francji i RFN) z Iranem w sprawie ograniczeń programu atomowego tego państwa.

Oczywiście grubo przesadził, przypisując sobie główne zasługi w zamknięciu tzw. szlaku bałkańskie-go migrantów, choć wniósł wkład w ten proces. Ale np. to on zapro-ponował przyjęcie tzw. ustawy islam-skiej (*Islamgesetz*), zakazującej m.in. finansowania budowy meczetów przez podmioty zagraniczne, płace-nia imamom pensji, a także regulu-jącej, jakie wersje Koranu będą do-puszczalne nad Dunajem. Z drugiej strony zgodzono się np. na żywność *halaal* dla muzułmanów służących w wojsku oraz możliwość wspar-cia religijnego, mającego zwalczać radykalny islam. Z pewnymi mody-fikacjami ta ustawa weszła w życie. Ponadto rządząca koalicja socjalde-mokratyczno-chadecka ustanowi-ła 35-tysięczny limit przyjmowania wniosków azylowych w danym roku.

ÓRBANIZACJA AUSTRII CZY KURS PROEUROPEJSKI

Młodszy o osiem lat od Macrona Sebastian Kurz okazał się przy tym zaskakująco skuteczny w rozgryw-kach partyjnych. Wydawało się, że wewnętrzną rywalizację wygra znacznie bardziej odeń doświadczony były lider ÖVP i szef dyplomacji Michael Spindelegger (znany mi ze Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy). Ale nie! W maju br. to Kurz został nowym liderem swojej formacji w miejsce Reinholda Mitter-lehnera – także wicekanclerza i mini-strą gospodarki. Wkrótce wymusił przyspieszone wybory.

Przy trzech dużych partiach o zbli-żonej sile parlamentarnej wystar-czy dowolna koalicja dwóch do powstania gabinetu. Wszystkie trzy raczej nie wejdą do koalicji, bo by-łoby to dziwołaniem. Socjaldemo-kraci z FPÖ już rządzili (w latach 1983-1986), ale była to zupełnie in-na epoka. Dziś wydaje się to niemal nieprawdopodobne. Pozostaje więc alternatywa: ponownie chadecy z socjaldemokratami, ale z kancle-rzem Kurzem z tej pierwszej partii, albo chadecy z populistyczną Wol-nościową Partią Austrii.

Ten ostatni wariant przerabiano stosunkowo niedawno, w latach 2000-2005 (z pewną modyfikacją do 2007 r.). Czarnym bohaterem stał się wówczas Jörg Haider – były premier Karyntii, prawnik, lider FPÖ (zginął

Wiedeń to siedziba wielu instytucji i organizacji Narodów Zjednoczonych, central OBWE i OPEC.

wewnętrznego podziału w partii. Dość popularny ze względu na bezkom-promisową walkę z korupcją polityk Zielonych Peter Pilz stworzył bowiem własną strukturę, która (nazwana złośliwie od nazwiska lidera „zatruty-m grzybem”) zdołała przekroczyć próg wyborczy (4,4%), ale „uśmier-ciła” macierzystą partię. Podziałów mandatów jest więc następujący: ÖVP – 62, SPÖ – 52, FPÖ – 51, Neos (liberałowie) – 10, Pilz – 8.

FENOMEN KURZA

W kampanii wyborczej zauważał-na była tendencja odchodzenia od definiowania się jako partie na rzecz list czy ruchów. To z pewnością wpływ udanej kampanii prezyden-ta Macrona we Francji. Nawet chadecy zaprezentowali się jako Lista Sebastiana Kurza, zmieniając też tradycyjne kolory i logo formacji, którą przedstawiali jako Nowa Par-tia Ludowa, próbując dokonać jej odmłodzenia. Nie zabrakło również skandali, przy czym największy i nie do końca wyjaśniony związany był

Pamiętajmy też, że austriacka stolica to siedziba wielu instytucji i organizacji systemu Narodów Zjed-noczonych (jedna z czterech głów-nych – obok Nowego Jorku, Gene-wy i Nairobi), np. Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej czy UNIDO. Tu znajdują się ponadto kwatery główne OBWE i OPEC. Na to nakła-da się wreszcie pozycja Austriaków w Europejskiej Partii Ludowej (EPP), jednej z dwóch największych rodzin politycznych kontynentu.

Równie ważna okazała się umie-jętność młodego polityka radzenia sobie z wielkim kryzysem migracy-jnym roku 2015. Na nim właśnie zbijała główny kapitał prawicowo-popu-listyczna Wolnościowa Partia Austrii, żądając np. stworzenia specjalnych więzień dla radykalnych islamistów czy pozbawiania obywatelstwa Au-striaków, którzy walczyli w szere-gach ISIS. Kurz *de facto* przejął cały program antyimigracyjny liderującej przez długi czas w sondażach FPÖ, nadając mu łagodniejszy wyraz – co więcej, był w stanie wprowadzać go w życie.

w 2008 r. w wypadku samochodowym, prowadząc auto pod wpływem alkoholu). Wtedy, w roku 2000, Unia Europejska (14 państw) wprowadziła wobec rządu Wolfganga Schüssla sankcje i był to jedyny taki przypadek w jej dziejach. Współpracownikiem Haidera był Heinz-Christian Strache, eurosceptyk, obecnie kierujący FPÖ. W kampanii Kurz nigdy nie wykluczył możliwości takiego scenariusza. Czy jest on realny? Według ustępującego kanclerza Kerna mogłoby w takim przypadku dojść do „órbanizacji” Austrii. To nader plastyczne i ostre sformułowanie.

Niełatwa, ale zapewne najbardziej stabilna i bezpieczna w sensie proeuropejskości, a więc wspólnego stawiania przez Unię czoła nowym wyzwaniom byłaby ponownie koalicyja chadecko-socjaldemokratyczna. Austriacka odmiana koalicji typu Jamajka, powstającej właśnie w Niemczech, matematycznie nie jest bowiem możliwa bez udziału Partii Socjaldemokratycznej. A stare francuskie powiedzenie: *Plus ça change, plus c'est la même chose* (Im bardziej coś się zmienia, tym bardziej jest tym samym) nie zawsze musi mieć wydźwięk negatywny.

Z najmłodszym już niedługo premierem świata Polska i kraje naszego regionu, zwłaszcza członkowie UE, powinny dobrze współpracować. Tym bardziej że Kurz jako szef dyplomacji – poniekąd symbolicznie – z pierwszą wizytą zagraniczną wybrał się do Chorwacji.

Autor jest profesorem, był posłem na Sejm z Warmii i Mazur (1991-2015), członkiem i wiceprzewodniczącym Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy w Strasburgu, a w latach 2001-2004 sekretarzem stanu ds. międzynarodowych w KPRM. Związany z Uniwersytetem w Olsztynie i Wyższą Szkołą Bezpieczeństwa w Poznaniu

NIE CHODZIŁO O TREŚĆ, TYLKO O OPAKOWANIE I KOLOR

Nawet pod rządami koalicji Kurz-Strache nie będzie w Austrii zwrotu ku autorytaryzmowi

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Jak pan ocenia zakończoną właśnie austriacką kampanię przed wyborami parlamentarnymi?

– To była kampania zawstydzająca i prowincjonalna. Najważniejsze partie ograniczyły się do prostych technik marketingowych. Tym razem, inaczej niż w niemal rocznej kampanii prezydenckiej zakończonej wyborami w grudniu 2016 r., nie chodziło o treść, tylko o opakowanie i kolor.

Zwycięzca wyborów zmienił tradycyjną czerń na turkus. Co oznacza ta zmiana barw i nazwy chadeckiej ÖVP na Listę Sebastiana Kurza – Nową Partię Ludową? Czy jest możliwe, by ten młody polityk przeorientował chadeków w Austrii?

– Te zewnętrzne zmiany, sięgnięcie po inny kolor nie oznaczają wiele dla ÖVP. Czarny właściwie nigdy nie był oficjalnym kolorem tej partii. Turkusowy zaś był elementem kampanii zakończonej sukcesem – to wszystko promocja. Oznacza jedynie, że to już nie jest taka sama stara partia. Natomiast sam Kurz jest produktem starej partii. Obiecał uchronić chadeków przed dalszym spadkiem.

Czy jest możliwe sformowanie poważnej koalicji zwyczajnych czarnych/turkusowych z wolnościową FPÖ za cenę oddania np. Norbertowi Hoferowi teki ministra spraw zagranicznych? Wiadomo, że jest członkiem burszenszaftu (męskiego, konserwatywnego związku akademików, odwołującego się do germańskich tradycji) i nie akceptuje np. istnienia austriackiej narodowości.

– FPÖ była już przecież raz w koalicji z SPÖ (1983-1986), potem z ÖVP (2000-2006) i zawsze byli w niej członkowie



PROF. ANTON PELINKA

– prawnik, politolog, jeden z najważniejszych komentatorów życia politycznego Austrii i Europy

burszenszaftów. Nie będzie to oznaczało niczego specjalnie nowego. Kiedy FPÖ współrządziła państwem w pierwszych latach po 2000 r., w ciągu dwóch i pół roku straciła dwie trzecie swoich wyborców. Kompromitowała się nieustannie konfliktami wewnętrznymi, sporami, niefachowymi ministrami, niespełnianymi obietnicami. Ale czy pozwoli znowu tak się rozmontować, pozostaje kwestią otwartą.

Czy to faktycznie nowy start z nowym, 31-letnim liderem? Co z tymi starszymi, doświadczonymi politykami?

– Kurz będzie musiał przeprowadzić rządowi koalicyjnemu, w którym znajdą się partnerzy zainteresowani tym, by nie osiągnął czy nie przypisał sobie zbyt wielkich sukcesów. Nie można też zapominać, że Kurz może i jest młody, ale nie był w życiu nikim innym, jak tylko zawodowym politykiem, przez lata był członkiem rządu, a ostatnio – ministrem spraw zagranicznych.

Jak ta nowa sytuacja w Austrii może współgrać politycznie z Budapesztem,

Warszawą, Europą Środkowo-Wschodnią, coraz bardziej nacjonalistyczną, dokonującą zamachów na prawa np. kobiet, ograniczającą wolność kultury?

– Kurz (oraz FPÖ) będą się koncentrować bardziej na państwach wschodnich, a mniej na kierunku Macron-Junker-Merkel. To nie musi koniecznie oznaczać tendencji autorytarnych, raczej politykę mniej zaangażowaną w Unii Europejskiej, mniej prointegracyjną. Zwrot ku autorytaryzmowi, ograniczanie wolności słowa i wolności prasy, ingerowanie w niezależność wymiaru sprawiedliwości nie nastąpią jednak w Austrii nawet pod rządami koalicji Kurz-Strache.

Mateusz Mazzini

Ta historia mogłaby się wydarzyć wszędzie, ale nie w Kanadzie. Mało jest bowiem na świecie krajów, które podchodzą do mniejszości etnicznych z takim szacunkiem jak północny sąsied Stanów Zjednoczonych. Oficjalna terminologia wprowadzona przez rząd w Ottawie zakazuje używania sformułowania mniejszości etniczne, nakazując określanie rdzennych mieszkańców Kanady mianem pierwszych

mo niewłaściwych warunków wychowawczych i kłopotów finansowych rdzennych mieszkańców, odbierali im dzieci i umieszczali je w rodzinach zastępczych. Były to rodziny białych Kanadyjczyków, mieszkające w dużych miastach, takich jak Toronto, Edmonton czy Vancouver, ale także w Stanach Zjednoczonych czy w Europie.

Działo się to w majestacie prawa – sprzyjając temu procederowi sędziowie sądów rodzinnych wydawali stosowne wyroki. Program ze zmieniającą intensywnością trwał niemal ćwierć

ADOPCYJNY UPIÓR PRZESZŁOŚCI

Prawie pół wieku po rozpoczęciu wymuszonych adopcji dzieci z mniejszości etnicznych Kanada zaczyna płacić za stare grzechy

narodów (ang. *Canada's first nations*). Przez lata poszanowanie praw Inuitów i innych grup do ich terenów wstrzymywało rozwój infrastrukturalny kraju i eksplorację złóż naturalnych dalekiej północy. Rządzący krajem od listopada 2015 r. premier Justin Trudeau wypisał prawa pierwszych narodów na swoim politycznym sztandarze. Wprowadził ich reprezentantów do rządu, przygotował też programy polityki społecznej i edukacyjnej mające na celu polepszenie ich statusu w społeczeństwie przy jednoczesnej ochronie tradycji i dziedzictwa. Na pierwszy rzut oka Kanada wygląda więc na absolutny raj dla rdzennych grup etnicznych.

Problem w tym, że nie zawsze tak było. Przez wiele lat ochrona pierwszych narodów przez rząd w Ottawie była czysto deklaratywna i ograniczała się do symbolicznych ceremonii oraz dofinansowania szkół na dalekiej północy czy w interiorze. Jednocześnie elity polityczne prowadziły mniej lub bardziej jawne i legalne projekty mające na celu osłabienie struktur społecznych w tych grupach. Bodaj najbardziej wstrząsający był program wymuszonych adopcji dzieci pochodzących z rodzin inuickich oraz innych rdzennych grup etnicznych. Od 1965 r. pracownicy socjalni, z powodu rzeko-

wieku. Kanadyjskie ministerstwo administracji szacuje, że wymuszonymi adopcjami mogło być objętych nawet 30 tys. dzieci. I choć wiedza o programie była dość powszechna, a raporty opieki społecznej kwestionowane przez organizacje pozarządowe, do tej pory rząd federalny nie uznał swojej winy w procesie wymuszania adopcji i odbierania rodzicom ich dzieci.

UDERZENIE WYPRZEDZAJĄCE

Sytuacja zmieniła się na początku października, kiedy Trudeau oficjalnie poinformował kanadyjski parlament, że najwyższy czas zmierzyć się z kosztami przeszłości. Rząd w Ottawie przyznał, że wymuszanie adopcji było jawnym pogwałceniem praw pierwszych narodów. W ramach zadośćuczynienia rodziny, które są ofiarami działań opieki społecznej, mają otrzymać odszkodowania. Całkowita ich suma może osiągnąć nawet 600 mln dol. Trudeau chce zapłacić za wymuszone adopcje, przeniesienia do szkół z internatem i koszty późniejszej identyfikacji czy wydatki poniesione przez rodziny poszukujące swoich dzieci. Koszty byłyby niemałe, bo opieka społeczna niejednokrotnie celowo utrudniała dostęp do danych dotyczących adopcji.



To nie pierwsza tego typu inicjatywa, choć najbardziej jednoznaczna i skierowana bezpośrednio do poszkodowanych rodzin. Już w 2008 r. ówczesny konserwatywny premier Stephen Harper publicznie przeprosił za wymuszone adopcje, obiecując przeznaczenie ponad 1,5 mld dol. na programy rekompensacyjne. Choć była to duża suma, nie oznaczało to wcale, że pieniądze trafią bezpośrednio do rodzin ofiar. Harper powołał bowiem narodową komisję prawdy i pojednania, która zamiast wypłacać odszkodowania, zajmowała się produkowaniem raportów i rekomendacji dla rządu federalnego. Trudeau nadał całemu procesowi znaczne przyspiesze, obiecując nie tylko zintensyfikowanie prac komisji, ale też wypłacenie odszkodowań.

Choć gest młodego premiera jest bez wątpienia ważny i nie należy go bagatelizować, ruch rządu w Ottawie można nazwać tak naprawdę uderzeniem wyprzedzającym. Gdyby bowiem Trudeau odwlekał decyzję o wypłacie odszkodowań, mógłby narazić federalny budżet na dużo większe straty. W sądach w całym kraju toczą się postępowania grupowe w następstwie pozwów poszkodowanych rodzin. I niewykluczone, że zdecydowana większość zakończyłaby się



Premier Trudeau otrzymał od starszyny Tsuu'Tina – jednego z pierwszych narodów – rytualny pióropusz. Nz. z członkiem starszyny Emilem Starlightem.

liderami musi zrobić wszystko, by ich start w dorosłe życie w kanadyjskim społeczeństwie był możliwie najbardziej bezbolesny.

DOBRY PR NIE WYSTARCZY

Przed Trudeau piętrzą się kolejne wyzwania. Musi nie tylko spacyfikować żądania pierwszych narodów, ale również wygrać bitwę o ich ziemie i środowisko naturalne. W tej bitwie trudno będzie o sukces, zwłaszcza że nie wszystko zależy od premiera. Globalne ocieplenie powoduje odstawianie się kolejnych połaci wiecznej zmarzliny i czyni coraz bardziej realną perspektywę otwarcia handlowych szlaków morskich na północy kontynentu. Ruch statków miałby katastrofalne skutki dla populacji fok i morsów, czyli zwierząt odgrywających podstawową rolę w ekosystemie Inuitów i innych nacji mieszkających na północy Kanady. Nie pomagają też zmieniająca się sytuacja geopolityczna – wycofanie się USA z porozumienia paryskiego COP21 dotyczącego redukcji emisji gazów cieplarnianych może znacząco przyspieszyć rozpad ekosystemów północy. W dodatku Kanada musi cały czas myśleć o własnej niezależności energetycznej. W obliczu chybottliwego partnerstwa z nieprzewidywalnym

zwycięstwem reprezentantów pierwszych narodów. Trudno zawczasu oszacować wysokość odszkodowań, ale ucieczka do przodu w postaci publicznych przeprosin jest na pewno wizerunkowo lepszym posunięciem niż porażka w całej serii procesów zbiorowych.

KRZYWDY TRUDNE DO NAPRAWIENIA

Odszkodowania dla rodzin z pierwszych narodów to dopiero pierwszy krok na długiej liście działań, które Kanada musi podjąć, by rozliczyć się ze swoją trudną przeszłością. Podczas niedawnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ Trudeau zapowiedział, że poprawa statusu ponad 1,3 mln członków pierwszych narodów będzie jednym z najważniejszych celów drugiej części jego kadencji.

Trudno jednak wyobrazić sobie, jak w praktyce może wyglądać naprawienie krzywd wyrządzonych całej generacji ludzi wychowanych w swoistej próżni emocjonalnej i tożsamościowej. Do długiej listy problemów, z którymi zmagają się osoby poddane programowi relokacji, należy zaliczyć trudności w budowaniu relacji z najbliższymi, często idące w parze z uzależnieniami

i zaburzeniami psychicznymi. Cytowana w reportażu „New York Timesa” Carolyn Bennett, minister ds. relacji rządu z pierwszymi narodami, wyraża obawę, że przeprosiny pojawiły się za późno, a wyrządzone krzywdy są już nie do naprawienia. W podobnym duchu wypowiadają się przedstawiciele organizacji pozarządowych i lokalni przywódcy pierwszych narodów.

Rodziny, którym odebrano dzieci, mają otrzymać odszkodowania – nawet 600 mln dolarów.

Słyszysz się jednak także głosy optymizmu i nadziei. W wypowiedzi dla amerykańskiego radia NPR Marcia Brown Martel, liderka społeczności mieszkającej w pobliżu miasta Kirkland Lake w południowym Ontario, podkreśliła, że to ważny krok, ale nie można na nim poprzestać. Jej zdaniem kolejnymi krokami powinny być poszerzenie dostępu do najnowszych technologii i informatyzacja społeczności pierwszych narodów. Brown Martel przynajmniej zdecydowanie, że nie ma co się łudzić – najmtodsi przedstawiciele tych grup nie będą chcieli pozostać w rodzinnych okolicach, nawet jeśli są bardzo mocno związani z lokalną kulturą. Dlatego rząd w Ottawie w porozumieniu z lokalnymi

Donaldem Trumpem Trudeau musi godzić walkę o środowisko z rozsądnym zarządzaniem ropą i węglem. Tutaj każdy kompromis będzie się rodził w bólach i z pewnością wzbudzał sporo kontrowersji.

Największym wyzwaniem w całej tej układance jest czas. Pierwsze narody tracą cierpliwość i masowo zgłaszają się do sądów, globalne ocieplenie postępuje w zaskakującym tempie, a rankingi poparcia dla Trudeau po prawie dwóch latach rządów w niczym nie przypominają początkowej euforii z 2015 r. Przed popularnym „premierem z plakatu” czas wielkich wyzwań. Perfekcyjne zabiegi wizerunkowe mogą nie wystarczyć. ■

CO BYĆ MUSI, CO MOŻE, A CO BĘDZIE?

Problemem będą ludzie, którzy z jednej strony potrzebują dostosowania kwalifikacji do rynku, z drugiej wystąpi nadmiar siły roboczej i brak zajęcia dla wszystkich

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO I PROF. ANDRZEJ K. KOŹMIŃSKI

Grzegorz W. Kołodko: Już kilka razy byliśmy w przyszłości, ale warto w nią spojrzeć raz jeszcze. Co pańskim zdaniem nieuchronnie albo prawie na pewno spotka nas w przyszłości? Bo skoro przyczyny już zaistniały, znamy mechanizmy zachodzących procesów, to chcemy wiedzieć, jakie będą ich konsekwencje dla szeroko rozumianego gospodarowania w przyszłości. Chcemy wiedzieć, co nas czeka.

Andrzej K. Koźmiński: Nie mogę się tu wykić cytatem z Keynesa, że pewne jest jedynie to, że wszyscy umrzemy. Nie zamierzam tak się wymigiwać, więc spróbuję odpowiedzieć. Wydaje mi się, że pierwszą rzeczą nieuniknioną jest wzrost ludzkich aspiracji konsumpcyjnych. Ale od razu bym to trochę skorygował, powiadając, że mogą się w tym znaleźć także ambicje o bardziej wysublimowanym charakterze, to znaczy dotyczące kultury, edukacji, wiedzy, rozrywki i wielu innych rzeczy, czyli krótko mówiąc, ludzie będą nieustannie poszukiwali lepszego, bardziej atrakcyjnego dla nich modelu życia.

G.W.K.: Ale lepszego nie będzie oznaczać nieustannie więcej i więcej?

A.K.K.: Muszę pana zmartwić, ale w dużej mierze tak właśnie będzie.

G.W.K.: Czyli obawia się pan, że musi trwać coś, co się kłóci z koncepcją gospodarki umiaru?

A.K.K.: Tak, zwłaszcza w odniesieniu do społeczeństw biednych. W miarę jak te społeczeństwa będą się bogacić, będą tam dominowały ambicje czysto konsumpcyjne i dopiero za jakiś czas staną się bardziej wysublimowane, to jest pierwszy pewnik. Drugi pewnik jest taki, że ludzkość będzie korzystała ze wszyst-

kich możliwości technologicznych, które ma, czyli jeśli coś jest możliwe, to prawdopodobnie zostanie zrealizowane. To dotyczy wielu różnych rzeczy.

G.W.K.: Co będzie, bo musi być?

A.K.K.: Problemy deficytu energii i żywności będą stopniowo rozwiązywane dzięki technologii. Tak samo jak w pewnym momencie zielona rewolucja umożliwiła rozwiązanie problemu żywnościowego w latach 70., 80. Problem wyżywienia da się rozwiązać, pod warunkiem że będzie to uprzemysłowiona produkcja żywności, czyli znowu popadamy tutaj w sprzeczność z postulatami naturalnego rolnictwa. To nie dotyczy jedynie społeczeństw bogatych, natomiast społeczeństwa biedne będą korzystały z najbardziej uprzemysłowionych metod produkcji żywności. Co do ekologii, to sądzę, że mimo wezwań związanych z ograniczaniem emisji gazów cieplarnianych i tym podobnych rzeczy istniejące źródła surowców energetycznych, takich jak węgiel czy też ropa naftowa czy gaz, będą nadal dość intensywnie eksploatowane, choć równocześnie pojawiają się inne, zastępcze źródła energii odnawialnej. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy zostanie zrealizowana tzw. zimna synteza,

która pozwala na kontynuację energetyki jądrowej, pomimo wyczerpywania się zasobów uranu. Tak, problemy żywności i energii muszą być rozwiązywane. Wydaje mi się także, że przed ludzkością stanie problem wody, której w wielu miejscach na Ziemi brakuje.

G.W.K.: I ten problem też rozwiąże technologia?

A.K.K.: Technologia sprawia, że wchodzimy w czwartą fazę globalizacji. Ta faza globalizacji będzie się charakteryzowała, po pierwsze, zmniejszeniem znaczenia lokalizacji produkcji, ponieważ koszty siły roboczej staną się mniej istotne, czyli można się spodziewać swego rodzaju repatriacji produkcji do krajów najwyższej rozwiniętych. To się musi wydarzyć, podobnie jak to, że procesy produkcji będą realizowane w sieciach. Po drugie, procesy produkcji, dystrybucji, projektowania nowych wyrobów itd., to wszystko będzie realizowane w sieciach, a nie w monolitycznych strukturach, do jakich się przyzwyczailiśmy, czyli krótko mówiąc, koncerny giganty zamienią się w sieci. No i wreszcie ostatnia sprawa, mianowicie taka, że ludzie, którzy będą w niewielkim stopniu uczestniczyć w tych wszystkich procesach, bo nie będzie dla nich miejsca, będą

Prof. Grzegorz W. Kołodko – teoretyk ekonomii i praktyk strategii rozwoju gospodarczego. Czterokrotnie wicepremier i minister finansów. Dyrektor Centrum Badawczego Transformacji, Integracji i Globalizacji TIGER w Akademii Leona Koźmińskiego. Ekspert organizacji międzynarodowych. Wykładał na Yale i UCLA.

Prof. Andrzej K. Koźmiński – ekonomista i socjolog specjalizujący się w problematyce zarządzania i transformacji ustrojowej, członek PAN oraz wielu krajowych i zagranicznych towarzystw naukowych. Współtwórca i pierwszy rektor Akademii Leona Koźmińskiego, obecnie prezydent tej uczelni. Wykładowca renomowanych uczelni amerykańskich i europejskich.



Autorzy podczas rozmowy w pałacu Krasieńskich w Radziejowicach.

musieli znaleźć inne zajęcie. Być może będzie to łączenie gospodarstwa domowego z firmą, być może będzie to znacznie wydłużony, taki modularny proces szkolenia i kształcenia, być może będzie to rozbudowa usługowej administracji. W każdym razie zawsze problemem będą ludzie, którzy z jednej strony potrzebują dostosowania kwalifikacji do rynku, z drugiej strony wystąpi pewien nadmiar siły roboczej i brak zajęcia dla wszystkich. To są, moim zdaniem, rzeczy, które muszą się wydarzyć.

G.W.K.: Patrząc w przyszłość, miedzy innymi wypieram wyodrębniam zjawiska i procesy, które zajść muszą, gdyż są obiektywne, niezależne od naszej woli. Ciekawsza jest jednak druga kategoria zjawisk i procesów, które mogą zajść, ale nie muszą, i wtedy trzeba podzielić je na te, które są pożądane i niepożądane. Ale skoro mogą, ale nie muszą, a są niepożądane, to od razu pojawia się pytanie, czy nasza wiedza jest przydatna do tego, aby je zablokować, a tam gdzie są upragnione, aby je

prowokować i stymulować. Co zajść musi? Znamy kierunek i dynamikę procesu demograficznego. Stały wzrost liczby ludności o nieco ponad 1% rocznie oznacza, że wkrótce będzie nas 8, a potem 9 i 10 mld na tym samym terenie, który stanowi zamknięty obszar ziemski. A więc

MUSI DOJŚĆ DO WIELKIEJ WĘDRÓWKI LUDÓW, KTÓRA NIE MUSI DOKONYWAĆ SIĘ POKOJOWO.

musi być ciasniej, musi być jeszcze bardziej nierównomiernie odnośnie do osadnictwa, bo ten przyrost jest terytorialnie porozrzucany; rośnie ludność miejska, spada wiejska. Są obszary, gdzie rozrodczość utrzymuje się poniżej stopy odtwarzania, która wynosi 2,1 dziecka na matkę, są i takie, gdzie jest ona znacznie wyższa; w skrajnych przypadkach to 0,82 w Singapurze i 6,62 w Nigrze. W rezultacie musi dojść do wielkiej wędrówki ludów, która nie musi dokonywać się pokojowo. Drugi obiektywny proces demograficzny

to starzenie się społeczeństw. Będziemy żyć przeciętnie dłużej, acz mapa tych przyrostów też będzie bardzo kolorowa, nastrożając wielu problemów. Niektórzy je lekceważą, inni dostrzegają, ale wciąż za mało są uwzględniane w przewartościowaniach myślenia i w strategiach

rozwoju. To olbrzymie wyzwanie, choć przyrost statystycznego trwania ludzkiego życia będzie zdecydowanie mniejszy niż w przeszłości, zwłaszcza w XX w. Kolejny nieunikniony proces to wyczerpywanie rozmaitych nieodnawialnych zasobów Ziemi. Może, ale nie musi towarzyszyć temu ich zastępowalność wskutek postępu technologicznego, np. substytuowania nieodnawialnych źródeł energii energią odnawialną. Wyczerpywanie zachodzić będzie tym szybciej, im mniej gospodarka będzie w stanie zachować się z umiarem. Trwać ▶

► będzie globalizacja, co nie oznacza, że nie będzie przyspieszeń i zahamowań liberalizacji i postępującej wraz z nią integracji, że unikniemy rozmaitych fajerwerków i wpadek. Wobec nieodwracalnej globalizacji, procesów demograficznych w formie wędrowki ludów i starzenia się społeczeństw oraz wyczerpywania nieodnawialnych zasobów gospodarka przyszłości nie może funkcjonować tak jak do tej pory. Muszą być stworzone mechanizmy sterowania współzależną gospodarką światową, tak aby ograniczonych zasobów wystarczało dla rosnącej liczby ludności, która będzie mogła się rozlokować tam, gdzie da się żyć.

A.K.K.: Mam pierwsze pytanie związane z nierównościami. Pan powiada, że nieuchronne jest niwelowanie nierówności.

G.W.K.: Musi się tak stać.

A.K.K.: Patrząc na to, co się dzieje do tej pory, widzimy wręcz odwrotną stronę tego zjawiska. Wewnątrz społeczeństw następuje, przynajmniej w niektórych, rosnące dość poważne rozwarstwienie. Przykładem są Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, wiele innych krajów.

G.W.K.: Tak, do tego zmierzał neoliberalizm, który się dzięki temu skompromitował. Ale po części również doprowadzał do tego kompromitujący się w inny sposób, choć

G.W.K.: Czyli że musi powstać światowy rząd?

A.K.K.: A jeżeli nie powstanie, to grozi nam katastrofa. Takie widzenie świata też jest możliwe, a ponieważ szanse na to, żeby powstał, są rzeczywiście stosunkowo niewielkie, to mamy dosyć jasny, jak to się mówi, napis na ścianie.

G.W.K.: Zapisujemy zatem w protokole rozbieżności, że Koźmiński i Einstein uważają, iż musi powstać światowy rząd...

A.K.K.: Dobre towarzystwo. (...)

G.W.K.: Dla ilustracji tego, co być może, ale nie musi, można się odwołać do przyszłości procesu integracji europejskiej. Ostatnio częściej niż

ZWOLENNICY NOWEGO NACJONALIZMU LEPIJ POSŁUGUJĄ SIĘ TECHNOLOGIAMI INFORMACYJNYMI NIŻ ZWOLENNICY NOWEGO PRAGMATYZMU.

A.K.K.: Sterowania przez kogo?

G.W.K.: Przez kogo? Raz jeszcze: przez podmiot, który się wyłania i który się wyłoni, bo się wyłonić musi. Czy jest alternatywa? Tak, epoka katastrofy totalnej, po której już niewiele zostanie. Wobec tego musi dojść do reinstytucjonalizacji zglobalizowanej gospodarki i muszą powstać podmioty sterowania i mechanizmy koordynacji tych podmiotów. Będą wyrastały z tego, co już istnieje, np. z systemu oenztowskiego i takich struktur jak Światowa Organizacja Zdrowia albo Światowa Organizacja Handlu, ale też poprzez instytucjonalizację tworów młodych, jak G20, która będzie się tymi organizacjami posługiwała. Są pewne inicjatywy wychodzące z Chin, na razie jeszcze nie globalne, ale już ponadregionalne, choćby Azjatycki Bank Inwestycji Infrastrukturalnych, Asian Infrastructure Investment Bank, AIIB, ogromny chiński projekt One Belt, One Road, OBOR, na Zachodzie okrzyknięty Nowym Jedwabnym Szlakiem. Słysząc, że to chińska próba zredefiniowania globalizacji i nadania jej bardziej inkluzywnego charakteru. Wreszcie musi stopniowo dokonać się to, co nazywam emancypacją gospodarek i społeczeństw, bo muszą się zmniejszyć nierówności w podziale dochodów i majątków. W innym przypadku niemożliwe będzie zapobieżenie eskalacji konfliktu, nad którym nie da się pokojowo zapanować.

jeszcze nie wszędzie upadły, państwowy kapitalizm, który też nie ma wielkiej przyszłości. Rzecz w tym, że kraje emancypujące się w przyszłości będą miały wyższe tempo wzrostu niż kraje bogate.

A.K.K.: W skali międzynarodowej zgoda. Tu się zgadzam.

G.W.K.: Wobec tego dystans dzielący przeciętne dochody Pakistanu od przeciętnych w Japonii będzie się zmniejszał. Dystans między Polską a Niemcami też, podobnie Meksyku od USA, Zambii od Botswany czy Papui-Nowej Gwinei od Australii. (...)

A.K.K.: Zgadzam się z panem, panie profesorze. Zgadzam się także z Einsteinem. Mam jednak wątpliwości.

G.W.K.: Nie, pan się nie zgadza z Einsteinem, bo Einstein powiedział wyraźnie, że aby zapobiec totalnemu zniszczeniu wskutek wojny nuklearnej, musi powstać światowy rząd, a jak jemu inni uczeni powiedzieli: jesteś naiwny, to jest niemożliwe, to on odpowiedział: jeśli to jest niemożliwe, to samozniszczenie świata jest nieuniknione. Chyba że damy tę szansę Einsteinowi, że on, mówiąc o światowym rządzie, miał na myśli właśnie to, co my teraz nazywamy właściwą reinstytucjonalizacją i sterowaniem światem.

A.K.K.: Widzi pan, być może jest bardziej radykalny. To znaczy ja skłoniłbym się do wizji Einsteina.

rzadziej słysząc pytanie, czy Unia Europejska przetrwa obecny kryzys, czy nowy nacjonalizm nie doprowadzi do jej załamania. Kontynuacja procesu integracji europejskiej to przyszłość możliwa, ale nie nieunikniona. Nie można wykluczyć rozkładu Unii Europejskiej, choć jest to bardzo mało prawdopodobne, i dlatego w spekulacjach co do przyszłości nie zajmuję się tym, co by było, gdyby tak się stało. A mógłbym nakreślić rozmaite scenariusze rozkładu, pokazując, że taki proces byłby niekorzystny nie tylko dla krajów tworzących obecnie Unię, lecz również dla racjonalizacji globalizacji, która powinna w coraz większym stopniu opierać się na integracjach regionalnych. Unia Europejska powinna służyć tu za wzór, o co trudno wołać teraz, w sytuacji, kiedy na wierzch wychodzi szereg jej wad. Natomiast w dającej się przewidywać przyszłości całkowicie wykluczam ewentualność rozpadu Stanów Zjednoczonych; prawdopodobieństwo takiego zdarzenia uważam za zerowe. Na podobnej zasadzie mógłbym spekulować, że rozkład wspólnego obszaru walutowego euro też jest przyszłością możliwą, ale mało prawdopodobną, choć bardziej niż rozpad całej Unii Europejskiej. Jest to przyszłość niepożądana, dlatego trzeba myśleć, co i jak zrobić, aby wzmocnić wspólny obszar walutowy i sensownie go poszerzać, nie wylewając dziecka z kąpielą, jego rozpad

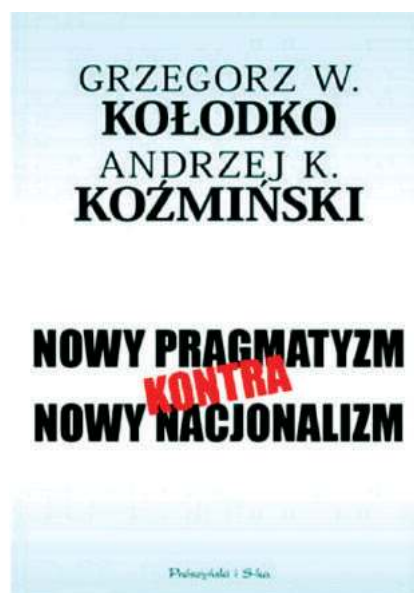
bowiem spowodowałby więcej strat niż korzyści, a to z gruntu rzeczy jest działaniem nieekonomicznym. A czy ekonomista może opowiadać się za czymś, co jest nieekonomiczne?

A.K.K.: Panie profesorze, tak się nieszczęśliwie składa, że gotów jestem się zgodzić z tym wszystkim, co pan powiedział, natomiast uważam, że dobrze jest uświadomić sobie, jakie są siły odśrodkowe, które działają na rzecz mało prawdopodobnego i bardzo niewskazanego rozpadu Unii Europejskiej.

G.W.K.: Na pewno nowy nacjonalizm. (...)

A.K.K.: No tak, panie profesorze, ale ciągle pozostaje pytanie, dlaczego jest tak, że zwolennicy nowego nacjonalizmu znacznie lepiej i zreczniej posługują się technologiami informacyjnymi i lepiej trafiają do konkretnych ludzi z konkretnymi komunikatami aniżeli zwolennicy nowego pragmatyzmu i racjonalnego urzędnika świata. Racjonalne urządzenie świata, powiedzmy sobie szczerze, jest czymś nudnym, mało atrakcyjnym, mało dramatycznym, ale wydaje się, że można spróbować zastosować nowe technologie i dotrzeć do większej liczby ludzi. Z tego punktu widzenia cenne byłoby zbicie kampanii wyborczej Macrona, gdyż jemu udało się wykorzystać nowe technologie, podobnie jak swego czasu ówczesnemu kandydatowi Obamie. Jednakże *per saldo* okazuje

w rządzie, po zwyciężeniu sukcesem realizacji strategii dla Polski, wyjechałem do oenietowskiego Instytutu Światowych Badań Rozwoju Gospodarczego, WIDER, w Helsinkach. Napisałem wtedy artykuł, który zatytułowałem „Wystarczy mieć rację”. Nigdy pan by nie zgadł, gdzie został wydrukowany; w paryskiej „Kulturze”, w emigracyjnej prasie! Wcześniej wysłałem tekst do „Polityki”, dla której wiernie jak pies przez wszystkie lata pełnienia funkcji wicepremiera i ministra finansów tydzień w tydzień pisałem eseje pod nagłówkiem „Odpowiedzi i pytania”, co zaczerpnąłem od Joan Robinson, która ponoć



-gospodarczej będzie kontynuowana, bo miałem rację; tak mi się przynajmniej wydawało. No, ale kto inny miał większość, bo władzę w Polsce przejęła koalicja Akcji Wyborczej Solidarność, AWS, i Unii Wolności, UW – fatalna mieszanka solidarnościowego prawicowego populizmu z nadwiślańskim neoliberalizmem. Notabene, gdy szybko zdołowali gospodarkę, bo w końcu 2001 r. doszło do stagnacji, PKB wzrósł o śladowe 0,2%. Jakże się pomyliłem w tamtym tekście! Otóż nie wystarczy mieć racji, trzeba jeszcze mieć większość. A żeby ją mieć, trzeba się przebić. Nie da się zawrzeć w 140 znakach na Twitterze treści nowego pragmatyzmu, nie można pokazać, na czym polega jego wyższość nad różnymi innymi ideologiami, teoriami ekonomicznymi i strategiami rozwoju. Natomiast można napisać, że wszystkiemu winni są Rosjanie albo Latynosi, Arabowie albo Żydzi, szyici albo sunnici, albo że Murzyni są leniwi, albo że za mur zapłacą Meksykanie, albo że po 1000, a nie 500 zł na każde dziecko, nawet na to zaledwie poczęte, acz jeszcze nienarodzone. Demagogia łatwiej się sprzedaje, panie profesorze, niż racjonalne argumenty.

A.K.K.: No, ale to, panie profesorze, podważa pański optymizm.

G.W.K.: Nie, to tylko, panie profesorze, skłania mnie do tego, żeby wioskować nieustannie pod prąd, co jest znacznie trudniejsze niż używa-

MUSZĄ POWSTAĆ MECHANIZMY STEROWANIA WSPÓŁZALEŻNĄ GOSPODARKĄ ŚWIATOWĄ, ABY OGRANICZONYCH ZASOBÓW WYSTARCZAŁO DLA ROSNĄCEJ LICZBY LUDNOŚCI.

się, że z nowymi sposobami komunikowania znacznie lepiej sobie radzą zwolennicy nacjonalistycznych, niekiedy szowinistycznych poglądów.

G.W.K.: Nie przeceniałbym znaczenia nowych technologii, sądzę bowiem, że demokraci i republikanie, torysi i laburzyści, chadecy i socjaldemokraci, a we Francji jedni, drudzy, trzeci i czwarcy, bo tam scena polityczna jest bardziej skomplikowana, posługują się tymi technologiami mniej więcej równie skutecznie. Podobnie jest w innych krajach. Rzecz jest bardziej w treściach niż w formach przekazu. Opowiem panu jeszcze jedną historię. W 1997 r., kiedy skończyłem swoją pierwszą misję

rzekła, że odpowiedź ekonomisty jest pytaniem dla polityka. Tygodnik „Polityka” ku memu zdziwieniu tekstu nie wziął, ale kolega zasugerował mi, żebym go wysłał do Jerzego Giedroycia, do „Kultury”. Sam bym na ten pomysł nie wpadł. Zatelefonowałem, zapytałem, czy są zainteresowani. Tak, więc wysłałem. Giedroyc oddzwonił osobiście i mówi, że ogłasza tekst w najbliższym numerze. Napisałem tam, jako *postscriptum* do okresu mojego zaangażowania w politykę społeczno-gospodarczą w Polsce, że wystarczy mieć rację, aby robiono to, co należy pod kątem szybkiego i zrównoważonego rozwoju. Uważałem, że moja linia polityki społeczno-

nie Twittera, gdzie można bezkarnie wmawiać ludziom, że dwa razy dwa będzie się równać pięć, jeśli tylko ja będę rządził. Niebezpieczeństwa nowego nacjonalizmu nie należy lekceważyć, ale żeby moc wbić ostatni gwóźdź zarówno do jego, jak i neoliberalizmu trumny, trzeba mieć coś w zamian. Toczy się ostra walka polityczna, trwają spory ideologiczne i merytoryczne. Mnie najbardziej interesuje, co się z nich wyłoni. Oby to był nowy pragmatyzm. (...)

Fragmenty książki Grzegorza W. Kołodki i Andrzeja K. Koźmińskiego *Nowy pragmatyzm kontra nowy nacjonalizm*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2017

POLEMKA Z RADOSŁAWEM S. CZARNECKIM

DWA CELE LEWICY

Bycie symetrystą to nie jest dobra rada dla lewicy

Jerzy J. Wiatr

Artykuł Radosława S. Czarneckiego „Dlaczego jestem symetrystą” (PRZEGŁĄD nr 42) zasługuje na poważną dyskusję z uwagi na osobę autora, jednego z najciekawszych publicystów lewicowych, i ze względu na wagę poruszanego zagadnienia, jakim jest pożądany kierunek myślenia o strategii politycznej lewicy. Podejmując polemikę w centralnej dla tego artykułu sprawie tzw. symetryzmu, zacznę od tego, w czym się z autorem zgadzam.

Czarnecki ma rację, gdy wytacza długą listę zarzutów pod adresem Platformy Obywatelskiej i kiedy twierdzi, że ponosi ona znaczną część odpowiedzialności za zapaść demokracji ujawnioną wynikami wyborów 2015 r. Listę zarzutów pod adresem PO można by wydłużyć – choćby o skandaliczną sprawę warszawskiej reprzywatyzacji. Za trafne uważam także twierdzenie autora, że dotychczasowa polityka PO „budowała potęgę i zasięg poparcia dla nacjonalistyczno-socjalnej, ultrapravicowej partii, jaką jest Prawo i Sprawiedliwość”.

Mój spór z autorem (a także z innymi zwolennikami symetrycznego podejścia do rywalizacji między PiS a PO) dotyczy nie przeszłości, lecz przyszłości, a mówiąc konkretnie – kierunku, w jakim powinna iść praca nad strategią polityczną lewicy na najbliższe lata. Artykuł Czarneckiego jest głosem na rzecz strategii opartej na programowym odrzuceniu współpracy lewicy z PO, w czym autor widzi perspektywę głosowania na mniejsze zło. Nawiasem mówiąc, nie rozumiem, dlaczego używa w tym kontekście określenia „znowu”. O ile pamiętam, w żadnych dotychczasowych wyborach lewica nie występowała w koalicji z Platformą Obywatelską czy jakkolwiek partią pravicową (lub centro-prawicową). W wyborach prezydenckich w 2015 r. Sojusz Lewicy Demokratycznej odmówił w drugiej turze udzielenia poparcia Bronisławowi Komorowskiemu (do

czego zachęcałem na łamach „Dziennika Trybuna”), co być może przyczyniło się do zwycięstwa Andrzeja Dudy – ze znanymi obecnie konsekwencjami.

W następnych wyborach stanimy przed wyzwaniem szczególnego typu. Idzie bowiem o dwie podstawowe kwestie: o zahamowanie procesu demontażu państwa prawa i powrót do polityki proeuropejskiej, bez czego będzie się dokonywać dalszy proces degradacji politycznej Polski. Oba te cele mają charakter nadrzędny w stosunku do interesów partyjnych. Dotyczą pod-



Lewica ma obowiązek przyjąć taką strategię, jaka w największym stopniu będzie służyć odsunięciu PiS od władzy.

stawowego interesu narodowego. Dlatego uważam, że lewica, szczególnie jej największa partia – Sojusz Lewicy Demokratycznej, ma obowiązek przyjąć taką strategię, jaka w największym stopniu będzie służyć odsunięciu PiS od władzy.

Nawet bez zmiany ordynacji (a wydaje się ona bardzo prawdopodobna) jakaś współpraca wyborcza wszystkich ugrupowań opozycyjnych, w tym lewicy, może się okazać niezbędna. Dotyczy to wyborów, które odbywają się na zasadzie większościowej – na poziomie samorządowym wyborów wójtów, burmistrzów i prezydentów miast, a w wyborach parlamentarnych senatorów. Gdyby, czego nie można wykluczyć, zmieniono ordynację wyborczą do Sejmu (np. przez radykalne zmniejszenie liczby mandatów przypadających na okręg wyborczy), cała opozycja powinna zdecydować się na wystawienie wspólnych list, gdyż

w przeciwnym wypadku – zakładając utrzymanie przez PiS silnej pozycji – groziłoby jej uzyskanie wyniku znacznie poniżej tego, jaki wskazywałby procentowy rozkład poparcia.

SLD nie może sobie pozwolić na to, by ponownie znaleźć się poza parlamentem, gdyż prowadziłoby to do trwałej marginalizacji lewicy. Chociaż powinien zabiegać o możliwie szeroką współpracę ugrupowań lewicowych, badania socjologiczne pokazują, że taka współpraca nie jest obecnie w stanie wytworzyć siły politycznej zdolnej samodzielnie odsunąć PiS od władzy.

Należy więc strategię lewicy oprzeć na odróżnieniu celu doraźnego, jakim jest odsunięcie PiS od władzy, od celu perspektywicznego, jakim jest radykalna zmiana dotychczasowego kierunku polskiej polityki. Realizacja pierwszego celu wymaga współdziałania opozycji, w tym także lewicy. W przeciwnym wypadku Polsce grozi utrwalenie na kolejne lata, a może na dziesięciolecia, autorytarne go kursu politycznego. W tym drugim obszarze lewica musi konsekwentnie walczyć o realizację programu zakładającego radykalne odejście od neoliberalnych koncepcji ekonomicznych i społecznych oraz od

konserwatywnych wartości przyswiecających polityce prawicy w sprawach równouprawnienia kobiet oraz stosunków między państwem i Kościołem. Oznacza to niemal pewne starcie z PO, w której istnieje naprawdę nurt kwestionujący jej wyraźnie pravicową politykę, ale jak dotąd jest to nurt mniejszościowy. Nie może więc być mowy o tym, by lewica „dała się uwieść mainstreamowi medialnemu i politykom PO”, czego obawia się Radosław S. Czarnecki. Jest to jednak sprawa nieco dalszej przyszłości – tej, która wyłoni się, jeśli opozycji uda się przy urnach wyborczych zatrzymać niebezpieczny kierunek polskiej polityki.

Dlatego nie sądzę, by bycie symetrystą, do czego zachęca Radosław S. Czarnecki, było dobrą radą dla polskiej lewicy na najbliższą przyszłość.

Autor jest profesorem, redaktorem naczelnym „Myśli Socjaldemokratycznej”

Z Galicji



Jan Widacki

SYMETRYŚCI

Do licznych podziałów w społeczeństwie doszedł jeszcze jeden. Przeciwnicy PiS dzielą się mianowicie na symetrystów i niesymetrystów.

Niesymetrysty uważają (wierzą?), że z PiS wygrać może jedynie Platforma Obywatelska, ewentualnie wsparta jakąś drobnicą, do której ostatnio, nad czym ubolewam, dopisała się Nowoczesna. Trzeba zatem wspierać ze wszystkich sił PO jako najpoważniejszą siłę opozycyjną. Wszelka jej krytyka, i za rządzenie w latach 2007-2015, i za czas bycia w opozycji po 2015 r., jest szkodliwa i obiektywnie służy PiS.

Symetrysty mają, zdaje się, kilka odmian. Odmiana skrajna mówi, że PiS i PO to jeden diabeł, i nie ma motywacji do głosowania na mniejsze zło. Mniej skrajna – że bez względu na to, czy PiS i PO są sobie warte, czy nie, PO ani cały zbudowany przy niej front antypisowski nie mają szansy wygrać najbliższych wyborów. Sondaże opinii publicznej pokazują, że niestety rzeczywiście tak jest. Poparcie dla PiS rządu 40% przy kilkunastoprocentowym poparciu dla Platformy nie powinno pozostawiać złudzeń. PO nie jest w stanie wygrać wyborów.

Dlaczego? Z kilku powodów. Platforma przegrała ostatnie wybory, bo nie spełniła oczekiwań wyborców (zwanych teraz suwerenem albo Polkami i Polakami). Oczekiwań realnych czy nierealnych, uzasadnionych czy nieuzasadnionych, do spełnienia czy nie do spełnienia – to już nieważne. Co PO robi teraz? Punktuje niszczenie demokracji

przez PiS, idiotyczną politykę zagraniczną prowadzącą do izolacji Polski w Europie i cywilizowanym świecie. To słuszne, ale przecież niewystarczające. Po pierwsze, jak widać, to niszczenie demokracji (jak najbardziej autentyczne), ta szkodliwa, a w perspektywie lat bardzo szkodliwa i śmiertelnie niebezpieczna polityka zagraniczna niespecjalnie przeszkadzają 40% „Polek i Polaków”. Po drugie, opozycja musi zaproponować coś własnego, nie tylko wskazywać błędy rządzących. Musi przedstawić własny program. Platforma tego nie robi, ale z drugiej strony nie jest w stanie tego zrobić w sposób wiarygodny. Przedstawi swój projekt reformy wymiaru sprawiedliwości, choćby najlepszy, i co z tego? Przeciętny Polak zapyta: Jeśli wiecie, jak ulepszyć wymiar sprawiedliwości, to dlaczego tego nie zrobiliście, rządząc przez pełnych osiem lat? Co zrobił wasz minister sprawiedliwości (o ironio!) Jarosław Gowin? Deregulował taksówkarzy i przewodników miejskich, a najlepszą rekomendacją, jaką na to stanowisko wystawił mu premier Tusk, była „pozytywna szajba” do deregulacji.

Czy PO przedstawi swój projekt reformy służby zdrowia? Choćby był perfekcyjny, pozostanie niewiarygodny. Dlaczego nie zrobiliście tego przez osiem lat swoich rządów? Już absolutnym minimum byłoby, gdyby takie projekty (inna sprawa, czy Platforma potrafiłaby je stworzyć) prezentowali nowi

ludzie, a nie ci, którzy kierowali tą partią i z jej rekomendacji zajmowali stanowiska ministrów. Ale nawet tego – wymiany własnego szefostwa – PO nie jest w stanie zrobić. Grzegorz Schetyna bardzo lubi być szefem partii, długo pozostawał w cieniu Tuska i wreszcie się dorwał. Nie przeszkadza mu, że jako lider PO jest faktycznie kapitanem beznadziejnie dryfującego okrętu.

Przeciętnego Polaka bardziej interesuje, kto robił przekręty ze zwrotem nieruchomości i kto mu na to pozwalał, niż to, czy Trybunał Konstytucyjny działa dobrze i w jakim wieku sędziowie Sądu Najwyższego przejdą w stan spoczynku.

Skandale ze zwrotem nieruchomości są konsekwencją zaniechań wszystkich rządów po 1989 r., teraz PiS je rozgrywa przeciwko Platformie.

Piszę, że to konsekwencja zaniechań wszystkich rządów, ale największe pretensje mam do rządów lewicy. Rządziła dwukrotnie. I kto, jeśli nie lewica, powinien wyraźnie powiedzieć: żadnej repriwatyzacji nieruchomości ani ruchomości nie będzie. Bo nie da się tego zrobić uczciwie, a sama idea zwracania nieruchomości (a nawet ruchomości, w tym muzealiów) wnukom, prawnukom lub osobom wskazanym przez prawniki (o fałszywych wnukach i prawnukach już nie

wspominam) nie ma nic wspólnego z ideą sprawiedliwości. Tak miała odwagę powiedzieć lewica po 1918 r. Po roku

1989 już nie miała. Bredzono coś o rzekomo świętym prawie własności, o konieczności „zwrotu zagrabanego”. Po pierwsze, powtarzam to po raz nie wiem który, jeśli prawo własności święte i niezmiennie, to uwłaszczenie chłopów w XIX w. nieważne. Po drugie, jak się chce oddawać zgrabione, to trzeba najpierw dobrze określić, komu zagrabiono, kto zgrał, a kto ma zwracać.

Te zaniedbania po 1989 r. zrodziły ogromną patologię związaną ze zwrotami (*de facto* z rozdawnictwem), bo zrodzić musiały i nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by ją przewidzieć. Teraz PiS po mistrzowsku, cynicznie wykorzystuje to do swoich celów i zyskuje kolejne punkty w sondażach. A lewica dalej w tej sprawie nie ma nic mądrego do powiedzenia.

Jak widać, zaliczam się do symetrystów. Tak, nie wierzę, by PO miała najmniejsze szanse wygrać z PiS wybory, a już na pewno nie z tym składem osobowym na pierwszej linii. Wciąż wierzę, że pojawi się jakiś twór nowy, centrolewicowy, i sam ten fakt przebuduje polską scenę polityczną. Jeśli się nie pojawi, przez następną kadencję (następne kadencje) rządzić będzie PiS, a Polska cofać się będzie do XIX w., budząc na przemian litość lub obrzydzenie cywilizowanego świata.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Ratunek w wiosce SOS

Dzieci, które trafiają do Wiosek Dziecięcych, trzeba nauczyć, jak znowu być dzieckiem

Patrycja Pawlik

Karolinka została zabrana z rodzinnego domu w wieku pięciu lat. Tylko w brudnej piżamce i tenisówkach. Było ciepło, środek lata. Dom opuściła wraz z młodszym bratem Pawełkiem. „Już bardzo długo dzieci musiały same o siebie dbać, bo mama dbała tylko o to, by mieć pieniądze na alkohol. To Karolinka przebiierała trzyletniego Pawełka i szukała dla niego jedzenia, gdy mama coraz głębiej zapadała się w nałóg”, mówi w „Kurierze SOS” mama SOS Ewa.

Adam ma już 24 lata, do wioski SOS trafił, gdy miał 10. Nadal nie umie wybaczyć swoim biologicznym rodzicom, którzy zostawiali jego i młodszego brata same w domu na całe tygodnie. Adam próbował być dla rodzeństwa tatą i mamą. „Musiałem też bronić matki i chłopaków, gdy ojciec się napił i dostawał szału. Siostry musiałem bronić przed jeszcze gorszymi rzeczami... Nigdy tak głośno nie krzychałem jak wtedy w nocy...”, wspomina na łamach „Kuriera”. Dzieci zwykle boją się ciemności, potworów, czarownic albo wilka z lasu. Dziesięcioletni Adam najbardziej bał się tego, że nie będzie miał co dać jeść rodzeństwu.

PRZEŻYŁY ZA DUŻO

W czterech SOS Wioskach Dziecięcych w Polsce przebywa prawie 500 dzieci, których historie są podobne do losów Adama, Karolinki



Energię można wyładować na placu zabaw.

czy Pawełka. Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce stworzyło osiedla domów jednorodzinnych, w których mieszkają rodzice SOS wraz z dziećmi, które z różnych przyczyn nie mogą być z rodzicami biologicznymi. Te dzieci dużo przeszły. Zanim znalazły się w wiosce, musiały radzić sobie same. Ich opiekunowie mieli problemy z nałogami, nie potrafili się sprawdzić w roli rodzica. – Trafiła do nas kiedyś piątka dzieci,

krzyczy, to dorosły przyjdzie, utuli, nakarmi, uspokoi. A dziecko, u którego w domu było bardzo źle, mogło płakać, lecz nikt nie przychodził. Albo przyszedł za późno i może przewinął, ale już nie nakarmił – mówi psycholog Aleksandra Sikorska.

Kiedy dzieciaki przychodzą do wioski SOS, zdarza się, że z owoców znają tylko jabłko i banana, a z jedzenia chleb z dżemem. Czasem trzeba je nauczyć wiązać sznurówki albo

Bardzo trudno wyrwać dziecko z roli „małego dorosłego”.

cztery dziewczynki i chłopiec – opowiada Anna Choszcz-Sendrowska ze stowarzyszenia. – Najstarsza dziewczynka miała sześć lat, najmłodsza rok. Po jakimś czasie, kiedy dzieci nabrały już zaufania do mamy SOS i zaczęły opowiadać jej o tym, co się działo w domu biologicznym, zapytała, kto karmił, przewijał i uspokajał najmłodszą dziewczynkę, kiedy płakała. I sześciolatka odpowiedziała, że wszystko za matkę robiła ona – dodaje. Bardzo trudno wyrwać dziecko z roli małego dorosłego. – Dziecko w kochającej rodzinie może oczekiwać od dorosłego, że kiedy płacze,

nawet korzystać z toalety. – Bywa, że dzieci nigdy nie były u okulisty. Mają złe oceny w szkole, bo źle coś przepisywały z tablicy. Są też dzieciaki, które nie tylko nigdy nie były u dentysty, ale też nie miały szczoteczki do zębów – dopowiada psycholog.

Praca z dziećmi tak zranionymi polega na ciągłym zdobywaniu ich zaufania. Małymi krokami, od podstaw, budują się ich relacje z rówieśnikami, więzi z nowymi rodzicami i innymi mieszkańcami wioski SOS. Dziecko początkowo skupia się na tym, żeby poznać miejsce, w którym się znalazło, poznać ludzi i ocenić, czy może



Szymon ma na koncie wiele sukcesów sportowych.



Natalia od kilku lat przebywa w Młodzieżowej Wspólnocie Mieszkaniowej SOS. Jest studentką bezpieczeństwa narodowego.

trudnieni w wiosce SOS) mieszkają z dziećmi, przyjmując rolę opiekuna. Dla nich to więcej niż praca, to pewnego rodzaju powołanie.

Małgorzata Błażewicz jest w wiosce dziecięcej w Siedlcach od momentu jej powstania w 1998 r. Najpierw siedem lat była cicią i pomagała w domach SOS. W 2005 r. wzięła pod opiekę dzieci. – Najpierw byli Szymon, Wiktoria i Daniel. A dziewięć miesięcy później przyjąłem drugie rodzeństwo: Roberta, Jaśka i Anię. Potem jeszcze na jakiś

w Estonii i zdobył puchar dla najlepszego zawodnika. Chodzi do technikum, do klasy gastronomicznej, jednak kucharzem nie chce zostać. – Gotować zawsze mogę, ale wolalbym zostać trenerem, żeby to było coś związanego ze sportem – mówi. Jego biologiczni rodzice pochodzą z Biłgoraja. Sąd zdecydował, że całe rodzeństwo może wrócić do matki, ale Szymon nie chciał. – Moje dwie siostry wróciły, ja nie. Wiem, że tu jest lepiej niż u mamy. Wiem, jak tam jest, wiem, jak jest tu. Jeździłem do niej na święta, więc dostrzegam różnicę. Z mamą mam taki kontakt, że jak się dzwoni, to rozmawiamy. Ale chyba z tatą kontakt jest lepszy, bo częściej dzwoni – wyjaśnia Szymon. – Pomyślałem sobie też, że już 12 lat jestem w wiosce SOS, to dużo.

Małgorzata zastanawia się, czy kiedy chłopcy się usamodzielnią, da radę przyjąć kolejne rodzeństwo, czy może już czas na emeryturę. Na pewno chce doprowadzić chłopców do samodzielności. A może będą chcieli przenieść się do Młodzieżowej Wspólnoty Mieszkaniowej SOS, która jest etapem pośrednim między dzieciństwem w wioskach SOS a pełnym usamodzielnieniem. To miejsce, gdzie młodzież przygotowuje się do samodzielnego życia.

Małgorzata Klimas jest mamą SOS, która podjęła się opieki nad piątką dzieci. Pierwszy kryzys przeżyła już po paru miesiącach. – Dzieciaki bardzo się buntowały. Musiały mnie poznać i nabrać zaufania, że nie przyszedłem po to, by je krzywdzić. Często ten strach wyrażały poprzez agresję i krzyki, że im na mnie nie zależy. Straszły mnie nawet, że pójdą

Dziesięcioletni Adam najbardziej bał się tego, że nie będzie miał co dać jeść młodszemu rodzeństwu.

czuć się bezpiecznie. Szuka zagrożenia z każdej strony i układa strategię przetrwania, bo ma zakodowane w głowie, że jest zdane tylko na siebie. Opiekunowie natomiast starają się pokazać mu świat, w którym dzieci są dziećmi, a dorośli dorośli.

NOWI RODZICE

Najbardziej odpowiedzialne zadanie stoi przed rodzicami SOS – mamą czy tatą, którzy (choć za-

czas doszła do nas Nikola – mówi Małgorzata. Pod jej opieką pozostała dwójka chłopaków – 16-letni Robert i rok starszy Szymon. Daniel i Jasiek są w Młodzieżowej Wspólnocie Mieszkaniowej SOS. Daniel chodzi do szkoły zawodowej w Siedlcach, do klasy o profilu kucharz. Jasiek studiuje na AWF. Ania natomiast jest w Domu Młodzieży SOS w Lublinie.

Szymon ma na koncie wiele sukcesów sportowych, ostatnio był na młodzieżowym turnieju piłki nożnej

na skargę do dyrektora – opowiada. – Bardzo pomogły mi rozmowy z psychologiem. Wiele razy słyszałam: dostaniesz teraz za wszystkich – za matkę, która się nie opiekowała, za ojca, który pił i bił, za system, który wrzucił te dzieci w dwa miejsca, zanim dotarły tutaj. Kiedy dziecko do ciebie krzyczy, to krzyczy nie do ciebie jako Małgorzaty Klimas, ale do wszystkiego złego, co je spotkało. Jednak to ty stoisz obok i ty za to dostajesz – tłumaczy. I dodaje, że naj-

► ważniejsze jest zrozumienie. Okres przełamania trwał około dwóch lat. Z tamtej piątki jedna dziewczyna się usamodzielniała, doszły dwie i teraz Małgorzata ma pod opieką szóstkę nastolatków.

Właśnie ta samodzielna już dziewczyna, gdy miała 14 lat, zaczęła odnawiać kontakt z matką. – W wiosce była od trzeciego roku życia. Mimo że nie mieszkała z matką 11 lat, i tak na początku u mamy wszystko było „naj” – wspomina Małgorzata. Po wielu spotkaniach dziewczyna zdecydowała, że spędzi w domu rodzinnym wakacje. – W tamtej miejscowości, mówiła zachwycona powrotem do mamy, nawet ludzie byli lepsi, miłsi, inaczej się uśmiechali. To trwało rok-półtora. A później coś się stało, może otworzyły się jej oczy, w każdym razie już nie chciała się widzieć z matką. Mówiła, że gdyby nie fakt, że z matką jest jej młodsza siostra, zerwałaby kontakt zupełnie – podkreśla Małgorzata.

SENS TRUDÓW

Pełnoletnich podopiecznych nie zostawia się samych sobie. Są otoczeni wsparciem, również finansowym, dopóki tego potrzebują. Młodzi często znajdują sobie wakacyjną pracę, by zwiększyć kieszonkowe. Po ukończeniu 16. roku życia mogą również się zdecydować na przeniesienie do Młodzieżowej Wspólnoty Miesz-



W wiosce dzieciaki przyzwyczajają się do normalnego życia. Robert pomaga mamie SOS Małgorzacie Błażewicz w obowiązkach domowych.

kaniowej SOS, którą najczęściej jest klatka w bloku mieszkalnym w większym mieście, przygotowana specjalnie dla młodzieży z wiosek. Nad grupą czuwa opiekun, który pomaga w prowadzeniu gospodarstwa domowego i zarządzaniu budżetem. Natalia, jedna z podopiecznych wioski w Siedlcach, od kilku lat przebywa w Młodzieżowej Wspólnocie Mieszkaniowej SOS. Jest studentką

bezpieczeństwa narodowego. Marzy, żeby zostać policjantką, ma już zakończone pierwsze testy. – Ta myśl pojawiła się już dawno. U mnie w domu była przemoc. I powiedziałam sobie już dawno, że chcę bronić słabszych – uzasadnia taki wybór.

Podopieczni muszą przede wszystkim uporać się ze swoją przeszłością. Dzieci muszą być świadome, że był jakiś powód, dla którego rodzice nie mogli się nimi zajmować, a straconego czasu nie da się zrekompenzować. Z kolei biologiczni rodzice muszą sobie uświadomić, że właśnie oni popełnili błąd. – Trzeba dużo rozumienia ze strony matki, że dzieci mogą już jej nie pamiętać i nie do końca traktują ją jak matkę. A dzieci nie mogą mieć roszczeń, że mama te lata musi naprawić – mówi Małgorzata Klimas.

Trud rodziców SOS nie idzie jednak na marne. – Jestem dumna, kiedy dzieci chcą się uczyć i mają sukcesy. I że mądrze podchodzą do życia, że nie wychowuję kolejnych klientów opieki społecznej, ale ludzi, którzy będą sobie w życiu radzić – uśmiecha się. – Najważniejsze, że widzę, że robię to, po co przyszłam. Że jakoś zastępuję im matkę, że kiedy jest im ciężko, przychodzą do mnie, bo mają zaufanie.

Patrycja Pawlik



Wyślij SMS o treści PIPi pod numer 74567 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)

PIPi. Ani bajkowa, ani Pończoszanka. Taka zwykła PIPi, która całe życie rodziła żrebaki, czasem wozila dzieci, często ciągnęła swoją malutką bryczkę, a rzadko jedynie odpoczywała. Ktoś powie, że PIPi miała wszystko. Bo miała swego Pana, który zapewniał jej dach nad głową i nieustanne

zajęcie, i żyła tak wiele lat. Gospodarz twierdzi, że kuczka miała szczęście, przecież inne konie idą od razu na ubój, a PIPi miała szansę służyć mu 20 lat. Bo, niestety, ludzkie postrzeganie zwierząt często sprowadza się do ich przydatności dla naszych celów. Ale teraz, u progu zimy, PIPi czeka wielka rewolucja. Bo jej termin przydatności minął wraz z diagnozą weterynarską, że straciła wzrok. A, że jak co rok jest żrebną to i większe ryzyko komplikacji, a na leczenie szkoda pieniędzy. Nie pojedzie już pokornie z bryczuszką, w zasadzie wszelkie powody, aby trzymać ją przy życiu zniknęły.

Potrzeba 2600 zł aby ocalić i przetransportować starą, ciężarną PIPi do naszej fundacji. Mamy czas do 30 października. Prosimy o pomoc. Fundacja Otwórz Serce działa od ponad 10 lat, otacza opieką ponad setkę kucyków. Jest organizacją pożytku publicznego.

Możesz pomóc dokonując darowizny z tytułem PIPi na konto PKO BP 72 1020 5138 0000 9102 0166 4523

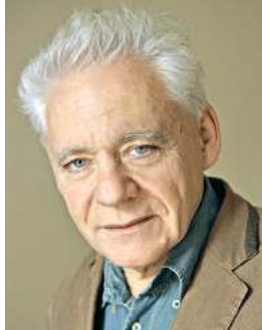
ul. św. Jerzego 1A, 50-518 Wrocław

Fundacja Otwórz Serce
tel. 576 091 472, www.otworzserce.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Społecznej Regulamin: <http://otworzserce.org.pl/rk.html>



Oko w oko



Tomasz Jastrun

DŁONIE

Mam już kolejny wykład, może bardziej gawędę, o Bolesławie Leśmianie. Tym razem w zamojskiej książnicy. Poeta mieszkał przez wiele lat w tym mieście, które w listach określał jako podłe miasteczko. Teraz by tak nie powiedział. Stara część Zamościa kwitnie, to jedna z ładniejszych starówek w Polsce. Pisałem już o tym: to skandal, że Leśmian – jest okrągła rocznica jego urodzin – nie został patronem tego roku. Wśród patronów jest dwóch błogostawionych. Leśmian był za mało narodowym artystą, chociaż nikt w XX w. nie panował tak jak on nad polskim językiem. Nie był jednak święty. Stworzył swój magiczny świat, doskonale szczelny, w harmonii słowa może konkurować z Mickiewiczem i Słowackim, rymuje, jakby oddychał. I ta metafizyka!

Migawki z Zamościa. W czwartek w wieczornym mroku i zacinającym deszczu oglądanie domu, w którym mieszkał Leśmian. Co ma wspólnego ten odnowiony śnieżnobiały dom w na wpół martwej, bezludnej, sterylnej, ale pięknej uliczce z tym dawnym, zatłoczonym i brudnym zamojskim starym miastem? Leśmian cenił poezję swojego ojca, który spotkał się z nim rok przed śmiercią poety. Ojciec wspominał: „Poznałem go w kawiarni na Mazowieckiej, w której wówczas spotkać można było najwybitniejsze osobistości świata literackiego stolicy. Małeńki o wielkiej wyrazistej głowie, ruchliwy, zaskakujący nagłym zestawieniem słów, podobny był do tych »ludzieńków« i dziwotworów, którymi zaludniał swoją poezję”. Powiedziałem na spotkaniu: „Czułem, ściskając dłoń mojego ojca, że ściskałem pośrednio rękę Leśmiana. Takie wędrówki uścisków przez czas”. Kilka osób podeszło potem, by uściskać mi dłoń.

W Zamościu spotykam się z rodzicami narzeczonego mojego dorosłego syna. Dobra kolacja i tak nam blisko w poglądach na świat i na sytuację polityczną w Polsce. On: „Nie spodziewałem się, że u nas są takie pokłady głupoty i obskurantyzmu”. Ciągle ostatnio słyszę od ludzi takie słowa. Po spotkaniu w księgarni podeszła do mnie jakaś pani, powiedziała, że jest sędzią. „Nie spodziewałam się, że dożyję takich czasów”, mówi. To też nieustannie słyszę z ust ludzi.

W zamojskiej księgarni przy rynku widzę w witrynie książkę Tomasza Piątka o Macierewiczu. Łapię się na myśli: no proszę, księgarnia nie boi się wystawiać tego tytułu na widok publiczny. Nie jest więc jeszcze tak źle.

Stanisław Wyganowski nie żyje, odszedł luksusowo we śnie, miał 98 lat. Architekt, urbanista, pierwszy prezydent

Warszawy po 1989 r. Tyle mam z nim wspomnień. Był lokatorem domu na Iwickiej, gdzie mieszkali liczni i słynni wtedy pisarze, gdzie spędziłem dzieciństwo i młodość, domu, o którym książkę niedawno ukończyłem. To ostatni dorosły z tego budynku, zostaliśmy jeszcze my, osiwiacie już dzieci mieszkańców.

Jedną z pierwszych nocy stanu wojennego, gdy się ukrywałem, spędziłem w jego mieszkaniu. Pamiętam, że gdy zasypialiśmy, powiedział: „Byłem w pana wieku, gdy szedłem do lasu”. Żołnierz AK, dostał się w ręce gestapo, torturowany, opowiadał mi: „Miałem dobrze, bo jak mnie bili, łatwo mdlałem”. Niezwykle przystojny mężczyzna, z wielką klasą. Szkoda, że nie dożył druku mojej książki, piszę tam wiele o nim.

Pewnie większość czytelników zna te słowa prezesa z ostatniej miesięcznicy o katastrofie smoleńskiej, ale zacytuje je na wieczną rzecz pamiętkę, jako przykład wyjątkowej obłudy politycznej: „Będzie prawda, której dzisiaj jeszcze nie znamy, ja jej nie znam. Prawda albo stwierdzenie, że dzisiaj w tych okolicznościach, które mamy, tej prawdy ustalić się nie da”. To jest podłe, ale sprytne. Tak można bronić najbardziej fantastycznej bzdury. Tu cała sztuka, by utrzymywać w ludziach podejrzenie i niepokój. Ale jakoś rozumiem preze-

sa, przecież siedzi na górze kłamstw i pomówień. Jak teraz przyznać, że to była tylko zwykła katastrofa, błąd pilota? Miliony Polaków uwierzyły w zamach smoleński, teraz mają wierzyć w coś, nie wiadomo co, co jest złowrogie. To świadome utrzymywanie ludzi w stanie półobłądu.

W moim ulubionym kinie Stacja Falenica – na dawnej stacji, przy peronie kolejki podmiejskiej – oglądam malowany film o van Gogh, tłum ludzi, a po projekcji oklaski. Inteligenckie twarze, myślę: to są te zniechęcone przez PiS elity. Podczas podróży po Polsce wszędzie spotykam takich ludzi. W małym miasteczku stanowią niewielką grupę, nie taką jednak małą, skoro na spotkaniu potrafi być sto osób. W dużych miastach nigdy nie ma tak licznej publiczności. Ci ludzie to najcenniejsze, co ma Polska. A są teraz codziennie upokarzani przez polski stan rzeczy.

Cała sztuka, by utrzymywać w ludziach podejrzenie i niepokój.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

BELFER WRÓCIŁ

Dla polskiego widza
dobry serial to norma

Rozmawia Małgorzata Major

W wielu wywiadach pani i współscenarzystka „Belfra” Jakub Żulczyk mówicie, jak zrodził się pomysł, jak wyglądały praca i podział obowiązków. Ale kiedy przyszła pani do głowy myśl: zrobiłabym własny serial? Albo: zrobiłabym to lepiej niż w serialu X?

– Z Jakubem Żulczykiem od dłuższego czasu się przyjaźniliśmy, oglądaliśmy wspólnie dużo filmów i seriali – kilka lat temu przetoczyła się przez stacje telewizyjne serialowa fala, ze skandynawskimi kryminałami na czele. Doszliśmy do wniosku, że sami chcielibyśmy taki serial napisać, pod warunkiem że rozgrywałby się w polskich realiach. Oboje mieliśmy doświadczenie literackie – ja jako dramatopisarka, Kuba jako pisarz. Uczepiliśmy się tego pomysłu na następne kilka lat.

Czy takie seriale jak „Wataha”, „Belfer”, „Artyści” zapowiadają odejście od seriali codziennych, sag rodzinnych i paradokumentów na rzecz telewizji jakościowej?

– Nie zastanawiałam się nad popularnością paradokumentów, bo takich produkcji nie oglądałam. Koncentruję się na oglądaniu seriali ambitniejszych, chodzę regularnie do kina. Uważam, że polski widz jest świetnie zorientowany i przywykł już do telewizji jakościowej – dla niego dobry serial to norma. Popularność polskich seriali bierze się stąd, że widzowie chcą oglądać produkcje oparte na naszych realiach – oryginalne, a nie przeszczepione formaty, w których zawsze coś zgrzyta. W ostatnich latach ten zwrot jest bardzo widoczny – chodzenie do kina czy oglądanie rodzimych seriali nie jest już obciążeniem.

Przy pierwszym sezonie trudno było „Belfrowi” uciec od porównania z „Miasteczkiem Twin Peaks”. Skąd w nas, widzach, potrzeba, żeby wszystko etykietować jako „polską wersję serialu X”? Amerykanie nadal robią najlepszą telewizję?

– Amerykanie bez wątpienia robią najlepszą telewizję, jeśli chodzi o warunki i przygotowanie samej produkcji. To przemysł, w którym obowiązują określone standardy i wysoki stopień profesjonalizacji zawodowej, o jakiej

Silne postacie kobiece doszły do głosu w świecie serialowym, ale nie u nas.

w Polsce można tylko pomarzyć. Dlatego nawet oglądając słabszy scenariuszowo serial, widz ma złudzenie doskonałości (kostiumy, scenografia, dokumentacja, zdjęcia). Proszę zwrócić uwagę, jak niewiele głośnych seriali zza oceanu to oryginalne produkcje – nawet „Homeland” był formatem izraelskim, z czego niewielu widzów zdaje sobie sprawę, podob-

MONIKA POWALISZ

– pomysłodawczyni i scenarzystka serialu „Belfer”

nie jak „House of Cards”. Porównań w świecie kultury popularnej nie da się uniknąć. Przyklejanie etykietek wynika z kompleksów. Pisząc „Belfra”, byliśmy na to wyczuleni, ale przecież od skojarzeń i odwołań nie da się uciec w stu procentach – wszyscy funkcjonujemy w obiegu tej samej serialowej kultury. **Zdaniem krytyków zapotrzebowanie na seriale z silnymi postaciami kobiecymi jest już zaspokojone. Jako widzka czuje się pani usatysfakcjonowana postaciami kobiet? Czy „Orange is the New Black”, „Dziewczyny” albo „Opowieść podręcznej” znajdują się na pani liście do obejrzenia?**

– Silne postacie kobiece doszły do głosu w świecie serialowym, ale nie u nas. Nie wiem, czy ten trend jest już wyczerpany – powtórzę, na pewno nie u nas. W tym roku obejrzałam „Opowieść podręcznej” i serial „I Love Dick”, który w ogóle nie został zauważony przez polską krytykę, a szkoda, bo to dobry przykład do analizy – na każdym poziomie – począwszy od formatu, a skończywszy na scenariuszu



(adaptacja biograficznej książki Chris Kraus). „Dziewczyny” z kolei były dla mnie bardzo „nowojorskie” i momentami naiwne – wyrosłam już z problemów bohaterki i temat „dziewczyńskości” nie dotyka mnie tak bardzo. Nie tworzę żadnych list – seriale oglądam bardzo wybiórczo. Ostatnio wróciłam do starego „Twin Peaks” – takie powroty bywają bardzo pouczające. **Pewnie Netflix jest dla pani jednym z podstawowych narzędzi poszukiwania repertuaru. Niedawno zapowiedziano pierwszą produkcję platformy z polskim udziałem. Agnieszka Holland i Kasia Adamik opowiedzą alternatywną historię Polski po 1982 r., wedle której ZSRR nie upadł.**

– Wiadomość, że Agnieszka Holland z córką będą przygotowywać serial dla Netflixa, bardzo mnie ucieszyła. To, że platformy typu Netflix czy Showmax powoli wchodzi do nas, jest bardzo istotne, bo wprowadzi na polskim rynku produkcję realną konkurencję. Szkoda, że w pierwszym Netflixowym projekcie z polskim udziałem zabrakło naszych scenarzystów – mam nadzieję, że w przyszłości to się zmieni. Odnoszę wrażenie, że scenarzysta w Polsce jest wciąż zawodem drugiej kategorii, zwłaszcza w produkcjach serialowych – to musi się zmienić, bo dobry scenariusz jest podstawą dobrego serialu. Jeśli scenariusz jest zły, nie uratuje go ani dobry reżyser, ani wybitny aktor. **Jako studentka asystowała pani przy serialach Macieja Wojtyskiego i Wojciecha Adamczyka. Czy praca z nimi wpłynęła na pani postrzeganie i rozumienie tego, jak się robi telewizję?**

– To było nietypowe doświadczenie zawodowe jak na ówczesną studentkę reżyserii teatralnej. Zarówno Maciej Wojtysko, jak i Wojciech Adamczyk mieli w tym czasie świadomość i wyczucie rynku – starali się tym doświadczeniem dzielić ze studentami Akademii Teatralnej. To było bardzo cenne doświadczenie, liźnęłam wtedy trochę serialowego świata. Zobaczyłam, jak to wygląda od kuchni – praca na planie, praca ze scenariuszem, organizacja samej produkcji. Nie myślałam, że kiedykolwiek scenariusze do seriali będę pisać – to było nawet nie w sferze marzeń, tylko kolejnych doświadczeń

zawodowych, na zasadzie: dobrze, teraz już wiem, jak to jest być asystentką reżysera na planie serialu.

Obawia się pani w recenzjach porównań pierwszego sezonu „Belfra” z drugim?

– Takie recenzje, które oczywiście śledzę, już się pojawiły. I bardzo mnie cieszy dostrzeżenie faktu, że drugi se-

Oglądanie seriali w gronie bliskich i przyjaciół ma głębszy sens.

zon jest jednak zupełnie inny niż pierwszy. To zresztą od początku przyświecało wszystkim twórcom scenariusza – zostawić tytułowego Belfra, ale całą resztę zmienić. Bohater rzucony w zupełnie inny świat i inne okoliczności musi w tej rzeczywistości odnaleźć się na nowo – przede wszystkim ją rozpoznać. Co w drugim sezonie wcale nie jest łatwiejsze niż w pierwszym.



Czy i w drugim sezonie na ekranie widoczne będzie 95% państwa scenariusza, a może proporcje się zmieniły?

– Powstawanie drugiego sezonu, a przede wszystkim tempo prac, zakładało trochę inny model pisania – do naszego zespołu dołączyli Bartek Ignaciuk oraz Wojtek Bockenheim, który jest jednocześnie producentem. Każdy miał „swoje” odcinki. Ale zasada pozostała ta sama – nie zmieniamy scenariuszy na planie i dlatego mogę powiedzieć, że znów widzę 95%, no, może czasami 93%.

Nad czym pani pracuje – nowy serial, inny gatunek, inna tematyka?

– Pracuję nad powieścią „Ósme ciało”, która zostanie wydana w mar-

cu przyszłego roku. Przede mną ostatni, najtrudniejszy etap redakcyjnych poprawek. Oprócz tego piszę kolejny serial – kryminalny.

W związku z amerykańską modą na wskrzeszanie starych seriali („Z archiwum X”, „Miasteczko Twin Peaks”, „Roseanne”, „Pełniejsza chata” itd.) jaki stary polski serial kontynuowałaby pani z własnym scenariuszem?

– Mnie wskrzeszanie nie bardzo interesuje – nie wierzę w życie pozagrobowe i powroty do przeszłości. Lubię wymyślać nowe, oryginalne historie. W Polsce brakuje dobrego serialu obyczajowo-komediowego na poziomie dawnego „Czterdziestolatka” – przydałoby się z tej perspektywy opisać polską rzeczywistość. „Czterdziestolatek” miał wprawdzie kontynuację w latach 90., ale XXI w. pozostaje wciąż do opisanie.

Co pani obecnie ogląda?

– Tej jesieni będę oglądać „Belfra 2”, bo chociaż wiem, kto zabił, to jako widz zobaczyłam do tej pory jedynie dwa odcinki. Zamierzam dawkować sobie uważnie tę przyjemność – łącząc perspektywę współautora scenariusza i zwykłego widza. Poza tym nie lubię oglądać seriali sama, myślę, że oglądanie w gronie bliskich i przyjaciół ma głębszy sens. Zawsze wynoszę z takich seansów cenne obserwacje i uwagi, które skrzętnie przechowuję w pamięci. Lubię słuchać innych. Lubię też, kiedy to inni coś mi polecają. Zaczęłam niedawno oglądać „Trzy naście powodów”, a w kolejce czeka „The Affair” – to chyba moja największa zaległość. ■

ZAGRAJA

POLSKA ORKIESTRA SINFONIA IUVENTUS

Symfonia „królewskie” Josepha Haydna

Sinfonia Iuventus zaprasza na koncert, który poprowadzi Martyna Pastuszka, skrzypaczka i członkini wielu międzynarodowych zespołów muzyki dawnej. Orkiestra powstała z inicjatywy jednego z najwybitniejszych polskich dyrygentów Jerzego Semkowa, a w jej skład wchodzi najzdolniejsi absolwenci i studenci uczelni artystycznych, którzy nie ukończyli 30 lat. Symfonie Haydna (dopełnione uroczym młodzieżowym divertimentem zaprzyjaźnionego z nim Mozarta), tworzące swoisty monarszy cykl, zabrzmiały w miejscu najbardziej dla nich stosownym – przepięknej rokokowej Sali Wielkiej Zamku Królewskiego w Warszawie.

WARSZAWA, ZAMEK KRÓLEWSKI, 28 PAŹDZIERNIKA, GODZ. 19.00



BYLIŚMY

NIESPEŁNIENIE, PRZEMIJANIE I PAMIĘĆ

Niespełnienie – nieukończona opera Verdiego „Król Lear”. Przemijanie – zderzenie młodości tancerzy Studia Baletowego ze starością króla i uczestniczących w przedstawieniu podopiecznych domów pomocy społecznej. Pamięć – króla i aktorów amatorów, a dokładniej wyryte w niej wydarzenia sprzed dziesiątek lat. Oto główne przesłania słowno-muzycznego spektaklu, który zaprezentował Michał Znaniecki.



Reżyser odnalazł fragmenty opery, o której genialny kompozytor marzył i nad którą pracował do śmierci, a Leara ukazał na tle stosunku do

niego trzech córek, w którym fałsz, chciwość i przebiegłość kłócą się z miłością i prawdą. Zaangażowanie amatorów – ludzi w podeszłym wieku, ubranych w galowe stroje, którzy przywołują wydarzenia z czasów młodości, szczególnie wojny, ma współgrać z życiem szekspirowskiego króla, w którego postać udanie wcielił się (aktorsko i wokalnie) Jerzy Artysz. Równie wyraziście zostały zarysowane postacie córek Leara, spośród których Kordelia (Ewa Biegas) miała największe pole do popisu.

Przedstawienie grane w Sali Kameralnej cechuje duża oszczędność środków wyrazu, na scenie panuje czerń, która symbolizuje widmo końca. Ale zanim on nastąpi, warto się cieszyć życiem, o co apeluje sam Znaniecki, każąc asystującemu królowi Foolowi wypowiedzieć na koniec: „Łapcie życie”.

Paweł Dybicz

„Szukając Leara: Verdi”, reżyseria Michał Znaniecki, Opera Krakowska, 5 października 2017

KURTYNA W GÓRĘ

Zdawało się, że romans Chopina i George Sand nie ma już dla nas tajemnic, ale spektakl, a właściwie skrzyżowanie monodramu z recitalem pianistycznym, odsłania ciemniejsze strony tego związku. Tytuł zawierający zdrobnienia, jakimi raczyła naszego kompozytora francuska pisarka, kieruje wyobraźnię w bardziej współczesne regiony. Chip, Chop... George pieścił ksywki tworzyła od nazwiska, a nie od imienia muzyka. Była nim zafascynowana, a jednocześnie żywiła wobec niego matczyne uczucia. W spektaklu nie ma odniesień do erotyki, jest natomiast mnóstwo skarg na stan zdrowia, sposób życia i obyczaje przyjaciela. A monologowi towarzyszy muzyka dopasowana do opisywanych okoliczności tego skomplikowanego układu męsko-damskiego. Nad wszystkim góruje jednak talent aktorski Natalii Rzeźniak-Pospieszalskiej.

W DUSZY GRA

„Chopin – Chip, Chop, Chipette”, scenariusz i reżyseria Jerzy Bielunas, Teatr WARSawy, premiera 5 października 2017



Bronisław Tumilowicz

MAŁŻEŃSTWO WE FRANKACH SZWAJCARSKICH

Statki pływające po jeziorach i rzekach oraz wytworne restauracje, gdzie po pożegnaniu aktorów można zjeść dobrą kolację i dyskutować o spektaklu, to dla Krakowskiego Teatru Komedia ulubione miejsca docierania ze sztuką do widzów. Po jego letnich występach na pływającym po Śniardwach statku „Chopin”, gdzie na widowni mieściło się tylko 40 osób, premiera komedii Jana Jakuba Należytego „Małżeństwo we frankach szwajcarskich” odbyła się na pokładzie „Stefana Batorego”, zacumowanego na Wiśle w pobliżu Wawelu. To już piąta komedia Należytego wystawiona w ciągu pięciu lat istnienia teatru. Poza „Mężem i żoną” Fredry Należyty napisał wszystkie sztuki dla Komedii, sam w nich gra, a jego żona Małgorzata Żukrowska-Należyty przygotowuje scenografię.

„Małżeństwo we frankach szwajcarskich” w reżyserii Dariusza Gnatowskiego to komedia o parze, która wzięła kredyt, wspólnie kupiła mieszkanie i postanowiła się rozstać. Nie przewidziała, że związku między mężczyzną a kobietą nie trwają wiecznie, a raty nadal trzeba płacić.

Spektakl pokazujący tak aktualny problem frankowiczów został wzbogacony o mądre piosenki autorstwa Należytego, co zabarwia wszystko romantyczną nutką i nie wielką widownią bawi się znakomicie.

Od 6 listopada kolacje teatralne odbywać się będą także w warszawskiej restauracji Awangarda przy ul. Czackiego 3/5.

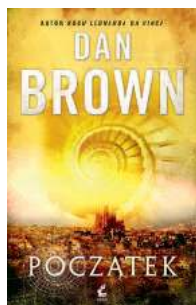
Leszek Konarski

Jan Jakub Należyty, „Małżeństwo we frankach szwajcarskich”, reżyseria Dariusz Gnatowski, Krakowski Teatr Komedia, premiera 25 września 2017



MIĘDZY OKŁADKAMI

NA EKRANACH



Dan Brown

POCZĄTEK

tłum. Paweł Cichawa

Sonia Draga, Katowice 2017

Hiszpania to teraz gorący temat, ale tamtejsze separatyzmy Brownowi do niczego potrzebne nie były, zresztą w jej opisie w „Początku” króluje *licentia poetica*. Liczą się hasła: Muzeum Guggenheima w Bilbao, Gaudi, Sagrada Familia, Franco. Ośią akcji jest spór nauka kontra religia. Przyjaciel Roberta Langdona ma przedstawić odkrycie, które wywróci nasze myślenie o pochodzeniu i przyszłości rodzaju ludzkiego, ale zostaje zastrzelony na oczach tłumów. Czytamy łapczywie, bo oczywiście chcemy się dowiedzieć, co to za rewolucja nas czeka, a jak się w końcu doczytamy... Naprawdę było to warte morderstwa?

Nikt w zasadzie nie oczekuje od Browna, że przełamie schemat i napisze coś innego. Mają być spiski, łańcuch zaszyfrowanych wskazówek, zegarek z Myszką Miki i piękność u boku. No to meldujemy wykonanie zadania. Tym razem przynajmniej wiadomo, dlaczego w ewentualnej następnej części pojawi się nowa dziewczyna Langdona, a podążanie ku rozwiązaniu jest konkretniej umotywowane. Poprzednie „Inferno” pozostawiało wrażenie, że autor gania bohatera po świecie na siłę. Można się zadumać nad zamiłowaniem ludzi do spektaklu, no i pogratulować sobie intuicji, a to zawsze miłe.

Aleksandra Pańko

Wacław Panek

PRZEWODNIK MUZYCZNY

Wydawnictwo Muzyczne Polihymnia, Lublin 2017

W tej książce jest w zasadzie wszystko, czego może zapragnąć czytelnik interesujący się dowolnym gatunkiem muzyki w jego historycznej i współczesnej postaci: zarówno syntetyczna informacja o dziełach Bacha, Mozarta, Chopina i ich analiza, jak i opis licznych gatunków i podgatunków jazzu, rocka, hip-hopu, rapu itd. Historia festiwali piosenki, łącznie z Sopotem, Opolem i Kołobrzegiem, oraz tabele ujmujące zwięźle główne style sztuki muzycznej na przestrzeni wieków. Mamy słowniczek terminów muzycznych i podstawowe chwytły gitarowe, rytmy ważniejszych tańców ludowych i towarzyskich, a także dociekania na temat początków muzyki w ogóle. Wszystko napisał i zebrał świetnie przygotowany muzykolog i pisarz muzyczny Wacław Panek. Wydaje się, że tak przejrzyste ujęcie przewodnika muzycznego jeszcze na naszym rynku nie było. Na 380 stronach znajdujemy muzykę w pigułce. Nic, tylko grać, śpiewać, słuchać i czytać.

BT

**INXEBA. ZAKAZANA ŚCIEŻKA**

reż. John Trengove, prod. Francja/Holandia/Niemcy/RPA,

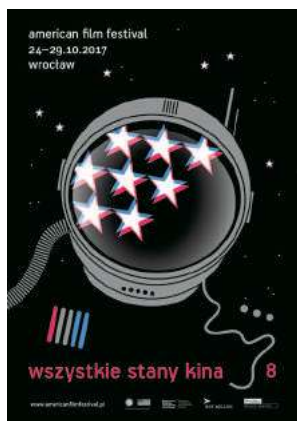
w kinach od 7 października



Kino afrykańskie dociera do nas rzadko, a szkoda, bo „Inxeba. Zakazana ścieżka” to tylko jeden z wielu jego ciekawych przykładów. Oglądamy Kwandę, nastolatka, który z Johannesburga jedzie na wieś, gdzie w towarzystwie lokalnych chłopaków ma wziąć udział w rytuale przejścia i stać się mężczyzną. Reżyser zderza żyjącego po europejsku mieszczaucha z wciąż hołdującymi tradycjom mieszkańcami prowincji i robi to bez wartościowania postaw, nie daje się uwodzić pozornym atrakcjom. Bohater docenia wciąż żywe na wsi więzi międzyludzkie, ale widzi cenę, jaką przychodzi za nie płacić. Udawanie kogoś, kim się nie jest, podporządkowanie się klasycznym podziałom na męskie i żeńskie to dla jego nowych znajomych norma, którą chłopak spróbuje podważyć. Do zajmującego, nierównego pojedynku dojdzie na tle malowniczych krajobrazów, wśród lokalnych strojów i makijaży, które kamera – ku naszemu zachwytowi – podgląda bez fetyszyzowania. „Inxeba” nie ma nic wspólnego z turystycznym spojrzeniem na Afrykę.

Artur Zaborski

FESTIWALE

**AMERICAN FILM FESTIVAL**

Otwarcie na wesoło – komedia romantyczna, przebój amerykańskich kin i rewelacja tegorocznego Sundance, „I tak cię kocham” Michaela Showaltera. Na zakończenie satyra *science fiction* „Pomniejszenie” Alexandra Payne’a z Mattem Damonem. A pomiędzy ponad 90 filmów pełnometrażowych, w tym 56 pokazanych w Polsce po raz pierwszy. Jak zwykle silna będzie reprezentacja filmów prezentowanych na festiwalu Sundance, a także znane z Cannes „Zabicie świętego jelenia” Yorgosa Lanthimosa z Nicole Kidman i Colinem Farrellem czy „The Florida Project” Seana Bakera z wybitną rolą Willema Dafoe. AFF to dwie premierowe sekcje konkursowe: Spectrum, panorama współczesnego kina amerykańskiego oraz American Docs – najgłośniejsze dokumenty sezonu pokazujące różne oblicza Ameryki. Oceniane przez widzów filmy będą się ubiegać o nagrody w dwóch kategoriach: film fabularny i film dokumentalny. Pełny program: www.americanfilmfestival.pl.

**WROCŁAW, KINO NOWE HORYZONTY,
24-29 PAŹDZIERNIKA**

Rozmawia Małgorzata Czop

Bohater „Pomiędzy słowami” to Polak, który wyemigrował, szukając lepszego życia. Dlaczego zdecydowała się pani poruszyć ten temat teraz, kiedy emigranci budzą u wielu osób negatywne skojarzenia?

– Chciałam opowiedzieć o emigracji, czerpiąc z własnego doświadczenia. Dla mnie tożsamość emigranta jest ważnym tematem. Ludzie pytają mnie, czy bardziej czuję się Polką, czy Holenderką. Trudno mi odpowiadać, bo nie wiem, jak to jest czuć się Holenderką. Dla mnie tożsamość składa się z dwóch elementów. Wewnętrznego, który nie ma nic wspólnego

UMRZYJ I ZACZNIJ OD NOWA

Emigrantka o emigracji
inaczej

URSZULA ANTONIAK

– reżyserka



Urszula Antoniak wyjechała z Polski w latach 80. i zamieszkała w Holandii. Jej filmy „Nic osobistego” czy „Code Blue” były doceniane na zagranicznych festiwalach. W „Pomiędzy słowami” opowiada o emigracji z wyboru, poszukiwaniu własnej drogi i budowaniu lepszej wersji siebie.

Andrzej Chyra
i Jakub Gierszał
w „Pomiędzy
słowami”.



z Polską, Holandią czy językiem. Na drugi, zewnętrzny, ustalany przez innych, nie mam wpływu. W filmach pojawiają się klisze pokazujące emigrantów jako ofiary, którym trzeba pomóc. Jednak emigracja nie zawsze jest koniecznością. Nie widziałam produkcji, które przedstawiałyby to zjawisko w kontekście egzystencjalnym, jako świadomy wybór.

Michael grany przez Jakuba Gierszała po takiej decyzji wyjechał z kraju.

– Michael nie odczuwa potrzeby bycia w Polsce. Odciął się od tego, co było, i zaczął nowe życie. Dla niego bycie Niemcem to dojście do pewnej klasy społecznej. Nie chce dobijać do pewnego poziomu, ponieważ uważa, że to miejsce mu się należy. Wszystko sobie poukładał. Miał małe projekty: praca, tożsamość i ojciec. Został już tylko ten ostatni. Pojawienie się ojca budzi w nim dziecko. Podoba mi się, że ten bohater jest przełamany w środku. Niesie początek własnej tragedii.

Jak mówi poeta: „Umrzyj i zacznij od nowa”.

– W tym wypadku oznacza to pracę nad sobą. Tożsamość nie jest czymś danym nam genetycznie. Żeby być kimś, musimy przejść transformację. Michael musi umrzeć jako osoba, która nie może się pogodzić z faktem, że przynależy do grupy emigrantów. Pojawienie się ojca burzy pewien porządek. Przypomina bohaterowi o jego pochodzeniu. **Spotkanie ojca i syna jest powściągliwe. Spodziewałam się większych emocji. Myślałam, że na jaw wyjdą skrywane pretensje. Pani zdecydowała się na inną interpretację.**

– Istnieje rodzaj stereotypu u widzów, którzy idąc do kina, chcą zobaczyć emocje. W końcu ojciec spotyka się z synem... Faceci są wychowywani przez kobiety i od nich nabierają kobiecej wrażliwości, dlatego chcemy, żeby zachowywali się tak jak my. Jednak mężczyźni nie wyrażają emocji, oni potrafią je kontrolować. To moje największe odkrycie.

Dlaczego zdecydowała się pani na czarno-białą opowieść?

– Zastanawialiśmy się nad tym z operatorem Lennertem Hillegem. Dla mnie tożsamość to cienie i poszukiwania, a emigracja to całe spektrum zjawisk. Natomiast bycie kochanym jest czarno-białe. Albo się kocha, albo nie. Nie ma nic pośredniego. Stąd ten wybór. Do tego muzyka Ketila Bjørnstada – tego kompozytora zasugerowała Milenia Fiedler, montująca wcześniej „Samotność w sieci”, gdzie pojawiły się jego utwory. To doskonała ilustracja filmu przełamana turecką piosenką, która dopełnia Berlin wyglądający nocą jak Stambuł. Te dźwięki i rozdarty kobiecy głos niosący jakieś *katharsis* są piękną puentą tej opowieści.

Zwłaszcza że Michael musi przeżyć takie oczyszczenie.

– On ma świadomość, że doszedł do najniższego punktu w swoim życiu, teraz może iść tylko w górę. Na końcu filmu widzimy, jak pociąg tańczy, a jedna z bohaterek stoi nieruchomo, niczym jakaś figura. To piękna metafora życia, które szaleje, zmienia się i zaskakuje, a my wciąż w nim tkwimy. ■

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

SUPLEMENT DO KANONU

Pomysł wydawał się karkołomny, ale ekscytujący i wszyscy czuliśmy ciary na plecach: stworzyć listy 10 najważniejszych wierszy, które posłużą jako suplement do kanonu lektur! Będą pomocą edukacyjną i zagłębieniem dóbr! Zebraliśmy grupę roboczą składającą się z poetów, tłumaczy, nauczycielek języka polskiego i krytyków literackich – i zaczęliśmy działać.

Już na wstępie okazało się, że wybieramy także wiersze obcojęzyczne – anglosaskie, rosyjskie, hiszpańskie. Bo przecież funkcjonują w języku polskim, zostały jeszcze raz napisane przez poetów tłumaczy po polsku i polszczyzna je wchłonęła, zintegrowała. Przekład wiersza jest wierszem na motywach oryginału. Tak patrzył na to Heidegger, który uważał, że wiara w samą możliwość przekładu świadczy o sptyconym rozumieniu problemu. Sądził przecież, że język jest mieszkaniem bytu! Z drugiej strony nie można sobie wyobrazić porządnej lekcji poezji współczesnej bez omówienia wpływu, jaki wywarły na nią przekłady poetów amerykańskich w wykonaniu Piotra Sommera, Bohdana Zadury, Tadeusza Pióry, Stanisława Barańczaka i innych. A to dlatego, że teksty te były na tyle wpływowe, że zmieniły idiom współczesnej polskiej poezji. Silnie wpłynęły na jej obecny styl i ton, czyli nie tylko na to, o czym się mówi, ale także na to, w jaki sposób się mówi.

Zresztą podczas naszych śmiałych prac od razu pojawiły się kapitalne pomysły, potencjalne modele lekcji: weźmy proste porównywanie przekładów – pasjonujące śledztwo, próba zbadania, jak ten sam wiersz przełożyli na polski różni poeci tłumacze. Przyglądanie się oryginałowi, a potem pomysłom i realizacjom: jak to zrobić, żeby dobrze leżało w języku? Żeby nie odbiec daleko, ale żeby było dobrze i pięknie, czyli tak jak powinno być?

Pamiętam próby Krystiana Lupy do „Procesu” Kafki (niedługo premiera!). I prace nad tekstem sztuki, który wyłaniał się podczas zmuśnionych i kapitalnych interpretacji powieści: niemieckojęzyczna aktorka czytała tekst w oryginale, potem odczytywano to samo zdanie w przekładzie Józefiny Szelińskiej/Brunona Schulza i Jakuba Ekiera.

Nie było to nudne, ale fascynujące! I w pewnym stopniu pokazywało od kuchni pracę tłumacza. Ale podczas naszych spotkań kanonicznych wymyślono wiele takich edukacyjnych modeli, które na serio mogłyby wspierać czytanie współczesnej poezji w polskich szkołach, domach kultury i innych instytucjach, gdziekolwiek jeszcze interesują się wierszami.

Graficy i filmowcy tworzą czasem tzw. moodboardy, czyli tablice pełne graficznych, obrazkowych skojarzeń, które pokazują ścieżki myślenia o projekcie/filmie. A gdyby tak stworzyć wspólnie *moodboard* do wiersza? Rodzaj intelektualnego kolażu odsyłającego w wielu kierunkach:

do malarstwa, muzyki, kina, innych wierszy i powieści czy w ogóle innych tekstów kultury. Wyobraźcie sobie Państwo wiersz Gertrude Stein „Róża

jest różą jest różą jest różą” – i liczbę odniesień, kryptocytatów, trawestacji? Czad!

Tymczasem musieliśmy ochłonać. Frajda frajdą, ale przygotować listę 10 (słownie: dziesięciu!) pomijanych w szkołach wierszy, które uważamy za najważniejsze – to piekielnie trudne zadanie. Niektórzy nałożyli sobie stosowne ograniczenia. Grzegorz Jankowicz np. postanowił wybrać poematy. Paweł Kaczmarski – wyłącznie polskie wiersze. Jedni szukali tekstów z silnym podmiotem, drudzy – odwrotnie, z podmiotem dynamicznym, zmiennym, rozmytym.

A gdyby tak na lekcjach czytać wiersze, zaczynając od współczesności? Współczesność mówi naszym językiem i najmłodszym czytelnikom byłoby łatwiej zaprzyjaźnić się z takim wierszem. Tak myślę. A kogo wybraliśmy? Niedługo przygotowujemy książeczkę z listami wierszy, uzasadnieniami, modelami edukacyjnymi. Ale zdradzę kilka nazwisk, żeby nie było smutno: John Ashbery, Gertrude Stein, Charles Reznikoff, Jarosław Iwaszkiewicz, Josif Brodski, Elizabeth Bishop, Andrzej Sosnowski. Chciałabym zobaczyć miny szczęściarzy, którzy będą to czytać pierwszy raz.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl



TygPrzeglad



TygodnikPrzeglad

www.tygodnikprzeglad.pl

Hibo Wardere

Przed wejściem czekały na nas trzy kobiety. Nie były jednak ubrane w kolorowe sukienki, jak wszystkie panie, które zjawiły się na moim przyjęciu z prezentami w rękach. Na ich twarzach nie gościły radosne uśmiechy. Te kobiety były spowite od stóp do głów w ciemne abaje, a głowy miały dodatkowo okryte długimi szalami. Dwie młodsze powitały nas słowami:

– *Salam alejkum.*

– *Alejkum salam.*

– Ty jesteś Hibo? – zapytała jedna z nich.

Uśmiechnęła się leciutko, kiedy skinęłam głową.

Nie puszczaając mojej ręki, mama zaprowadziła mnie do namiotu. Dzień jeszcze nie wstał, ale w środku już panowała straszna duchota. Na ziemi rozestano czarną tkaninę, która pomarszczyła się, gdy na nią weszłam. Po lewej leżała słomiana mata, którą ciotki zrobiły ze źdźbeł słomy, zafarbowanych na jaskrawy błękit i czerwień, układających się w skomplikowany wzór. (...)

Wokół maty nie pozostało już zbyt wiele miejsca, by usiąść na ziemi czy choćby stanąć, a w namiocie zaroilo się jeszcze bardziej, kiedy za mną i matką weszły tamte dwie kobiety i ciotka. Za nimi pojawiła się ostatnia z nieznanym, której nie miałam dotąd okazji przyjrzeć się uważniej. Była starsza od swoich dwóch towarzyszek – skończyła pewnie z 60 lat, może nawet więcej (...). Zauważyłam, że jej dłonie są szorstkie i poszarzałe – bez wątpienia nie wcierała w nie tłustego kremu, tak jak się robiło w naszym domu. A jednak roztaczała wokół siebie aurę autorytetu (...).

– Ty – rzuciła, wskazując jedną ze swoich towarzyszek. – Usiądź za nią i przytrzymaj ją między nogami.

Reszta stłoczyła się jeszcze bardziej, by przepuścić wyznaczoną kobietę. Kiedy ta usiadła na czarnej tkaninie, ja zajęłam miejsce między jej nogami. *Hoyo* [mama – przyp. red.], która stała na lewo ode mnie, puściła w końcu moją dłoń, a stojąca po prawej ciotka rzuciła mi tylko błady uśmiech. Popatrzyłam na

RZEŻ

Po rytualnym obrzezaniu wiele dziewcząt umiera.
Z powodu szoku, krwotoku czy zakażenia



Somalijka Hibo Wardere padła w dzieciństwie ofiarą obrzezania, zabiegu tak brutalnego, że w jego następstwie omal nie umarła. W wieku 18 lat, po wybuchu wojny domowej w Somalii, przeniosła się do Londynu. Tam szybko zorientowała się, że to, co ją spotkało, na Zachodzie wcale nie jest uważane za „normalne”. To wtedy postanowiła poświęcić się walce ze zwyczajem okaleczania kobiecych narządów płciowych. Obecnie Hibo pracuje w Londynie i pomaga dziewczętom, którym grozi wywiezienie przez rodziców za granicę w celu obrzezania.

matkę – nagle stała się poważna, już się nie uśmiechała – a potem przesunęłam się do tyłu, dopóki nie wsparłam się plecami o siedzącą za mną kobietę. Ta natychmiast objęła mnie z całej siły, tak mocno, że przestraszyłam się, czy nie zmiażdży mi kości.

Spanikowana, popatrzyłam na *hoyo* w poszukiwaniu wsparcia, jednak na próżno. Matka odwróciła spojrzenie.

– *Hoyo?* – odezwałam się, ale ona bez słowa wbiła wzrok w ziemię.

Stara kobieta tymczasem usiadła przede mną na niewielkim stołeczku, a druga z jej towarzyszek i moja ciotka przykłękły po obu stronach. Kobieta nie spojrzała na mnie ani razu – zamiast tego poprawiła szal i obmyła dłonie wodą z przyniesionego przez *hoyo* czajnika. Serce waliło mi tak mocno, że obejmująca mnie od tyłu kobieta z pewnością musiała to czuć, a jednak ani na moment nie zwolniła uścisku, nawet kiedy zaczęłam się lekko wiercić.

Ta starsza starannie namydliła ręce i optukała je powoli, zupełnie jak-

by odprawiała jakiś rytuał. (...) Nadal nie miałam pojęcia, co się dzieje. Co te kobiety zamierzały ze mną zrobić?

A gdybym wiedziała to zawczasu? Czy weszłabym do tego namiotu? A może wyszarpnęłabym rękę z dłoni matki, zanim w ogóle opuściliśmy kuchnię? Wybiegłabym z obejścia prosto na ulicę... I co dalej? Przecież byłam bezpieczna tylko tutaj, w tym namiocie, pod czujnym okiem *hoyo*... Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że miała mnie zdradzić w najokrutniejszy z możliwych sposobów. Wpatrywałam się w twarze tak bliskich mi kobiet – matki i ciotki – w poszukiwaniu jakiegoś znaku, że wszystko będzie dobrze. Na próżno.

– Przytrzymasz jej nogę – poleciła mojej ciotce stara kobieta, obrzezująca, jak miałam się potem dowiedzieć.

Druga z jej towarzyszek chwyciła mnie za udo i szarpnęła w bok tak mocno, że przestraszyłam się, czy kość nie wyskoczy mi ze stawu; ciotka z całej siły zacisnęła palce na mojej prawej nodze. Nigdy dotąd nie znałam z jej strony takiej brutalności.

– Podciągnij jej sukienkę – poleciła znachorka kobiecie, która siedziała za mną.

Na ułamek sekundy ucisk wokół mojej piersi zelżał, tak że wreszcie mogłam nabrać powietrza, podczas gdy kobieta szarpnęła rąbek mojej sukienki i jednym szybkim ruchem odstąpiła mi pupę. Nawet gdybym miała czas na ucieczkę, nogi i tak odmówiłyby mi posłuszeństwa, leżałam więc bez ruchu, sparaliżowana strachem.

– *Hoyo?* – wyjąkałam, ale matka wciąż nie podnosiła wzroku. – *Hoyo?* – powtórzyłam, tym razem bardziej nagłoczo.

Nadal nic. (...)

Całe moje ciało stało w ogniu, a ja mogłam tylko krzyczeć.

Popatrzyłam na siedzącą przede mną kobietę, szukając w jej twarzy najmniejszego śladu życzliwości. Ona jednak spokojnie rozsunęła zamek skórzanej torby, zwisającej jej z szyi na długi pasek i spoczywającej na brzuchu. Dopiero teraz zauważyłam, że palec wskazujący i kciuk jej prawej dłoni mają wyjątkowo długie paznokcie, dłuższe, niż kiedykolwiek wcześniej w życiu widziałam, tak że przypominały pęse-

tę. Obrzezująca włożyła sękatą rękę do torby, zawierającej, jak się okazało, kilkanaście żyłek. Nie przypominały one jednak żyłek, jakie widywałam w naszej łazience – tych srebrnych i lśniących. Te były brązowe od rdzy i zaschniętej krwi.

Wybrała jedną z nich i zanurzyła ją w czajniku z wodą. (...)

Krzyknęłam.

Ale nikt nie zwracał uwagi na moje wołanie. (...)

Obrzezująca włożyła rękę do torby z żyłkami. Były brązowe od rdzy i zaschniętej krwi.



Jeden z symboli kampanii przeciwko rytuałnemu obrzezaniu dziewczyn.

W moim przypadku przeprowadzono zabieg typu trzeciego – wycięto mi łechtaczkę oraz wewnętrzne i zewnętrzne wargi sromowe, a następnie zszyto skórę, pozostawiając jedynie niewielki otwór, częściowo zakrywający wejście do pochwy. To właśnie nim miały się wydostawać moczu oraz krew menstruacyjna. Ponieważ cewka moczowa jest zastopowana, mocz musi spływać przez rejo-

schematyczny rysunek tych okaleczeń, zrozumiecie, że to całkowite zaprzeczenie kobiecości. (...)

Takim właśnie zabiegom są poddawane kobiety i dziewczęta na całym świecie każdego dnia – przeprowadzanym często bez żadnego znieczulenia czy choćby środków przeciwbólowych, zazwyczaj przez niewykształcone wieśniaczki z niemal zerową wiedzą anatomiczną, w warunkach uwłaczających wszel-

kim standardom. Kogóż mógłby więc dziwić fakt, że wiele dziewcząt umiera. Z powodu szoku, krwotoku czy zakażenia. (...)

Według raportu ogłoszonego w lipcu 2014 r. przez City University of London oraz Equality Now w Wielkiej Brytanii mieszka 137 tys. kobiet i dziewcząt, które padły ofiarą FGM [*female genital mutilation*, okaleczenie kobiecych narządów płciowych przyp. red.]. Autorzy raportu szacują, że podobne okaleczenie grozi 60 tys. mieszkających w Wielkiej Brytanii dziewcząt poniżej 15. roku życia. To tysiące nastolatek, które zgodnie z tym barbarzyńskim zwyczajem mogą zostać trwale okaleczone albo nawet stracić życie z powodu tradycji, która dawno temu powinna zostać wykorzeniona. (...)

A w niektórych kulturach bycie kobietą jest równoznaczne z życiem wypełnionym bólem. Z przemocą, na którą naraża się mała dziewczynkę, byle tylko jej „cnota” pozostała nietknięta, a seksualność znalazła się pod kontrolą, dzięki czemu zyska ona akceptację ze strony wspólnoty. Niestety, dziwnym zrządzeniem losu urodziłam się w jednej z tych kultur – podobnie jak 60 tys. innych dziewcząt w Wielkiej Brytanii. (...)

Przerażenie raz za razem zalewało mnie potężną falą. Z trudem chwytając oddech, zamknięta w morderczym uścisku, z nogami wygiętymi pod dziwacznym kątem. Stara kobieta zacisnęła palce na brudnej żyłce i poklepała skórę pomiędzy moimi udami, mamrocąc wąskimi wargami: „W imię Allaha wszechmogącego”.

Matka odwróciła głowę.

► I właśnie to było bardziej przerażające niż cała reszta – fakt, że osoba, która parę minut temu kąpała mnie z taką czułością, teraz, w chwili, gdy najbardziej jej potrzebowałam, zostawiła mnie samą.

– Hoyo! – krzyknęłam znowu. – Hoyo, hoyo, HOYO!

Ale nawet gdyby teraz wykonała jakiś ruch, gdyby otworzyła usta i kazała im przestać, byłoby za późno. Zabieg już trwał.

Skóra w końcu się zrasta, więc to, co pozostaje z normalnych genitaliów, wygląda jak u lalki Barbie.

– Rozłóżcie szerzej jej nogi – warknęła obrzezująca do kobiet, które mnie trzymały, a potem chwyciła długimi, przypominającymi pęsetę paznokciami za moją łechtaczkę, mój *kintir*. Szarpnęła mocno, z całej siły, aż przez chwilę miałam wrażenie, że wyrwie mi ten skrawek ciała samymi palcami albo przynajmniej rozerwie skórę ostrymi paznokciami.

Ale ona zamierzała zrobić coś znacznie gorszego. Uniosła brudną żyłkę, tę z zaschniętymi resztkami krwi innych dziewcząt – odrażającym świadectwem jej wcześniejszych zleceń, i wykonała pierwsze nacięcie.

Przeszył mnie ból, zupełnie jakby ktoś wrzucił mnie do wrzącej lawy. Palit mnie od stóp do głów, zdawał się rozsadzać oczy, eksplodować w mózgu.

Znowu krzyknęłam. Nawet nie wiedziałam, że jestem w stanie wydać z siebie tak niehumaniczny wrzask.

– Hoyo! – wołałam, żeby wyrwać matkę z otępienia, sprawić, by wreszcie usłyszała moje błagania. Ale ona nie reagowała. Zebrała tylko mocniej swoją chustę pod szyją, zupełnie jakby chciała się odgradzić od tej przerażającej sceny. Jej ukryte pod hidżabem uszy pozostawały głuche na moje krzyki.

Usłyszałam zimny głos starej kobiety:

– Coś jeszcze zostało.

A potem wykonała następne cięcie. I następne. Z każdym ruchem żyłki odcinała kolejny fragment mojego ciała. Mój mózg nie miał nawet czasu rejestrować tego wszystkiego, co się działo między moimi nogami. Przypominałam ochłap mięsa, od którego rzeźnik odkrawa kawałki tłuszczu. Nie byłam już dzieckiem, jednostką ludzką, sześciolatką błagającą o ratunek.

Starucha tymczasem wcisnęła mi między uda szmatę. Za każdym razem, kiedy cofała rękę, materiał był coraz bardziej czerwony. Czułam zapach własnej krwi, jej mdlący metaliczny odór wypeł-

niał namiot, w którym tkwiłyśmy stłoczone. Ból nie ustawał, każde cięcie sprawiało, że kolejne zakończenia nerwowe zdawały się wic w męczarniach.

Teraz już wiedziałam, że to niehumaniczne – kazać mi tak cierpieć. Nigdy nie pozwolilibyśmy na coś takiego w przypadku któregośkolwiek z naszych zwierząt, dobiliśmy nawet kozę czy owcę, byle tylko nie musiały doświadczać podobnych męczarni. A moje cierpienie nie ustawało. Stara kobieta rozwarła moje wargi sromowe i kontynuowała cięcie. Całe moje ciało stało w ogniu, a ja mogłam tylko krzyczeć.

W końcu obrzezująca nie wytrzymała.

– Nie mogę się skupić! – warknęła do matki. – Twoja córka za bardzo hałasuje. Zajmowałam się wieloma dziewczynami, ale żadna tak nie krzyczała. Co jest z nią nie tak? Ucisz ją!

Dopiero wtedy *hoyo* się odezwała – po raz pierwszy, odkąd wkroczyłyśmy do namiotu. Ale nie w odpowiedzi na błagalne krzyki swojej córki, tylko po to, by poprzeć starą wiedźmę, która znęcała się nad jej najmłodszym dzieckiem.

– Hibo, przestań krzyczeć! – rzuciła pośpiesznie. – Dziewczynki usłyszą i znów będą cię wyzywać od tchórzy. Przestań krzyczeć.

Te słowa zabolowały mnie bardziej niż to, co robiła mi znachorka. Zdrada matki była absolutna. (...)

Poddałam się więc poczynaniom znachorki. I bólowi.

Kiedy skończyła ciąć moje wewnętrzne wargi sromowe, zajęła się zewnętrznymi. Skowyczałam bezwiednie, gdzieś na granicy świadomości, ale nie miałam już nad tym kontroli.

Stara kobieta ciąła dalej, matka się przyglądała, a ciotka przyciskała mnie do ziemi.

Kiedy obrzezująca wreszcie odłożyła żyłkę, nie panowałam już nad własnym ciałem. Byłam w szoku – szczękałam zębami, mimo 36-stopniowego upału moim ciałem wstrząsały dreszcze. Na moment otworzyłam oczy z nadzieją, że tortury dobiegły końca, ale wtedy stara kobieta powiedziała:

– Trzymajcie ją mocno. To ważny moment.

Przez łzy ledwie widziałam kolekcję akacji, przez którą przewlekała właśnie grubą nić. W niczym nie





Protesty w Somalii, gdzie tradycja obrzezania jest nadal żywa.

przypominał cieniutkich igiełek, którymi matka szyła nasze ubrania.

Potem kobiety ponownie zacisnęły ręce na mojej piersi i nogach, a znachorka zaczęła przepychać koleć przez moje okaleczone ciało, by pozyskać to, co z niego zostało. Po wykonaniu każdego szwu odchyłała się do tyłu, by przez chwilę podziwiać własne dzieło, a kiedy w końcu odłożyła koleć, rzuciła z dumą:

– No, zaszyłam ją odpowiednio.

Byłam kompletnie wyczerpana. W głowie mi się kręciło, chociaż przecież leżałam. A tymczasem wszystkie cztery kobiety zaczęły mnie owijać od pasa w dół bandażami, zaciskając je mocno wokół moich bioder, kolan i kostek. Wyglądałam jak zakrwawiona syrena. Ostrożnie przeniosły mnie z maty na znajdujący się w pobliżu materac i ułożyły na plecach. Przekrzywiłam głowę i popatrzyłam na przesiąkniętą krwią materac. Obok leżało coś

jeszcze: kupka brejowatego, różowego mięsa. Przymknęłam oczy – nie byłam w stanie patrzeć na to, co mi odebrano.

Moim ciałem nadal wstrząsały dreszcze – szok znalazł ujście w gwałtownych, niekontrolowanych drgawkach.

– Jeśli nie będzie leżeć spokojnie, szwy się rozejdą i będę musiała zszyć ją na nowo – usłyszałam głos znachorki gdzieś w oddali. (...)

– Nie ruszaj się, Hibo. Bądź dzielna – odezwiała się ciotka.

I znów te słowa: „bądź dzielna”. Jakbym miała jakiś wybór; jakbym była w stanie nad sobą zapanować i zareagować na te tortury inaczej; jakbym mogła powstrzymać się od krzyku, podczas gdy one odcinały mi ciało kawałek po kawałku. Gdybym tylko była wystarczająco dzielna.

Kobiety wyszły. Zostałam w namiocie sama, obolała i wyczerpana. Przez materac słyszałam jeszcze ich

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) opublikowała listę 29 krajów – głównie w zachodniej, wschodniej i północno-wschodniej Afryce oraz na Bliskim Wschodzie i w niektórych regionach Azji – w których obrzezanie kobiet jest zjawiskiem powszechnym. Zgodnie z definicją organizacji FGM to „celowe zabiegi zmiany lub okaleczania kobiecych narządów płciowych z przyczyn pozamedycznych”. WHO wymienia cztery jego rodzaje:

Typ 1: Klitoridektomia: częściowe albo całkowite usunięcie łechtaczki lub też w niezwykle rzadkich przypadkach jedynie napletka łechtaczki (otaczające ją fałdu skórno).

Typ 2: Ekscyzja: częściowe lub całkowite usunięcie łechtaczki oraz warg sromowych mniejszych, a czasem także większych.

Typ 3: Infibulacja: zwężenie wejścia do pochwy poprzez utworzenie specjalnego zamknięcia. Powstaje ono dzięki nacięciu i przesunięciu wewnętrznych lub zewnętrznych warg sromowych, czemu może również towarzyszyć usunięcie łechtaczki.

Typ 4: Pozostałe: wszelkie okaleczające zabiegi dokonywane na kobiecych narządach płciowych z powodów pozamedycznych, a więc m.in. nakłuwanie, przekłuwanie, nacinanie, zeszkrobanie i przypalanie genitaliów.

głosy – płaciły obrzezującej, żegnały się z nią. Dziękowały jej.

(...) Tymczasem moje życie zmieniło się na zawsze. Razem z fragmentami mięsa wyrwano ze mnie coś jeszcze – coś nieuchwytnego, a przecież tak realnego. Ta kobieta, która podawała się za moją matkę, była oszustką – wyglądała jak moja *hoyo*, nawet pachniała i brzmiała jak ona, ale już nią nie była. Kiedy odwróciła się ode mnie w tym namiocie, odwróciła się na zawsze. Odtąd miała się stać obiektem mojej nienawiści. (...)

Fragmenty książki
Hibo Wardere
Cięcie, przekład
Anna Kłosiewicz,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2017



NAJWAŻNIEJSZA JEST WDZIĘCZNOŚĆ

Alkoholicy to najinteligentniejsi ludzie, jakich znam. Mają mnóstwo usprawiedliwień dla nałogu i ogromną kreatywność

EWA WOYDYŁŁO-OSIATYŃSKA

– doktor psychologii, psychoterapeutka, publicystka, autorka książek, specjalistka i superwizorka terapii uzależnień

Rozmawia
Beata Znamirowska-Soczawa

Czy szczęścia można się nauczyć?

– Trwałe, nieustające szczęście jest niemożliwe, ponieważ człowiek jest narażony na wiele trudnych chwil: rozstań, zmartwień, niepokołów, stresów. Patrząc realistycznie, nie można obiecywać sobie szczęścia, raczej pogodne usposobienie, nauczenie się czerpania radości z życia. Pojęcie szczęścia trzeba odczarować. Pełnię szczęścia można porównać z rozwijającym się kwiatem – rozkwitnięty żyje krótko. Dużo ważniejsze jest zadowolenie z tego, co się ma, czerpanie radości z różnych małych i większych rzeczy, z prostoty, nawet z codziennych czynności. Tak naprawdę ważniejsza jest wdzięczność.

Racja nie jest tak ważna jak zgoda.

Wielu terapeutów zaleca okazywanie wdzięczności nie tylko bliskim.

– Wdzięczność powinna działać w dwie strony. Ja szukam tego, co dla mnie ważne, za co chcę być wdzięczna otaczającym mnie ludziom, zdarzeniom, czasowi. I za to jestem przepiętna uczuciem wdzięczności. Ale mamy też pełne prawo oczekiwać wdzięczności za to, co robimy, jacy jesteśmy. W wielu domach jest podział obowiązków, często nierówny. Typowym przykładem jest obiad. Osoba, która go

przygotowuje, nie powinna się stawiać w pozycji wypełniania obowiązku. Robi posiłek dla bliskich, poświęca czas, robi to z uczuciem, bo chce innych nakarmić. I ci, którzy jedzą, powinni być za to wdzięczni, okazywać uznanie, i to na co dzień, nie tylko raz na jakiś czas. Wtedy wszyscy są spełnieni, zadowoleni i od razu czują się lepiej. Nie można przyzwyczajać otoczenia do nieokazywania wdzięczności, do poczucia, że to, co dla nich robimy, im się należy. Jeśli nauczymy się dostrzegać blask różnych rzeczy, będziemy radośniejsi.

W książce „Ludzie, ludzie...” poświęca pani rozdział osobom kłótliwym. Jak z nimi wytrzymać? Jak się nie kłócić?

– Trzeba zapamiętać najważniejszą regułę: racja nie jest tak ważna jak zgoda. Proponuję wyrzucić z użycia dwa słowa: zawsze i nigdy. Żona mówi do męża: zawsze się spóźniasz. Mąż od razu zaprzeczy. Bo przecież nie spóźnia się zawsze. W emocjach i konfliktach często zapominamy, że zamiast iść w przeciwnym kierunku, powinniśmy zrobić wszystko, aby zwrócić się ku sobie. To jest kompromis. To sztuka negocjacji.

A co zrobić, jeśli w rodzinie ma się różne zainteresowania? To ogranicza możliwości spędzania wspólnie czasu.

– No właśnie. Mąż kocha góry, żona morze. Nie wspomnę o dzieciach.

I co zrobić? Najlepiej pójść na kompromis. Jedne wakacje spędzamy tu, drugie tu. A jeśli się nie uda, to przecież nie wszystko musimy robić razem. Każdy ma prawo do autonomii. W pracy często negocjuję różne kontrakty i umowy. Ale negocjacje rodzinne chyba są trudniejsze.

– Jedną ze skuteczniejszych technik jest mówienie od siebie. Na przykład: ja czuję to tak, a ty? Czy: źle się czuję, gdy dzieje się to i to, jest mi przykro, czuję się lekceważona. To brzmi zupełnie inaczej niż: lekceważysz mnie, przez ciebie chce mi się płakać, nigdy nie dotrzymujesz słowa. Jeśli mówimy o swoich odczuciach i emocjach, druga osoba stara się nas zrozumieć i nam pomóc. Jeśli wprost obwiniamy ją o nasz stan ducha, od razu pojawiają się reakcja, negacja i konflikt.

Napisała pani 17 książek. Którą lubi pani najbardziej?

– Wszystkie wynikają z doświadczeń terapeutycznych. Z mądrości życiowej przekazywanej mi przez



tysiące ludzi. Myślę, że bardzo ważna jest książka o depresji „Bo jesteś człowiekiem”. Pokazuję tam depresję nie jako chorobę, ale jako ludzkie doświadczenie. Lubię też książkę „My – rodzice dorosłych dzieci”, myślę, że pomogła wielu osobom zrozumieć, dlaczego budują relacje z innymi tak, a nie inaczej. W moich książkach jest mnóstwo żywego materiału.

Jest pani terapeutką od ponad 30 lat, kilka przepracowała pani w Stanach Zjednoczonych.

– Stamtąd przywiozłam wiedzę o leczeniu uzależnień, zwłaszcza od alkoholu. I przez całe życie zawodowe prowadzę ludzi uzależnionych. Alkoholicy to najinteligentniejsi ludzie, jakich znam. Mają mnóstwo usprawiedliwień dla swojego nałogu i ogromną kreatywność. Niestety, to trudna choroba, która dotyka całe otoczenie. Naraża na straty materialne, wypadki, ciężkie choroby. Problemowi choroby alkoholowej poświęciłam książkę „Rak duszy”. Ale uzależnieniem jest też obsesja władzy, kłamanie. Mogę zaryzykować twierdzenie, że kłamca niczym się nie różni od narkomana – ma taką samą słabość i przyzwyczajenie do czegoś, co jest dla niego destrukcyjne, co mu szkodzi.

Psychoterapia zajmuje się wieloma problemami, czy można je jakoś skatalogować?

– Terapia to forma wsparcia, która ma uruchomić własną motywację, podsunąć taki sposób widzenia rzeczy, żeby zacząć je samemu rozwiązywać, wybaczać, akceptować. Najczęściej trafiają do mnie osoby mające problemy w relacjach z bliskimi. Czasami są to sprawy związane z pracą. Jednak w przeważającej mierze dotyczą spraw osobistych, intymnych. To ciekawe wyzwanie, bo często pracuje się nie z jedną osobą, ale z wieloma – z parą, z całą rodziną. Wydaje się, że każdy jest inny i ma inny problem, ale nie wymienię więcej niż kilka kategorii problemów, z którymi borykają się ludzie.

Niezwykle trudno pogodzić się ze stratą. Wielka strata to czyjaś śmierć, porzucenie, zdrada, a nawet informacja, że ktoś w rodzinie albo my sami jesteśmy ciężko chorzy. To dla wielu ludzi strasznie trudne.

Niedawno sama doznała pani ciężkiej straty – śmierci męża.

– Proces straty, także dla mnie, jest długi. Jestem w żałobie i w etapie mozolnej drogi pożegnania. Bo przecież stale był ktoś obok mnie, a teraz go nie ma. Osoby w żałobie, które nie mają zajęć, obowiązków, są rozbite psychicznie, ale jest tak, nawet jeśli mają obowiązki. Strata kochanej, bliskiej osoby jest bolesna. Jednak trzeba ją zaakceptować. Ludzie zadają sobie pytanie: dlaczego mnie to spotkało? Bo takie jest życie. Nie można kurczowo trzymać się żałoby, bo proces będzie trwał dłużej. Nie można sobie wyobrazić, że akurat nas będą omijały takie

Podsycanie cierpienia powoduje, że duża część narodu wpada w swoistą chorobę psychiczną, można powiedzieć smoleńską.

nieszczęścia. Trzeba realistycznie patrzeć na życie. Czy zna pani człowieka, który żyje wiecznie? Nie ma osoby, która w końcu nie odejdzie, nie umrze.

Miałam pacjentkę, której matka zmarła w wieku prawie 90 lat. Ta kobieta nie mogła się z tym pogodzić. Zerwała stosunki z siostrą, która po pogrzebie wyjechała na narty. Lekarz skierował pacjentkę do mnie. Zaczęłam jej zadawać pytania: czy mama byłaby zadowolona z tego, że pani od dwóch lat wegetuje na cmentarzu? W jakim stanie była mama? W ciężkim, mówi ona, nie mówiła, nie ruszała się, cierpiała ogromny ból. Czy chciałaby pani, aby dalej tak było? – pytam. Jak długo pani zdaniem mama powinna żyć w takim cierpieniu? Czy pani wie, że śmierć jest absolutnie nieunikniona? I te pytania w koń-

Na życie trzeba patrzeć realistycznie.

cu sprawiły, że kobieta wypadła z toru żałoby, też, spojrzała realistycznie na stratę. Żałobę trzeba wypłakać, dokończyć, ale nie można w niej pozostawać. Trzeba się uzdrowić.

Mam tu refleksję dotyczącą żałoby smoleńskiej. Kulturowo, tradycyjnie za okres żałoby przyjmuje się rok. Polityka sprawia, że żałoba smoleńska trwa już ponad siedem lat. To okropne, bo rozgrywki polityczne w wielu osobach wywołują nieustanne poczucie straty. Rozdrapywanie, podsycanie cierpienia powoduje, że duża część narodu wpa-

da w swoistą chorobę psychiczną, można powiedzieć smoleńską.

Dużo mówimy o stracie. Jakie są inne tematy terapii?

– Choroba własna lub członka rodziny. Trudno się z nią pogodzić, tym bardziej że niektórzy lekarze zalecają leczenie psychiatryczne, a farmakologia często zaćmiewa właściwy ogląd sytuacji, zamula. Zdrada – to też jakiś rodzaj straty, zdrada jako sprzeniewierzenie, opuszczenie, podeptanie zaufania, obniżenie własnej wartości. Zagrożenie – przychodzi sporo osób np. przed emeryturą, które boją się zmian w życiu, gwałtownego zubo-

żenia, braku celu i poczucia własnej wartości. Mają poczucie rozczarowania życiem, sobą. Konflikty – to ogromna gama emocji. Złych emocji. Od takich jak: nie wpuszczam teściowej, bo daję słodczyce dzieciom, aż do konfliktów na tle politycznym.

Jak pani ocenia polityczny konflikt w naszej rzeczywistości?

– Bardzo źle, widać mocny wpływ mowy nienawiści na poszczególnych ludzi, grupy, rodziny. Nie było chyba nigdy tak trudnej sytuacji i tak podzielonej poglądowo Polski – i na tle politycznym, i wyznaniowym. Spotykam się z tym, że ludzie nie odzywają się do siebie, zrywają stosunki rodzinne lub wieloletnie przyjaźnie ze względu na poglądy polityczne albo na wiarę. Jest to nagminne, a tak nie było. Zdarza się coraz częściej, że ludzie zaczynają traktować politykę jak tabu, aby nie narażać siebie lub drugiej osoby na konflikt. Aby nie przyznać się do tego, co myślą, bo reakcje są gwałtowne i niemiłe. Dla wszystkich stron.

Jako terapeutka prowadzi pani wykłady i warsztaty na całym świecie.

– Od lat spotykam się nie tylko z Polakami potrzebującymi pomocy, ale i z uzależnionymi osobami wszędzie. Ostatnio wiele podróżuję na Wschód. Pracuję też w środowiskach polonijnych, gdzie szczególnie silna jest tęsknota za ojczyzną i bardzo często zadaje się pytanie: wrócić czy nie? Jednak to problem, z którym stosunkowo łatwo sobie poradzić, zadaje się pytania, na które trzeba odpowiedzieć, i to jest właśnie terapia. ■

OWADY W WALCE Z CHOROBYMI

Teoria ewolucji pomoże zapanować nad groźnym wirusem



Prof. Scott O'Neill (z prawej) i jego komary, które pomogą zwalczyć dengę.

Tomasz Borejza

Plagą tropików jest wirus denga. Roznoszą go komary, doprowadzając do zarażenia 390 mln ludzi rocznie. U większości objawy to bóle głowy i mięśni, podniesiona temperatura oraz wysypka. U ok. 500 tys. rozwija się jednak niebezpieczna gorączka krwotoczna – każdego roku z jej powodu umiera 25 tys. osób. I wciąż nie ma lekarstwa, które radziłoby sobie z infekcją. Dlatego tam, gdzie trzeba się chronić przed dengą, stosuje się przede wszystkim prewencję i stara ograniczać liczbę komarów.

Metody te nie są jednak ani tanie, ani skuteczne. Australijski naukowiec prof. Scott O'Neill postanowił znaleźć nowy sposób na zapanowanie nad populacjami komarów egipskich, bo to ten gatunek roznosi dengę. Sięgnął po teorię ewolucji i bakterię wolbachia, która jest jednym z najbardziej rozpowszechnionych mikrobów świata. Można ją znaleźć u ok. 60% insektów na Ziemi. Wolbachia jest sprytnym manipulatorem, który wykorzystuje mechanizmy doboru naturalnego i zapewnia sobie populacyjny

sukces m.in. dzięki temu, że zwiększa płodność swoich nosicieli. Robi to tak skutecznie, że wystarczy kilkanaście pokoleń, by populacja wcześniej od niej wolna, składała się w 100% z osobników zarażonych.

Jednocześnie – ustalono to dzięki kilku dekadom żmudnej pracy w laboratoriach – komary zarażone wolbachią stają się odporne na dengę.

Kilka lat przekonywano mieszkańców, by wypuścić w ogródkach zmodyfikowane przez naukowców komary.

Wirus nie może zadomowić się w ich organizmach i znika. Działa to trochę jak szczepionka, która jednak chroni nie komary, ale ludzi, którzy inaczej mogliby zostać zarażeni dengą roznoszoną przez owady. A komarom zapewnia liczniejsze potomstwo.

O'Neill pomyślał więc, że wszystko, co trzeba zrobić, by zapanować nad plagą tropików, to „zaszczepić” bakterią odpowiednio dużą liczbę komarów, wypuścić je w świat i czekać. Mechanizm ewolucji – rozumował – musi spowodować, że owady płodniejsze wyprą resztę. A w konsekwencji cała populacja przestanie

zarażać ludzi wirusem dengi. Skuteczność metody udało się potwierdzić w laboratorium. Pozostało więc tylko przeprowadzić eksperyment także poza nim.

Kilka lat trwało przekonywanie mieszkańców australijskiego miasteczka Cairns, by zgodzili się wypuścić w swoich ogródkach zmodyfikowane przez naukowców komary. Konieczne było przekonanie większości z nich, ponieważ *Aedes aegypti* nie przemieszczają się na zbyt wielkie odległości i musiało być bardzo wiele punktów, w których zostaną uwolnione. Naukowcy odpowiadali więc na liczne i zwykle podobne pytania: „Nie, nikt tego jeszcze nie robił”. „Jesteśmy pierwsi”. „Tak, ugryzą cię”. „Nie, nie były genetycznie modyfikowane”.

Ludzie się zgodzili. W 2011 r. w Cairns wypuszczono 300 tys. zarażonych wolbachią komarów. Po czterech miesiącach niemal wszystkie żyjące tam *Aedes aegypti* były jej nosicielami. Przez kolejne cztery lata nie doszło w tej okolicy do ani jednego zachorowania na dengę, którego źródło byłoby miejscowe. Kolejny etap akcji „Wyliminować dengę” przeniesiono do większego Townsville, a O'Neill zajął się promowaniem tego rozwiązania w kra-

jach i przede wszystkim w wielkich metropoliach świata rozwijającego się, gdzie gorączką krwotoczna jest prawdziwą plagą.

– Byliśmy niewielkim laboratorium, które badało symbiozę. To były nauki podstawowe, ale wyszło z tego coś wspaniałego i nadającego się do wykorzystania – mówi O'Neill. – W przyszłości może uda się zastosować tę samą metodę do wyliminowania malarii, wirusa zika i innych chorób, które roznoszą komary.

Wszystko dzięki temu, że zasady teorii ewolucji zastosowano w praktyce. ■

Beata Morawska

Dwa srebrne łuki zbiegają się u jednego końca, krzyżują i rozcho-
dzą u drugiego, tworząc graficzny
symbol ryby. Piękny w prostocie,
elegancki, często widnieje na ka-
roserii samochodów. W zamyśle
właścicieli aut ryba nie jest zwykłą
ozdobą, ale ważną deklaracją ide-
ową. Chrześcijańską obietnicą mi-
łości bliźniego, empatii, życzliwości,
pomocy, prawości i wzorowej po-
stawy na drodze.

Właśnie jeden taki wyprzedza
mnie na podwójnej ciągłej i pod gó-
rę. Dalej jest skrzyżowanie lokalnych,
rzadko używanych dróg, ale akurat
ktoś tam, pewny swobody lewego
pasa, usiłuje włączyć się do ruchu.
Kierowca katolik ostro skręca na pra-
wo, wciska się przede mnie i zmusza
do gwałtownego hamowania. Ryba
błyska do mnie grzbietem: Ja tu je-
stem królową szos, z drogi, leszcze!

Inny Polak katolik wypycha się na
skrzyżowanie, chociaż widać z dale-
ka, że nie ma szans, by z niego zje-
chać przed zmianą świateł, ruch
jest za duży. Kierowca w pułapce
sygnalizatora może zrobić tylko
jedno – zatarasować przejście dla
pieszych. Ludzie odstali już swoje
w huk i truciznie spalin, ale iść nie
mogą, a przynajmniej nie bez lawi-
rowania. Codziennie to samo, rano
śpieszę do pracy, a przejście zamyka
mi jakiś człowiek z rybą. Ryba błyska
brzuchem: I co mi zrobisz, frajer-
ko? Niewiele mogę, omijam pojazd,
a w ciasnocie innych ludzi i aut za-
wsze puknę rybę kantem torby czy
końcem parasolki. Ryba pewnie się
złości, ale nie wie, kogo odepnąć
w tłumie, nie ma rozeznania, nie ma
czasu, bo zaraz zapali się zielone
i trzeba będzie szybko wystartować,
żeby tylko tego z pasa obok nie wpu-
ścić na zwichnięciu drogi.

Rybę wymyślili pierwsi chrześci-
anie jako znak rozpoznawczy dla
wtajemniczonych w czasach prze-
śladowań. Ryba, starogrecka *ichthys*,
to akrostych, czyli słowo utworzone
z początkowych liter innych wyrazów:
I – Iesus, Ch – Christos, T –
Theou, H – Hyios, S – Soter (Jezus
Chrystus Boga Syn Zbawiciel). Ryba
symbolizuje chrzest (jej żywiołem
jest woda), pokarm chrześcijan (obok
wina i chleba obecna na Ostatniej



CZŁOWIEK Z RYBĄ

To dla mnie pozer
i cham, co się rozpycha
łódkami. Jego ryba
to rekin ludojad

Wieczery) i życie – w odróżnieniu od
krzyża, symbolu męki i śmierci. Jako
symbol jest starsza niż krzyż, który
zaczął dominować dopiero w IV w.,
a współcześnie coraz popularniejsza.

Rybę jako ważny znak przypo-
mniał Sienkiewicz w „Quo vadis” –
rysuje ją Ligia przed nieświadomym
jej znaczenia Winicjuszem, a potem
pretorianin. Dwa szybkie ruchy mie-
cza i na piasku pojawia się przestanie
pomocy i ochrony. Dla chrześcijan
ryba powinna być nakazem: bądź
dobry, nie krzywdź innych, okaż mi-
łosierdzie, zlituj się.

Piasek i kurz wirują mi nad głową,
wciskają się do oczu i ust, odbierają
oddech. Jadę rowerem po sennej,
zapyziałej drodze, gdzie życie zamie-
ra na długie godziny, ale akurat o tej
wybranej przeze mnie jedzie też
wypasiony SUV. Żeby zwolnić, żeby
zwolnić – powtarzam pod nosem jak
mantrę, gdy tylko pojawia się w za-
sięgu wzroku. Za bryłą auta ciągnie
się kłębiasty potwór kurzu. Macham

teatralnie ręką i kaszlę, by kierowca
zobaczył, jak ten kurz mnie osacza
i pożera. Może faktycznie zwolni,
ulituje się, ominie szerszym łukiem,
może nawet zatrzyma się i poczeka,
aż przemknę swoim cichym jedno-
śladem. Gdzie tam, kierowca ślepy
i głupi, wyzut z wyobraźni i miło-
sierdzia, chyba jeszcze przyspiesza,
grzebiąc mnie w tonach szarożółte-
go pyłu.

Zerkam na profil kierowcy i... do-
strzegam kobietę. Włosy związane
gumką, bluzka w kwiatki, z tyłu pa-
roletni dzieciak, pewnie matka wiezie
go do babci na wieś, żeby dziecko
świeżego powietrza zażyło. Na nie-
równym szutrze buja się kłapa бага-
nika, a na niej zakurzona ryba.

Brudna jak chrześcijańskie idee
splugawione przez fasadowe gesty
i symbole. Zostały tylko znaki bez
treści, deklaracje bez pokrycia, pseu-
dowiara zaprzeczająca każdej głębi,
fałsz, fałsz, fałsz. Człowiek z rybą to
dla mnie pozer i cham, co rozpycha
się łódkami, pewny swojej siły pły-
nącej ze wspólnoty takich samych
jak on. Jego ryba to rekin ludojad.
Może gdzieś są inni, lepsi ludzie z ry-
bą, ale do tych ludożerców wołam
słowa Tadeusza Różewicza:

*kochani ludożercy
poczekajcie chwilę
nie depczcie słabszych
nie zgrzytajcie zębami*

*zrozumcie
ludzi jest dużo będzie jeszcze
więcej więc posuńcie się trochę
ustąpcie.*

Justyna Marcinkowska

Antoni Benedykt Łukaszewicz, inspektor na emeryturze, pół życia spędził na szukaniu. Za PRL służył jeździł po wsiach. Wchodził na podwórko i rozglądał się: co w stodole, co w obejściu. Koledzy się podśmiewali: „Ten Benek to jest zakręcony, coś tam znowu zbiera”. Ludzie o retro, *vintage* i etno jeszcze nie słyszeli. Stare naczynia, cegielnia na kołach, kołowrót, maszyny singery. Chętnie sprzedawali „za flaszkę czy niewielki pieniądz”.

Żona – co miała zrobić? Mąż nie włączył się nigdzie, nie pił, niech ma tę swoją pasję. Żeby zadowolona była, to nie bardzo. Wydawał pieniądze, nie miał czasu dla rodziny, a ona mieszka w chałupie. Tylko ścieżki między starociami – przez piwnicę, przez strych, do szopy.

Dziś Galeria Kujawska Antoniego i Haliny Łukaszewiczów, zbiór pamiątek kultury kujawskiej XIX i XX w., zajmuje cztery kondygnacje zabytkowego młyna. Czynne od wiosny do jesieni, otwierane na żądanie. Można dotykać, zobaczyć, jak działa to, co w niejednej chałupie jeszcze niedawno poniewierało się na strychu.

MUZEALNY URODZAJ

Tylko na Mazowszu i Kujawach takich miejsc jest kilkadziesiąt. Większość stanowią zbiory nieformalne z punktu widzenia prawa. Lwia część

zbiorów nie jest skatalogowana. Zdaniem historyków, jeśli jest wśród nich coś wartościowego – niszczeje. Muzea prywatne rzadko mają środki na konserwację i opiekę specjalistów.

– Jeśli chcielibyśmy się przyjrzeć, jak te ośrodki rekonstruuja prawdę historyczną, to są to raczej przekształcone przez współczesny umysł wyobrażenia o przeszłości – mówi etnolog Jacek Żukowski z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. – Ale miejsca te mają ogromny potencjał społeczno-kulturowy.

Fundacja Ari Ari zajmuje się badaniami kolekcji prywatnych i społecznych od 2012 r., właśnie ze względu na ich potencjał kulturotwórczy. – Obserwujemy w Polsce zmianę w praktykowaniu kultury – mówi Longin Graczyk, prezes fundacji. – To błyskawicznie przyrastająca liczba samodzielnych, często jednoosobowych przedsięwzięć. Stanowią wyraźną opozycję wobec instytucji publicznych i ujawniają, że odejście od jednorodnego modelu organizowania kultury i zarządzania nią stało się faktem.

KOLEKCJONERZY

Nie są dochodowe ani spektakularne. Kolekcjonerzy tworzą muzea prywatne w ciasnocie, kurzu i mimo wszystko

Muzeum Diabła Polskiego Przedpiekle jest najstarszym i zarazem jedynym zbiorem prywatnym wpisanym do ewidencji instytucji muzealnych w Polsce. To również największa kolekcja, zaraz po tej w Kownie, prezentująca wizerunki diabła w Europie. Mieści się w bloku na warszawskim Służewie. Do muzeum Wiktoryna Grąbczewskiego nie ma drogowskazów, nie ma ono też szyldu, choć można je odnaleźć w internecie, nakręcono o nim film dokumentalny, a dawniej Grąbczewski udzielał się w mediach i w świecie muzealników. Dziś się nie promuje. Ma 88 lat i jest zmęczony. Ale przyjmuje wszystkich, którzy chcą zobaczyć jego zbiory. – Trafił się, trudno, trzeba przyjąć – mówi o zwiedzających.

Przestrzeń mieszkalną od Przedpiekla oddziela krata z wizerunkiem biesa. Przed wejściem Wiktoryn mocno stukła w zamknięte drzwi, by diabły ustawiły się na swoich miejscach. Goście potrząsają za rękę wykutego z żelaza diabła o imieniu Kordek. Siadają na pieńkach dookoła ławy, a Wiktoryn opowiada.

– Nie piję, nie palę, jedyna moja słabość: diabły. Jakbym miał pienią-



Skansen w Kuligowie to dzieło Wojciecha Urmanowskiego.

dze, toby poszły na diabły, ale ja prze-ważnie chodzę bez pieniędzy. Dom bym puścił. Pani nie wyobraża sobie, co to jest.

Pochodzi z Łęczycy. Tu, na zamku, według legendy, żył diabeł Boruta. Od przedwojennych czasów w twierdzy znajduje się jego muzeum. W liceum polonistka wysyłała chłopaków, by jeździli po wsiach i odbierali zabytki przywłaszczone przez chłopów w trakcie wojny. Od tej pory minęło 40 lat, a Wiktoryn dalej je kolekcjonuje. Już na poczet własnych zbiorów zgromadził niemal tysiąc eksponatów. Były prezentowane w warszawskim

on. Do Kuligowa zjeżdżają całe wozy – Wojciech jest bowiem hurtownikiem. Często o tym, co znajduje się w pakiecie, dowiaduje się dopiero po jego nabyciu. Jest więc cynowa wanna do ablucji podczas żydowskich rytuałów, jest waza arabska z XVIII w., jest też kuźnia, wozownia, magiel – wszystko, co mogło się znajdować w drobno-mieszcząmskim zaścianku, ale i to, co znajdować się nie powinno.

Lata 90. to było eldorado. Drewnianą chatupę można było kupić za bezcen. Najwięcej kosztował jej transport. Na Dolnym Śląsku ludzie przekonali się, że Niemcy na pew-

Pierwsze eksponaty to narzędzia po przodkach, które są dziś wyposażeniem kuźni. Potem Wojciech znalazł cieśli, którzy pod jego okiem przewieźli z Podlasia chatupę. Największy problem jest zawsze ze słomą na dachy – skąd wziąć, jak teraz wszędzie kombajny? Tak rozpoczął się proces, którego zwieńczeniem jest dzisiejszy Kuligów – 10 chatup i dziesiątki tysięcy eksponatów.

Skansen był przedsięwzięciem sentymtalno-biznesowym. Tymczasem okazał się niekończącą inwestycją. Z początku Wojciech chciał stworzyć zarejestrowane muzeum. Ale

Jak się zbiera diabły? Idzie się w teren i dowiaduje, czy ktoś nie wyrzeźbił ostatnio diabła.

Muzeum Etnograficznym, w Paryżu, Moskwie, Sofii i Londynie.

Zbiór Grąbczewskiego to głównie rzeźby i obrazy. Większość stanowią diabły powojenne, ale jest sporo XIX-wiecznych, zdarzają się starsze. Gdy Wiktoryn pokazuje XIV-wieczną płaskorzeźbę, teatralnie zawiesza głos. Co cenniejszych eksponatów nie pozwala dotykać. Diabeł z teatru kukielkowego przywieziony przez szwagra z obozu Auschwitz ma nad sobą foliowy baldachim chroniący przed dotykiem niepowołanych.

Kolekcja Wiktoryna Grąbczewskiego jest jedną z nielicznych, w których każdy element ma numer, rubrykę, skąd się wziął, od kogo został kupiony, jakie przeszedł naprawy. To taka książeczka zdrowia. – Jak raz dałem do profesjonalnej reperacji, to z powrotem dostałem anioła – wspomina Wiktoryn. Od tej pory reperuje sam. W pracowni wielkości schowka na miotły na blacie leży kamień w kształcie diabła. Wiktoryn dorabia oczy z czerwonego kruszcu.

Kolekcjonerzy mają własne sieci informatorów i sposoby zbierania. Jak zbiera się diabły? Według Wiktoryna Grąbczewskiego bardzo prosto. Idzie się do wojewódzkiego wydziału kultury. Pyta naczelnika, ilu ma rzeźbiarzy. Bierze się nazwiska, idzie w teren i dowiaduje, czy ktoś nie wyrzeźbił ostatnio diabła.

Wojciech Urmanowski, twórca i *spiritus movens* skansenu w Kuligowie, nie jeździ po ludziach. To ludzie przyjeżdżają do niego. Na bazarze staroci na Kole ma szczękę. Okoliczni zbieracze wiedzą, że jest taki szaleniec jak



Wiktoryn Grąbczewski stworzył Muzeum Diabła Polskiego Przedpiekle.

no nie wróć, i zaczęli się pozbywać zawartości strychów. Dziś, zdaniem Wojciecha, dobre eksponaty zostały jeszcze na Podlasiu i Zamojszczyźnie. Reszta Polski jest właściwie obrobiona. Ludzie zorientowali się, że na starociach można zyskać, i chcą za każdy przedmiot nie wiadomo jaki pieniądź.

KOLEKCJA BEZ KLUCZA

Wojciech Urmanowski, podobnie jak ojciec i dziadek, wyuczył się na kowala, ale nigdy nie pracował w zawodzie. Zajął się hurtem drobiu. Starocie, które wówczas kolekcjonował, składował na placu za hurtownią. Za zarobione pieniądze kupował w Kuligowie tzw. krawaty, czyli wąskie paski ziemi rolniczej – dziś stanowią teren skansenu.

gdy się dowiedział, że polskie przepisy ograniczają prawa własności, odpuścił. Zamiast oficjalnej instytucji utworzył muzeum społeczne pod opieką powołanej w tym celu Fundacji Nadbużańskiej.

Postarał się też o merytoryczną opiekę Uniwersytetu Warszawskiego. Jacek Żukowski z Instytutu Etnologii wraz z Wojciechem tworzą ognisty duet naukowca i autochtona. Najpierw pojechała 10-osobowa grupa studentów, by skatalogować eksponaty. Ale przez tydzień zdążyli spisać obiekty tylko w jednej chatupie. Nieskatalogowanych jest tu wciąż dobrych kilka tysięcy. Ile skradziono, ile zniszczono, gdzie się podziewają, wiadomo tylko w przybliżeniu.

Wydaje się, że to sposób zbierania odróżnia muzea publiczne od

► prywatnych. Chałupy w skansenie w Kuligowie pochodzą z Mazowsza i Podlasia, ale już zabytki – z Dolnego Śląska. *Idée fixe* Wojciecha to pokazać jak najwięcej na jak najmniejszym obszarze. Dlatego Kuligów, który nie może się zdecydować, czy przedstawi miasteczko, chłopską osadę czy drobnoszlachecki zaścianek, jest niestrawny dla specjalistów.

Nie ma też wyraźnego odgraniczenia zabytkowych i wartych zachowania eksponatów od wyrobów teraźniejszości. Kolekcje ciągną się do współczesności. W Przedpieklu Wiktoryn Grąbczewski zawiesza prace świeżo upieczonych absolwentów ASP obok XIX-wiecznych polichromii, gromadzi kubki z frywolnymi diabełkami, popularne gadzety współczesnych kochanków.

Antoni Benedykt Łukaszewicz w Galerii Kujawskiej gromadzi stare rowery, rury azbestowe i anteny telewizyjne. Eksponaty nie mieszczą się w muzeum i poniewierają się po podwórku. Nie wszyscy rozumieją takie pasje. Niektórzy pukają się w czoło i mówią, że zbieractwo to choroba.

Łukasiewicz łączy działalność archeologa, zbieracza i swobodnego rekonstruktora. Do ściany Galerii Kujawskiej przytwierdził konstrukcję ze starych bębnow od pralki. Dzięki specjalnemu mechanizmowi skonstruowany w ten sposób „smok kujawski”, bohater wielu Łukasiewiczowych legend, zjeje ogień podczas wizyt wycieczek szkolnych. Paru facetom dało się na piwo, by przywieźli z lasu jakieś kości, które teraz walają się w piwnicy muzeum. Dzieciom się mówi, że to smocza jama.

NA SWOJĄ MODŁĘ

Granica między fantazją a prawdą historyczną jest w takich miejscach nieuchwytna. Niektóre rzeczy trzeba odtworzyć, pierwotne zaginęły. Łukasiewicz otrzymał od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dofinansowanie na odtworzenie kapliczek i krzyży, które stały po wsiach – uratowanych lub zrekonstruowanych. Inaczej kujawska sakralność zginęłaby w oddechach zapomnienia. Starą „robaszkami” pogryzioną bożiuchną, co rączek nawet nie ma, odkupił z cmentarza w Brześciu. Inna figura, z Kolonii Ostrowy, stoi na beczce.

Kolekcjonerzy prywatni ratują nie tylko stare przedmioty, ale i stare

słowa, gwarę, opowieści. Wiktoryn Grąbczewski nie może sobie przypomnieć, czy napisał dwie, czy trzy książki. „Łęczyckie bajanie o Borucie panie”, „Diabeł polski w rzeźbie i w legendzie”... trzecia gdzieś umknęła. Dziś jego publikacje to białe kruki cenione przez specjalistów. Nawet w muzeum w Kownie mają tylko kserokopię. Pod tym względem Przedpiekle jest ewenementem – tu każdy diabeł ma swoją historię. A w Kownie zagapili się i zapomnieli spisać.

Antoni Benedykt Łukaszewicz, jadąc na wieś, zawsze brał kajet. Wypatrywał, czy coś z majątku nie nada się do odkupienia, ale interesowały go i legendy, historie o duchach, zbierane od najstarszych Kujawiaków.



Córki i syn doradzili, że ginącą mowę warto spisać. Już po utworzeniu galerii powstała dwutomowa publikacja „Kujawskie legendy, gawędy i gadki” oraz słownik gwary kujawskiej – w zasadzie jedyny tego typu.

Dzieciaki z pobliskiego gimnazjum przychodzą do Galerii Kujawskiej na lekcje fizyki, by zobaczyć, jak działa równia pochyła. Tu, w muzeum, wszystkiego można dotknąć, sprawdzić, wypróbować. Starsi się wzruszają, bo w dzieciństwie wiele z tych rzeczy mieli we własnym domu. Młodzi dziwią się, bo nigdy podobnych urządzeń nie widzieli.

Łukasiewicz potrafi oprowadzać nawet trzy godziny. Gdy wpadnie w ciąg opowieści, trudno go po-

wstrzymać. Czasem mówi gwarą, czasem literacko. Żona, współtwórczyni kolekcji, śpiewa w zespole ludowym. Dla gości wzbogaca pokaz piosenką i tańcem w kujawskim stroju.

Pan Wojciech ze skansenu w Kuligowie jest stary, schorowany, męczy go rozmowa. Wycieczki oprowadza Jacek. Przynajmniej dwa razy w roku kręci się tu jakaś telewizja. Skansen wypożycza też często eksponaty do filmu. Wojciech zwykle mówi: „Bierzcie, tylko zapłaćcie”. Nikt nie odkłada niczego na miejsce, więc w skansenie panuje artystyczny nieład.

OUTSIDERZY

Galerię Kujawską interesują się głównie przyjezdni, wycieczki szkolne

i sanatoria. Choć odwiedzających jest sporo, z wykupywanych przez nich cegiełek nie da się utrzymać kolekcji. Wystarczy najwyżej na podatek. Muzealnicy prywatni stoją więc przed dylematem, czy zakończyć swoją działalność, czy dać się ponieść pasji ratowania lokalnego dziedzictwa.

Antoni Łukasiewicz jest trochę zawiedziony postawą miejscowych, którzy o muzeum mają różne zdania. – Niektórzy takich zbieraczy jak ja uważają za ludzi mających nierówno pod sufitem. Mówią, że śmieci nabierałem i teraz chcę bilety. Po co to zachowywać, jak to niepotrzebne? Co to ciekawego może być?

W prywatnym skansenie w Kuligowie odwiedzający to głównie war-

szawiaci wyskakujący na weekend w okolice Zalewu Żegrzyńskiego. W maju, czerwcu i we wrześniu Kuligów ma też sporo wycieczek szkolnych. Od Warszawy to tylko godzina drogi. Jednak w większości muzea prywatne nie odnotowują zbyt wielu odwiedzających, nie współpracują z lokalnymi władzami i wiedzą o nich tylko zapaleńcy. Lokalne samorządy? Instytucje kultury? – Niech mnie pani spyta, czy był tu kierownik domu kultury albo chociaż jego pracownik – odpowiada Wiktoryn Grąbczewski z Muzeum Diabła Polskiego. Gdyby dziś miał otwierać podobny przybytek, 10 razy by się zastanowił. Nie ma bowiem szans na zainteresowanie instytucji publicznych, a żeby dostać środki z funduszy unijnych albo gran-

ści wyjednać budynek w okolicy, ale bezskutecznie. Wreszcie córki wzięły pożyczki. Gdy umarł sąsiad, właściciel zabytkowego młyna – Łukaszewiczowie kupili wielką budowlę. Teraz i ona zrobiła się za ciasna. Maszyny rolnicze stoją na podwórzu. W szopie na swoją kolej czekają sanie i stare rowery.

Jeszcze trudniejszy wydaje się problem dalszych losów kolekcji. Większość muzealników to mężczyźni w zaawansowanym wieku. Co się stanie z muzeum po ich śmierci? Jeśli dzieci nie są zainteresowane, drugą instancją stają się organy władzy lokalnej. Te jednak na przejęcie kolekcji zapatrują się niechętnie. Jej utrzymanie to koszty, a korzyści niewymierne. Link na stronie miasteczka, drogowskaz w rynku – jak najbardziej. Co

jest lekarzem, druga śpiewa w operze. Nie wyobrażają sobie porzucenia swojego życia. – Tu potrzeba organizatora, który by się znał na promocji, potrafił znaleźć pieniądze na działalność – mówi Łukaszewicz.

CZY TO WARTO

W Muzeum Ziemi Kujawsko-Dobrzyńskiej słyszę, że tylko niewielka część eksponatów Antoniego Łukaszewicza ma jakąś wartość. Trudno jednak znaleźć miejsce, w którym historia kujawskiej wsi tworzyłaby się lepiej. Łukaszewicz pokazuje pozostałości przedwojennej kultury miasteczka Kowal – szyldy żydowskich geszeftów, fragment pieca z bożnicy, hitlerowski pejcz. To wszystko, co zostało z tego okresu w Kowalu.

– Gdyby w małych miejscowościach powstawały sensowne izby pamięci poświęcone lokalnej kulturze lub czemuś, co pozytywnie wyróżnia dany region, nie byłoby problemu. Ale te miejsca ograniczają się do mapek z ruchami wojsk i pamiątek po stoczonych bitwach. Muzea prywatne mają olbrzymi potencjał edukacyjny, bo ludzie widzą, że to nasze – podkreśla etnolog Jacek Żukowski.

Zdaniem Longina Graczyka z Fundacji Ari Ari, aby pomóc prywatnym instytucjom muzealniczym, potrzebne są poważna debata publiczna i wsparcie dla inicjatyw obywatelskich, zbijanych dziś przez biurokrację. Skomplikowany system grantowy sprawia, że uzyskać je mogą tylko osoby, które potrafią przez niego przebrnąć. O ile w większych miastach ruszył proces



Galeria Kujawska Antoniego Benedykta Łukaszewicza.

Kolekcjonerstwo to ogromne koszty. Prywatne muzeum – koszty największe.

ty, należy powołać fundację, mieć wsparcie profesjonalistów, którzy potrafią napisać wnioski i wiedzą, gdzie się starać o pieniądze.

Kolekcjonerstwo to ogromne koszty. Prywatne muzeum – to koszty największe. Trzeba kupić i utrzymać przestrzeń do prezentacji zbiorów, opłacić prąd, dostosować się do skomplikowanych przepisów bhp i przeciwpożarowych, zapewnić toaletę, choćby podstawowy spis przedmiotów, zadbać o porządek i konserwację. Nie wspominając o kupowaniu zabytków.

Antoni Benedykt Łukaszewicz próbował na rzecz swojej działalno-

innego pomoc finansowa.

Zbiorem Wiktoryna Grąbczewskiego, o wartości, jak oszacowali specjaliści, niemal miliona złotych, nie są zainteresowane żadne instytucje publiczne. Tłumaczą, że na zakup nowych eksponatów nie mają pieniędzy. Wiktoryn obawia się, że po jego śmierci dzieci i wnuki rozparcelują kolekcję i po kawałku sprzedadzą na Allegro. Szuka fundacji lub pasjonatów, którzy chcieliby wziąć ją w całości pod swoje skrzydła.

Antoni Łukaszewicz jest po dwóch zawalach, ma wszczepione bajpasy. Córki mieszkają w Bydgoszczy. Jedna

aktywizacji lokalnych wspólnot, o tyle na prowincji to wciąż utopia. Z tego powodu muzealnicy prywatni praktycznie są pozostawieni sami sobie.

Kolekcja to opowieść bez zakończenia. Wojciech Urmanowski snuje plany na przyszłość: trzeba kupić budynek na spichrz, załatwić cieśłów, zorganizować eksponaty. Zawsze coś będzie do zrobienia. Bo kolekcja to pęd, to ciąg, to natóg. Dzieci mówią: „Tata, rób, będziesz dłużej żył”. Ale tu nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby ocalić od zapomnienia – co się da i pomimo wszystko.

Justyna Marcinkowska

f Elity straciły wzrok

Prof. Kazimierz Frieske powinien zmieniać myślenie ludzi, a nie sympatyzować z populizmem. Chociaż tak na pewno jest łatwiej. I nie jest w tych poglądach odosobniony. Niemniej jednak to ludzie wykształceni powinni wpływać na populistów i im tłumaczyć. Polak ma tendencję do robienia ze wszystkiego polityki, mając przy tym niemal zerową świadomość prawną. Bez KOR nie byłoby Wałęsy, bo robotnik nawet nie bardzo wiedział, co to są związki zawodowe. Dzisiejsza Polska to mentalnie Europa końca lat 50. XX w. Ale gdyby wszędzie sympatyzowano z populistami, byłibyśmy jeszcze przed odkryciem rozniecania ognia.

Tadeusz Dworżański

Każdy zawsze liczy na elity, a mnie są niepotrzebne. Gdy przychodzi co do czego, to i tak d... elitom ratuje prosty lud. Przykładem jest poświęcenie na wojnach czy obalanie komunizmu.

Marcin Tomasz Mądry

f Współzawodnictwo w mordowaniu

Krakowski IPN właśnie inicjuje badania archeologiczne, by odszukać szczątki zabitych ludzi „Ognia” i później pochować ich z honorami wojskowymi. Paranoja trwa w najlepsze.

Andrzej Derlatka



f Hołd żołnierzom GL spod Kochan

74 lata temu, 22 października 1943 r., pod Kochanami, w lasach lipskich, żołnierze Gwardii Ludowej bohatersko stawili opór hitlerowskiemu najeźdźcy, który chciał ich zniszczyć w ramach akcji pacyfikacyjnej. Oni się nie poddali, walczyli. Początkowo zwyciężali, ale po pewnym czasie Niemcy ściągnęli dodatkowe posiłki i partyzanci musieli się wycofać. Przerwali pierścień okrążenia. Na polu bitwy stracili pięciu kolegów, w tym dowódcę, „Jastrzębia”, było kilku rannych. Zdobyli jednak dużo sprzętu i broni. Ta bitwa pokazała, że Polska jest i nadal walczy, że się nie poddaje. Musimy się sprzeciwić dzieleniu polskiej krwi przelanej za ojczyznę na lepszą i gorszą, bo była ona taka sama. Dlatego oddajemy hołd partyzantom GL, którzy zginęli pod Kochanami, i tym, którzy jeszcze żyją. Ich walka na zawsze będzie chlubą dla Polski i będzie stanowiła niezaprzeczalny dowód prowadzenia walki partyzanckiej na terenie Polski podczas II wojny światowej.

Michał Zawisza

f Odwetowcy

Zastanawiam się, czy rządy pookrągłościowe mogą być określane jako solidarnościowe. Słowo solidarność, zawierające wielki ładunek pozytywnych wartości, deprecjonuje się na skutek działań politycznych. Trudno się pogodzić z odbieraniem rangi słowom. A może się mylę?

Dorota Kaczmarek



Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego RP oraz
Ministerstwa Kultury FR:

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

MINISTRY OF CULTURE
RUSSIAN FEDERATION

Współfinansowanie Polska:

PODSZKOLNY INSTYTUT SUTNIAI FILMOWEJ
POLSKA FILMOWA INSTYTUT

Współfinansowanie Rosja:

www.rospolcentr.ru

RUSSKY MIR FOUNDATION

Poległ od swoich

No to trwa wybijanie na szczytach władzy. I teraz trafiło w Krzysztofa Suprowicza, ambasadora RP w Katarze. Nagle wyciągnięto mu materiały – jak ogłoszono – „znalezione w zbiorze zastrzeżonym IPN”, że „był związany z Wojskową Służbą Wewnętrzną”.

Hmm... Co to znaczy, że „był związany”? To na pewno ciekawe, ale ważniejsze jest chyba coś innego – dlaczego akurat teraz ktoś postanowił go odstrzelić?

Jest rzeczą oczywistą, że w tej grze ambasador pozostaje pionkiem, że, owszem, ktoś mógłby go upokorzyć, ale przecież tu nie o niego chodziło, lecz o uderzenie kogoś na górze. Macierewicza? Waszczykowskiego? Pod tym dywanem buldogi zaczynają się gryźć bez opamiętania.

Miejmy to w pamięci – wkrótce minie pięć lat od powołania Suprowicza na stanowisko ambasadora w Katarze, więc można było go odwołać w cywilizowany sposób, nikt by nawet nie zauważył, że wraca do Warszawy, bo i tak jest w Katarze rok dłużej. Ale komuś zależało na manifestacji.

Tak chłopcy się bawią. Nie bacząc, że pogrążają ludzi z kwalifikacjami, którzy wiele temu państwu dali. Suprowicz to arabista. Oprócz arabskiego zna jeszcze angielski, rosyjski, francuski, rumuński i niemiecki. Nie wiem, czy pół tuzina pisowców mogłoby go zastąpić.

Jeżeli popatrzymy na jego życiorys, widać, że znajdował się w miejscach trudnych. Uznajmy, że miał takie szczęście.

Zaczynał w roku 1981 jako tłumacz w Budimeksie, w Iraku. Pracował tam praktycznie całą dekadę. Już to powinno wielu dać do myślenia, no i – jak mówią ludzie w MSZ – dawało. Był też zatrudniony w firmach francuskich i amerykańskich.

W MSZ znalazł się w roku 1991. Pracował w różnych departamentach, ale skupmy się na placówkach zagranicznych. W latach 1996-2002 był ambasadorem w Jemenie,

gdy trwała tam wojna domowa. Został nawet porwany przez rebeliantów, przetrzymywano go przez kilka dni.

W roku 2003 wysłano go do Addis Abeby, by reaktywował tamtejszą placówkę.

W latach 2005-2009 był ambasadorem w Republice Mołdawii. Działał tam bardzo aktywnie, za co od prezydenta Mołdawii otrzymał Order Honoru – najwyższe odznaczenie przyznawane cudzoziemcom. Odznaczenie zostało mu przyznane nie bez powodu – ambasada RP była w tym czasie ważnym miejscem spotkań politycznych i patronowała zawiązaniu ówczesnej koalicji rządowej.

I niech teraz minister Waszczykowski tłumaczy się w Kiszyniowie – że polski szpieg układał im rząd.

Miarą jego szczęścia (a może wiary przełożonych w jego umiejętności) – że gdzie pojedzie, tam coś się dzieje – była placówka w Katarze.

Co może dziś budzić uśmiech? Gdy w listopadzie 2012 r. jako kandydat na ambasadora Suprowicz stał przed sejmową Komisją Spraw Zagranicznych, jego była szefowa, Anna Fotyga, pytała go, czy był współpracownikiem służb specjalnych w PRL.

Nikt przecież nie powie: „Tak, byłem! Pani pierwszej to mówię!”. Ciekawsze jest, w jaki sposób się zaprzecza. Suprowicz mówił tak: „Pani minister, nigdy nie współpracowałem. Jest to jeden z powodów, dla których jako absolwent kończący z wyróżnieniem w 1980 r. jeden z interesujących kierunków filologicznych nie przyszedłem do pracy w MSZ. Nie realizowałem swoich marzeń i celów osobistych. Nie współpracowałem ze służbami”.

W sumie wyszło trochę mętnie, z mocną nutą auto-promocji.

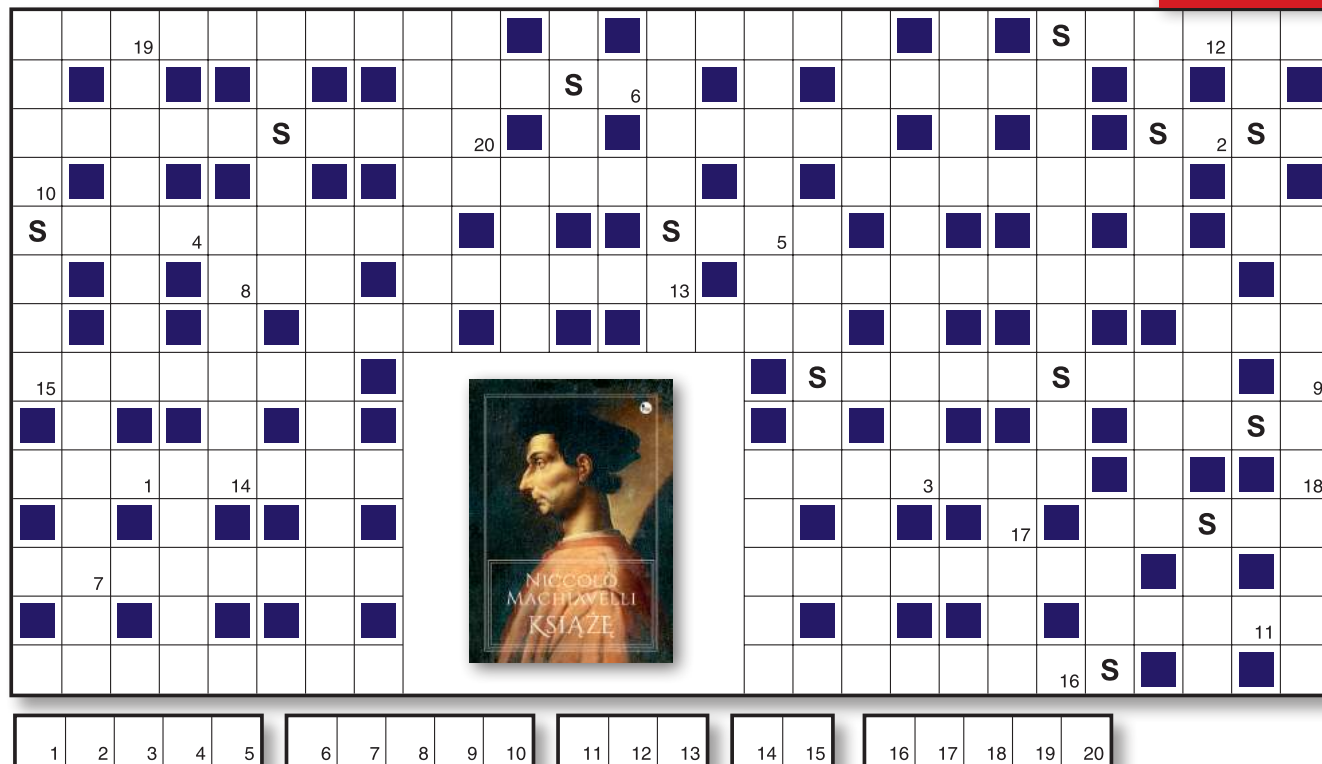
Zupełnie jak z podręcznika oficerów wywiadu.

Attaché

Senator Pauline Hanson – liderka australijskiej antyislamskiej i antyimigracyjnej partii One Nation (Jeden Naród), podczas obrad w australijskim parlamencie. W ten sposób walczy o zakazanie noszenia burki, którą uważa za strój niebezpieczny.



FOT. SPUTNIK/EAST NEWS



Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- z Propylejami i Erechtejonem
- Pacino lub Bano od Rominy Power
- literacka rozpatruje styl, kompozycję i treść
- urazy, pretensje po dawnemu
- Arktyczny, Bismarcka, Sundajski
- twórczyni
- ich mieszkańcy czcili bogów w Erechtejonie

- uproszczony język programowania
- maluszek, niemowlę
- stworzeń
- Bóg dla dziecka lub medalik
- towarzyszy zranieniu, chorobie
- lina do manewrowania żaglami w płaszczyźnie poziomej
- wysoką ma kozaczek

- brak dźwięków, bezwietrzna pogoda
- herbata z samowara
- przeciwieństwo altruizmu
- imię Olsena z gangu
- namiastka, surogat
- Gion w Kioto ich dzielnicą
- odcinek DNA, jednostka dziedziczenia
- bydlęcy owad
- i aktorstwo, i chińczyk
- padające bryłki lodu
- król judzki, a w tej dolinie Sąd Ostateczny
- o hitlerowskim obozie koncentracyjnym
- Rad lub Basków
- nad Wisłokiem lub Odrzańskie

- stolica przy ujściu Tagu
- zajdzie na Oxford Street i do Hyde Parku
- z niego królewna w kołysance
- ogonem na nią dzwoni diabeł w ornamencie
- ...sromotnikowy
- pertraktacje, rokowania
- człowiek świeżej wiary
- oferra, lamaga
- obca cykorowi
- już nie będzie dzielnicą z ważnym lotniskiem?
- przeciwnik w dyskusji
- fundamentalista, prawowierny
- duchowny protestancki
- naczynie na coś, kontener
- ...taksówek
- kochał Julię

- rybacka lub internet
- szkodliwe cząstki w powietrzu w miastach
- schemat myślowy
- ziola, owoce albo chrust
- Danuta, grała w „Zakazanych piosenkach”
- kierownictwo
- pododdział ubezpieczający kolumny w marszu
- pudełeczko na tytoń
- gruby, wielowarstwowy papier
- żółwie albo szybkie
- warstwa atmosfery najbliższa powierzchni Ziemi
- z nią i z mieczem Temida
- to, co łączy, jednoczy ludzi
- policyjna akcja na Wszystkich Świętych

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie” i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-829”. Do rozlosowania książki „Książę” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przelać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX. HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.829.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 29 października 2017 r.

Rozwiązanie „JOLKI-826” z 8 października: Zbytek zje i wielkiego pana.

Nagrody otrzymują: Zbigniew Stano z Poręby, Bogusława Tuz z Bilczy, Ireneusz Wanecki z Bielń Wrocławskich.

PENETRACJE

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ,
BYŁY PREMIER

Całą artylerię można uruchomić przeciwko mnie, ponieważ w pewnym sensie dałem najwięcej Kościołowi. Byłem tym premierem, który zdecydował, że katechezie uczący religii będą dostawali pensje. Uważam, że to, co się stało z Polakami, narodem w większości chrześcijańskim, od wiosny do późnej jesieni 2015 r. jest trudne do wytłumaczenia. PiS udało się zmienić nastawienie do uchodźców co najmniej połowy z nas. To absolutna klęska misji Kościoła w Polsce. Skrajnej prawicy udało się popchnąć społeczeństwo ku akceptacji wartości antychrześcijańskich.

FORUM

EDWARD SNOWDEN,
INFORMATYK AMERY-
KAŃSKI, KTÓRY UJAWNIŁ,
ŻE NSA SZPIEGUJE CAŁY
ŚWIAT

Wiemy z odtajnionych dokumentów, że USA przez cały ubiegły wiek stałe wywierały wpływ na wyniki wyborów w różnych krajach. Robi to każde państwo, a teraz wszyscy pokazują palcem na Rosję. To oczywiście prawdopodobne, że Rosjanie zhakowali komputery Partii Demokratycznej i Hillary Clinton, ale niczego nie udowodniono. W sprawie Hillary Clinton nie pokazano żadnych dowodów, chociaż sądzę, że takie muszą być. Pytanie: dlaczego nie? NSA wie zapewne dokładnie, kto za tym stoi. Ale przypuszczam, że intruzów wykryto tam więcej, że

działało kilka grup. Chyba chodziło o to, żeby powstała konkretna wersja o Rosji.

charakteru
magazyn psychologiczny

ANNA PIWKOWSKA,
POETKA

Tomasz Lubieński w książce „Ani tryumf, ani zgon” ostrzega przed komercjalizacją pamięci, która wzięła się z bezkrytycznej legendy, z przekonania, że powstanie warszawskie w sumie było fajną sprawą. Przestrzega przed porażającą fantazją nowych rocznicowych pomysłów, jak pokaz powstańczej mody. Sama byłam świadkiem, jak 1 sierpnia do warszawskiej kawiarni wkroczyli młodzi, roześmiani rodzice, z małym chłopcem, któremu na czoło opadał powstańczy hełm, zakupiony jako gadżet w Muzeum Powstania Warszawskiego.

TYGODNIK
ANGORA

PATRYCJA BEREZNOWSKA,
MISTRZYNI ŚWIATA
W BIEGU 24-GODZINNYM

Bieganie to dla pani...

...wolność, poczucie bliskości i uczucia własnego ciała. Pozwala na lepsze zrozumienie samego siebie. Słyszysz się przyspieszony oddech, bicie serca, każdy pracujący mięsień. Jestem psychicznie silna, potrafię wiele znieść. Dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą. Każdy, kto staje na starcie, jest już wygranym. Każdy maratończyk czeka na chwilę, gdy wszystko boli. Przychodzi taki moment, że pozostaje tylko skupić się na sile psychicznej. Ciało mówi nie, ale my potrafimy biec dalej. Przebiegam dokładnie 259 km i 991 m.

Aby język giętki...

JAN KLATA O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

W Polsce rozgrywa się klasyczna tragedia zemsty. Mamy zemstę za brata i wszystkie interesy Polski są temu podporządkowane.

**KUBA BADACH O ŻONIE
ALEKSANDRZE KWAŚNIEWSKIEJ**

Ola jest totalnie muzykalna. Gdyby nie była, nie byłibyśmy razem. Nie byłbym w stanie być z kobietą, która „nie słyszy” muzyki.

TOMASZ LIPÍŃSKI O CENTRUM

Dziś to miejsce jest puste. A kiedy nie ma centrum, nie ma dialogu.

MICHAŁ SOBELMAN O ROKU 1969

Takim jak my powiedziano, że nie jesteśmy Polakami. To nie partia, nie ówczesny rząd, to powiedziało społeczeństwo polskie, przynajmniej jego część.

PROF. JERZY BRALCZYK O KŁOPOCIE

Ze mną jest pewien kłopot, bo ja czasem, jak nikogo nie ma, to po cichu myślę: a może jestem komunistą?

ANDRZEJ STRUMIŁO O EGOCENTRYZMIE

Człowiek chce być, chce coś znać, chce zrobić, chce być zauważony.

**KS. ADAM BONIECKI
O ABP. MARKU JĘDRASZEWSKIM**

Nie jest przedmiotem mojej wiary jego stanowisko w sprawie katastrofy smoleńskiej.

PAULINA PRZYBYSZ O MISJI

My, śpiewające głowy, mamy taką misję: głośna szczerłość na najpiękniejszych częstotliwościach.

**MATEUSZ DAMIĘCKI
O SZUFLADCE „AMANT”**

Babcia mi powiedziała, że to dobrze, bo będę chciał się z niej wydobyć.

**MARIOLA BOJARSKA
O „GRZESZNYCH” PRZYJEMNOŚCIACH**

Węglowodany też są potrzebne w diecie. Czasami grzeszę, np. tortem bezowym.

PIOTR PUSTELNIK O STRACHU W GÓRACH

Jeśli spotykasz kogoś, kto się czegoś nie boi, trzeba się od niego czym prędzej oddalić, bo przebywanie z nim jest niebezpieczne.



FOT. AFP/EAST NEWS

Dokarmianie pelikanów w okolicach Tel Awiwu, podczas ich odpoczynku na trasie przelotu z Europy do Afryki.

MEMY BEZ ŚCIEMY



ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Bez futra

Dom mody Gucci poinformował ostatnio, że od przyszłego roku rezygnuje z naturalnych futer. Za zmiany odpowiedzialny jest dyrektor kreatywny Alessandro Michele, który zapowiedział, że firma stawia na zrównoważony rozwój, a społeczna odpowiedzialność biznesu wiąże się z ochroną środowiska.

Kosmiczna podróż

W listopadzie 2018 r. na Marsie ma wylądować bezzałogowy lądownik NASA. Z tego powodu Narodowa Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej zbiera imiona i nazwiska chętnych, którzy chcą wystać swoje dane w kosmos. Żeby otrzymać symboliczny bilet na lot na Czerwoną Planetę, wystarczy wypełnić krótki formularz na stronie NASA. Warto się pośpieszyć, bo termin upływa 1 listopada 2017 r.

Czaszka w walizce

Na lotnisku w Goleniowie inspektorzy Krajowej Administracji Skarbowej zatrzymali Dunkę, która próbowała wwieźć do Polski w bagażu podręcznym ludzką czaszkę. Kobieta przewoziła ją dla córki, która studiuje stomatologię. Zgubiła jednak walizkę, która na lotnisko



„Gorąca wystawa” – tak zatytułował swoją ekspozycję Alper Dostal, artysta tworzący w Wiedniu. Jak twierdzi, największą trudność sprawiało mu namalowanie farb ściekających z obrazów.

trafiła jako bagaż zaginiony. Zgodnie z procedurą celnicy go prześwietlili. Kobiecie grożą nawet dwa lata pozbawienia wolności.

Tresowane kruki

Holenderski start-up wymyślił sposób oczyszczania miast z niedopałków papierosów. Opiera się on na pracy wytresowanych kruków. Kiedy ptak przyniesie niedopałek i wrzuci do specjalnego urządzenia, dostanie orzeszek. Następny orzeszek otrzyma po wrzuceniu kolejnego niedopałka. Nie wiadomo, jak urządzenie sprawdzi, czy kruki nie okażą się sprytniejsze i nie wrzucą tam czegoś innego.

Mandat za rekina

W Austrii wprowadzono przepisy, które zabraniają zasłaniania twarzy w miejscach publicznych. Prawo ma na celu lepszą integrację miejscowych i imigrantów. Jednak ofiarą nowego prawa padł ostatnio mężczyzna, który przed jednym z wiedeń-

ZANIM DASZ DRUGĄ SZANSĘ

1. Zastanów się, czy w ogóle chcesz dać drugą szansę. To, że ktoś cię o nią prosi, do niczego cię nie zobowiązuje.
2. Osobie, która zawiodła, daj czas na reakcję – to przede wszystkim ona powinna wykazać inicjatywę.
3. Daj sobie czas na przemyślenie sprawy – to nie jest sytuacja wymagająca szybkiej reakcji z twojej strony, wręcz przeciwnie.
4. Szanuj siebie, masz prawo do emocji, ale w konfrontacji staraj się mówić językiem „Ja” zamiast „Ty” („Jest mi przykro” zamiast „Zachowałeś się źle”).
5. Osobę, która cię po raz kolejny zawiodła, poproś o wyjaśnienia.
6. Zapytaj, dlaczego miałoby się udać tym razem. Nie może się skończyć tylko na obietnicy, tym razem potrzebny jest argument, który cię przekona.
7. Jeśli zdecydujesz się dać drugą szansę, postaw swoje warunki.
8. Jeśli kolejny raz doświadczysz zawodu, koniecznie wyciągnij konsekwencje, które wcześniej zapowiedziałeś, np. nie pożyczaj bratu po raz kolejny pieniędzy, jeśli nie oddał długu w terminie.
9. Jeśli nie zdecydujesz się dać drugiej szansy, określ, czego potrzebujesz od osoby, która cię zawiodła. Powiedz, jak może naprawić wyrządzoną krzywdę.

charaktery
magazyn psychologiczny

„PRZEGLĄD” NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC
Warszawa 101 FM
DAB+

RADIO PARADA
96.00 FM
Łódź 96 FM



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Kacper Leśniewicz, Mariola Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osinski (Berlin), Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorothea Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:
Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od
dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega
sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnia-
nie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE
bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki
po uzyskaniu zgody wydawcy.**

**Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie
niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi
odpowiedzialnością karną.**

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



skich sklepów pracował jako maskotka. Kiedy policjanci kazali mężczyźnie odstąpić twarz, ten odmówił, gdyż jego praca polegała na przebieraniu się za rekina. Otrzymał więc mandat na wysokości 150 euro.

Niania szpieg

Koncern Mattel, producent zabawek, zrezygnował z pomysłu wprowadzenia na rynek elektronicznej niani, która wykorzystuje oprogramowanie bazujące na sztucznej inteligencji. Aristotle, bo tak nazywa się urządzenie, potrafi opowiadać bajki, uczyć, a nawet uspokajać dzieci, sterując oświetleniem. Jednak coś za coś –

przy okazji niania zbierałaby na temat dzieci dużo danych, które nie byłyby odpowiednio zabezpieczone.

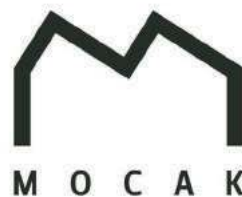
Śmiertelna elektronika

Amerykańskie Stowarzyszenie Samochodowe (AAA) przeprowadziło badania, z których wynika, że komputery pokładowe zwiększają ryzyko śmiertelnych wypadków drogowych. Stowarzyszenie przeanalizowało 30 popularnych modeli samochodów z 2017 r. i stwierdziło, że połowa zawartych w nich funkcji (nawigacja, internet, odtwarzanie muzyki) skutecznie odciąga uwagę kierowcy od drogi.





JOANNA KARPOWICZ, ANASTAZIA



ARTYŚCI Z KRAKOWA. Generacja 1970-1979

Kraków zawsze kojarzono z kulturą i do dzisiaj jest to główny przemysł tego miasta, tworzony od połowy XIX w. przez wybitne talenty. „Generacja 1970-1979” to druga wystawa z cyklu „Artyści z Krakowa”, a zobaczymy na niej najważniejsze tendencje w sztuce współczesnej. Widoczne są inspiracje filmem, sztukami wizualnymi, literaturą, ale także kwestiami społeczno-politycznymi. Zwłaszcza artystki odnoszą się krytycznie do rzeczywistości. Można też znaleźć prace o charakterze kontemplacyjnym i outsiderskim, przenoszące emocje i stany wewnętrzne człowieka w sferę natury lub abstrakcji.

Muzeum Sztuki Współczesnej
w Krakowie MOC AK
ul. Lipowa 4, budynek A, poziom 0
do 1 kwietnia 2018 r.

PATRONAT PRZEGLĄDU



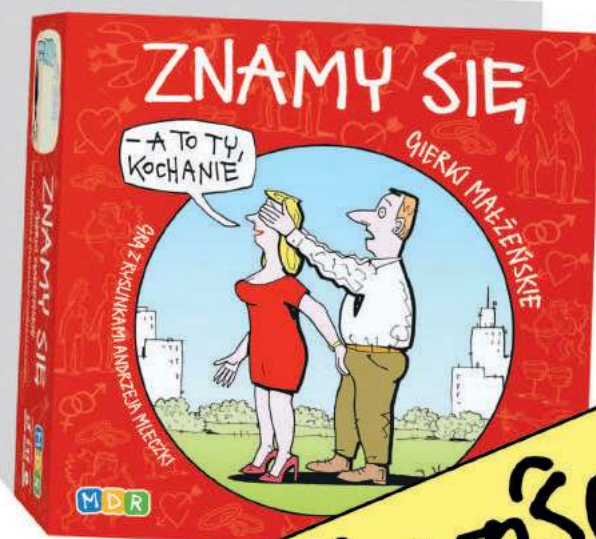
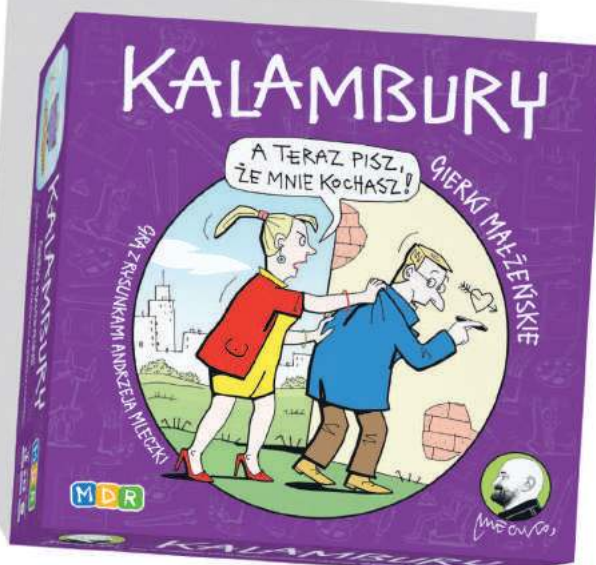
PAWEŁ KSIĄŻEK, KOMPOZycja 05 (ROZALIA)



WITOLD STELMACHIEWICZ, BEZ TYTUŁU

GRY PLANSZOWE

Z RYSUNKAMI ANDRZEJA MLECZKI



Nowości



sklep.mleczko.pl

**GALERIA
AUTORSKA
ANDRZEJA
MLECZKI**

KRAKÓW ul. św. Jana 14

tel: 12 421 71 04

WARSZAWA ul. Marszałkowska 140

tel: 795 029 829

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

Upadanie

Árpád Schilling

Upadanie to próba odpowiedzi na pytanie, dlaczego współczesny świat tak się radykalizuje i gwałtownie skręca na prawo. Nie jest to socjologiczna analiza, ale zniuansowana psychologicznie opowieść rodzinna. Schilling snuje niemal Czechowską historię, w której pod pozorem rutyny codziennego życia, stopniowo odsłaniają się kolejne dramaty i uwikłania każdego z bohaterów.

27, 28, 29 października
3, 4 listopada



foto: Magda Hueckel

Partneri
miejscowi

wyborcza

wyborcza.pl
WJ.BELAZNA

cojestrane24

AKTIVIST

P
Lublin